Czciciele Ognia.

Peri i Raj.

Dziewica Orleańska.

TŁÓMACZENIA

NTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM IV.

CZCICIELE OGNIA.

PERI I RAJ.

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

WARSZAWA.
Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.
1874.

66220

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Сентября 1872 г.

Czcionkami Gazety Lekarskiéj.

CIENIOM

I

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

STEFANA GARCZYŃSKIEGO.

Przyjacielu mój, bracie! Z téj pieśni obrazem,
Jam w myślach mych twój obraz nieraz łączył razem,
W sercu mém ślubowałem poświęcić ją tobie:
I poświęcam — jak łzami zlany kwiat — na grobie.

A. E. O.

CZCICIELE OGNIA.

POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.

Wiadomość historyczna o Gwebrach.

Gweber, Giabir, i pochodzący ztąd przez skrócenie wyraz Giaur, któremu dziś przez nienawiść na wzgardę, we wszystkich muzułmańskich językach nadano obelżywe znaczenie: „Niewierny;“ niegdyś oznaczał tylko wyznawców religii Zoroastra, Czcicieli Ognia, jak ich nazywano; sami bowiem zwali się Behendi, to jest prawowierni. Religia ta, podług rachunku pisarzy wschodnich, przed czterema tysiącami lat wprowadzona do Persyi, trwała w niéj bezprzestannie, pomimo wszystkich zmian i wstrząśnień politycznych go najpotężniejszego niegdyś na Wschodzie państwa, aż najścia i podbicia go przez sąsiednich Arabów, Mahometanów, którzy z całym zapałem fanatyzmu prześladując to bałwochwalstwo religię Gwebrów, wytępili ją nakoniec, z powszechną wzgardę podali. —

Oto są główniejsze punkta nauki Zoroastra, zawarte w świętéj księdze Zenda-Vesta, którą on, podług podania starszych swych uczniów, sam w Niebie, razem z ogniem świętym, z rąk Oromaza otrzymał i przyniósł na ziemię. — Bóg, mówi Zoroaster, jest jeden, przedwieczny, nieskończony, stwórca wszystkiego co jest. Lecz w świecie przez Niego stworzonym, działają z woli jego dwie przeciwne sobie potęgi: dobra i zła. — Pierwszą zowie Oromazem (Horzd), co znaczy: dawca wszelkiego dobra; drugą Aryma-

nem, co znaczy: Pan albo wódz złego. — Obadwaj mieli władzę stwarzania, i używali jéj wspólnie, chociaż w przeciwnym kierunku; i ztąd to miała pochodzić owa mieszanina dobrego i złego, jaka się daje widzieć we wszystkich rzeczach stworzonych. — Ztémwszystkiém sam tylko Oromaz był wiecznym, i miał kiedyś przeciwnika zwyciężyć.—Światło było godłem Oromaza; ciemność godłem Arymana. — Sam Bóg rzekł do Zoroastra: „Światło moje jest w tém wszystkiém, co świeci.“—Na tych to właśnie słowach opiera się wprowadzona przez niego cześć ognia, palącego się na ołtarzu w świątyniach; na wolném zaś powietrzu cześć słońca, jako najszlachetniejszego ze wszystkich świateł niebieskich, przez które Bóg ożywia i utrzymuje całe swe dzieło stworzenia. Gwiazdy i planety uważane były za istoty żyjące, mające każda duszę nieśmiertelną.— Oto są słowa Zenda-Vesty, które Anioł światła rzekł do Zoroastra, dając mu z woli Oromaza ogień święty: „Polecam opiece twojéj wszystkie ognie na ziemi.—Rozkaż kapłanom strzedz je i utrzymywać, i nie gasić ich nigdy ani wodą, ani ziemią.—Rozkaż w każdém mieście wystawić świątynię Ognia, i na cześć jego przepisz uroczyste obrządki. Światło ognia pochodzi z Boga; a cóż jest piękniejszego jak ogień? Nie trzeba mu nic więcéj, prócz drzewa i kadzideł.— Niech je sypie stary i młody, a prośby ich wysłuchane będą. —Wszyscy co nie usłuchają słów moich, pójdą do wiecznych ciemności.“

Lecz nie sam tylko ogień, wszystkie inne elementa składające świat: ziemia, powietrze, woda, a nawet zwierzęta i rośliny, polecone zostały szczególnéj pieczy Zoroastra, przez swych opiekuńczych aniołów. — Anioł ziemi rzekł: „Ty, co masz być błogosławieństwem rodzaju ludzkiego, zachowuj ziemię od rozlewu krwi, od nieczystości i trupów. Każ niech je grzebią tam, gdzie żadna woda nie płynie, i żaden człowiek nie chodzi etc.“ — Ztąd poszedł zwyczaj u Gwebrów, że ciała zmarłych, zamiast grzebać je w ziemi,

kładziono na wierzchołkach wież, zbudowanych na ten cel w miejscach odludnych, i gdzie żadna woda nie płynie; tam zostawiano je na pastwę ptakom; poczém dopiero pozostałe kości grzebano do ziemi.

Te były główne zasady religii Gwebrów. Przepisy życia zawarte także w Zenda-Vesta, tchnęły najczystszą moralnością; zgodne z naturą i prawdą, wiodły do cnoty i pracy. Ztémwszystkiém gdy te z koleją wieków władzę nad umysłami ludzi straciły, pierwotna myśl prawodawcy, cześć jednego prawdziwego Boga, ustąpiła miejsca przesądom; duch religii, formie zewnętrznéj.—Ogień, słońce, w których Zoroaster widział tylko widome godła bóztwa, i jako takim cześć oddawać kazał; następni wyznawcy jego wiary wzięli za same bóztwo; i poprzestając na zewnętrznych ofiarach, zasługiwali istotnie na imię bałwochwalców, które im Muzułmańscy nieprzyjaciele nadali.

Imię to stało się z czasem dla Persyi źródłem tysiącznych klęsk i nieszczęść: powodem, a przynajmniéj pozorem do wojny z Arabami, zakończonéj, jak wiadomo, zupełném podbiciem Persyi i przejściem jéj na wiarę zwycięzców.— Skoro bowiem religia Mahometa ustaliła panowanie swoje w ojczyznie jego Arabii; fanatyczny zapał i duma piérwszych zaraz po nim Kalifów, zwróciły naprzód oczy na sąsiednią Persyą; bałwochwalczą, podług ich mniemania: a więc, którą powinni byli na prawdziwą wiarę nawrócić; żyzną i bogatą: a więc, którą podbić pragnęli; osłabioną wewnętrznemi niezgodami książąt swoich i możnych Satrapów: a więc do podbicia łatwą.

Piérwsza napaść Arabów na Persyą, nastąpiła za Kalifatu Omara. Wojska jego, pod wodzą Abu-Obeyda, przeszły Eufrat, lecz porażone przez Persów, straciwszy w bitwie większą połowę ludzi, wpław przez rzekę uciekać musiały. Omar wystawił nowe wojsko, lecz i to w piérszém spotkaniu się z Persami, nie lepszego doznało losu.—Wkrótce jednak wytrwała biegłość arabskiego wodza, nazwiskiem Saad-

Ben-Wakass; fanatyczny zapał żołnierzy, a nadewszystko niedbałość samychże Persów, i zbytnie zabezpieczenie się po zwycięztwie, odmieniły całkiem los wojny. Persowie z kolei ponosili klęski po klęskach: wódz ich Mehran, poległ zabity; całe wojsko poszło w rozsypkę. Naród zamiast połączyć się w jedno, by wspólnego nieprzyjaciela odeprzeć; przypisując poniesioną klęskę niedołężności swoich monarchów, obrócił się przeciwko nim, i rozpadł się na różne stronnictwa. Dynastya Sassanitów, od czterech wieków zasiadająca tron Perski, właśnie była wygasła; możni panowie rozrządzali tronem. — Wybierano z kolei jednego po drugim, coraz to nowych panujących, których prędzéj jeszcze mordowano lub zrzucano z tronu. Nieład i zamieszanie stały się powszechne na całéj ogromnéj przestrzeni ówczesnego państwa perskiego.—Tymczasem Arabowie posuwali się coraz daléj w głąb kraju, umacniając się w zdobytych prowincyach i miastach.—Nakoniec w roku 632 naszéj Ery, a 11 Hegiry, wyniesiony został na tron perski, Jeźdidźird, ostatni, chociaż nie w prostéj linii, potomek królewskiéj rodziny Sassanitów; człowiek słaby, niezdolny do rządów, zwłaszcza w tak trudném położeniu kraju; będący tylko narzędziem w ręku możnych Satrapów; którzy pokrywając swą dumę maską przywiązania do krwi panujących, na to go tylko królem nad sobą obrali, by sami tém łacniéj pod nim całém państwem rządzili.

Pierwszym czynem Jeźdidźirda po wstąpieniu na tron, było wysłanie posłów do arabskiego wodza, aby go wezwać do traktowania o pokój. Sam Saad-Ben-Wakass, w towarzystwie dwóch innych wodzów wojska swojego, przybył do obozu Persów. — Wprowadzeni do królewskiego namiotu, gdy wskazane miejsca zasiedli, Jeźdidźird tak do nich przemówił:

„Wiecie, że wami gardziliśmy zawsze.—Arabowie dotychczas tylko znani byli w Persyi, jako kupcy, lub jak żebracy.— Pokarmem waszym są zielone jaszczurki, napojem woda

słona, odzieżą skóry zwierząt lub gruba tkanina z ich sierści; dla tego gardziliśmy wami. — Lecz od niejakiego czasu w większéj coraz liczbie zaczęliście kraj nasz nawiedzać: zasmakowaliście w dobrém jadle, napiliście się wody słodkiéj, nawykliście do wygód odzienia. — Powróciwszy do swoich pustyń, opowiadaliście o tém braciom waszym, i oto przychodzicie tłumami, aby nam wydrzeć co nasze, i narzucić nam wiarę, któréj my znać nie chcemy. — Podobni jesteście do lisa, w bajce naszego poety, który wkradłszy się w ogród, znalazł w nim obfitość gron winnych. Poczciwy ogrodnik pozwolił mu nasycić się niemi i myślał: „Plon winnicy mojéj nie zmniejszy się przez to, że się jeden lis biedny pożywi.“ — Ale lis nie przestał na tém, że się sam do woli nasycił; naprowadził swych towarzyszy, tak, że się cała winnica napełniła lisami. — Ogrodnik więc musiał drzwi zamknąć, i lisów, co już weszli, zabijać, aby sam nie zubożał do szczętu. — Ja jestem tym ogrodnikiem, mówił daléj Jeździdżird. Wszakże mając wzgląd na wasze potrzeby i ubóstwo, gotów jestem przebaczyć wam wszystko; obładuję wielbłądy wasze pszenicą i daktylami, bylebyście natychmiast ustąpili z mych granic. Lecz jeśli gardząc szczodrobliwością moją, chcecie dłużéj w Persyi pozostać, postąpię z wami jak ów ogrodnik, i nie ujdziecie słusznéj zemsty mojéj.“

Saad-Ben-Wakass, wysłuchawszy spokojnie téj mowy, malującéj zarazem całą dumę i słabość perskiego monarchy, odpowiedział na nią w te słowa:

„Wszystko co powiedziałeś o dawnym stanie Arabów jest prawda. — Jedli oni zielone jaszczurki; grzebali żywo nowo-narodzone dzieci płci żeńskiéj; zabijali własnych rodziców; niektórzy nawet żyli trupami i poili się krwią ludzką. Nie znali co jest złe, a co dobre; co godziwe, a co występne. Ale Bóg zlitował się nad nami, i zesłał nam swego proroka, który dał nam księgę prawdziwéj wiary. — Księga ta nakazuje nam wojować niewiernych, obłąkanych nawracać; i zamiast do-

tychczasowego poniżenia i nędzy, obiecuje nam panowanie nad światem.—Wzywamy więc ciebie, królu perski! abyście, ty sam i twój naród, przyjęli świętą wiarę naszą.—Jeśli się na to zgodzicie, żaden Arab bez woli twojéj granicy państw twoich nie przejdzie; będziecie tylko, równo ze wszystkimi wiernymi, płacić zwykłą na ubogich jałmużnę, dziesiątą część wszelkiego dochodu.—Jeśli nie chcecie przyjąć wiary naszéj, możemy jeszcze przestać na opłacie haraczu, jaki się nam od niewiernych należy. Lecz jeśli odrzucicie oba te warunki, gotujcie się do wojny!“

Jeździdźird czuł się jeszcze nadto potężnym, aby przystać na tak zelżywe układy.— Wszczęła się więc na nowo wojna, krwawsza i zawziętsza niż kiedy. — Na płaszczyznach Kadessu (Kadeseah), stoczyła się pamiętna bitwa 638 r. 17 roku Hegiry, w któréj całe prawie stotysięczne wojsko Persów poległo, i tajemnicza chorągiew państwa wpadła w ręce zwycięzców.—Jeździdźird uszedł do prowincyi Korasan, i zebrawszy 150 tysięcy nowego wojska, wystąpił znowu do boju. — W otwartém polu pod miastem Nohavund spotkały się oba wojska: Arabskie pod naczelnictwem nowego już wodza, nazwiskiem Noman. Dwa miesiące stały spokojnie naprzeciwko siebie oba nieprzyjacielskie obozy; żadna strona nie śmiała boju rozpocząć.—Nakoniec piérwsi Arabowie uderzyli na szańce perskie, wprzód, za przykładem wodza, poprzysiągłszy zwyciężyć lub zginąć.—Zginął Noman, lecz Arabowie przemogli. Sto dziesięć tysięcy głów miała wynosić strata wojska perskiego; reszta rozpierzchła się w góry. Zaszła ta bitwa w r. 641. Hegiry 21.—Cała Persya od Eufratu do rzeki Oxus wpadła w ręce zwycięzców. Jeździdźird zginął zabity, gdy przebrany tułał się po kraju.—Arabowie rozjątrzeni oporem Persów i gorliwi o rozkrzewienie swéj wiary, prześladowali z niesłychaném okrucieństwem religią Zoroastra i resztę nieszczęśliwych Gwebrów, którzy schroniwszy się w góry Kermanu, nie przestawali jeszcze bronić swéj niepodległości i wiary.—Wsie, miasta i całe pro-

wincye, wycinano w pień, bez różnicy płci i wieku. Świątynie ich i ołtarze obrócono w gruzy i popiół. Ognie święte zalewano krwią ich kapłanów, na urągowisko z przepisu Zoroastra, zakazującego gasić je wodą lub ziemią. Większa część mieszkańców Persyi, uchodząc śmierci lub prześladowania, przyjęła religią zwycięzców; inni nie chcąc uledz przemocy, rozpierzchli się po różnych krajach, tułając się w górach Kaukazkich, na dzikich brzegach Kaspijskiego morza, w Indyach; albo się ukryli wśród niedostępnych gór swojéj ojczyzny.— Dziś jeszcze około zatoki Perskiéj, w górach i stepach Kermanu, a mianowicie w prowincyi Jerd-Keram, znajdują się dawni Gwebrowie, P a r s a m i zwani, wierni religii swych przodków, i z téj właśnie przyczyny zostający w powszechnéj nienawiści i wzgardzie u swoich Muzułmańskich współziomków. (*Z historyi Perskiéj przez Malcolma*).

PIEŚŃ PIERWSZA.

Nad Perskiém morzem księżyc w pełni świeci.
Śpią mgłą owiane fale lazurowe,
I wkoło we mgle, jak w srebrzystéj sieci,
Skaliste brzegi i wyspy palmowe,
Kąpią się w blasku miesięcznéj pogody.
Z brzegu odbity we zwierciadłach wody,
Gród Gombarunu marmurem się bieli.
W nim gmach Emira góruje nad skały.—
Przed chwilą trąby i wdzięczny dźwięk zeli,
Z wież jego słońce gasnące żegnały: —
Spokojne słońce! miléj mu w dąbrowie
Zanóci pasterz, albo słowik w sadzie,
Gdy na szkarłatne zachodu węzgłowie
Ogniste skronie do spoczynku kładzie! —
Lecz teraz głucho na Emira dworze.
Jak ziemia milczy nieruchome morze,
Cisza w powietrzu, na polu i w grodzie.
Wiatr choć gdzie westchnie, wnet uśnie w powiewie

Żadna się fala nie zmarszczy na wodzie,
Żaden się listek nie wzruszy na drzewie.
Sam Emir nawet, śród nocnego chłodu,
Tyran Iranu *), zasypia spokojnie.
Choć nad nim cięży przekleństwo narodu,
Choć wkoło zemsta porywa się zbrojnie
Mścić krzywd i zniewag, które jego plemię
Zlewa od wieków na Iranu ziemię:
Twardéj w nim duszy ni miękczą, ni trwożą,
Ni łzy co płyną, ni miecze co grożą.
On, czci Proroka zapaleniec dziki,
Z rozkoszą patrzy na rzeź i płomienie,
Mieczem swéj wiary tępiąc przeciwniki,
Mniema tém własne okupić zbawienie.
Gotówby w pośród najzaciętszéj bitwy,
Uklęknąć we krwi przez siebie rozlanéj,
By w czas codzienne odmawiać modlitwy,
Lub na skrwawionym mieczu wypisany
Rozważać myślą jaki tekst proroka;
Gotówby śledzić, bez zmrużenia oka,
Po jakie słowo lub wiersz którą razą
W piersiach swych ofiar utopił żelazo!

Wielki Allahu! o! jakiejże kary
Nie wart przed tobą okrutnik zażarty,
Co z ksiąg twych świętych ludzkości i wiary,
Skrwawioną dłonią przewracając karty,

*) Iran, imię ogólne Persyi.

Rozgłasza tylko bluźnierczemi usty
Naukę mordów, zemsty i rozpusty?
Jak owa zgubna Trebizondy pszczoła,
Co oblatując kwieciste płaszczyzny,
Z najsłodszych kwiatów, z najzdrowszego zioła,
W szał wprawiające wysysa trucizny *)!

Nigdy sroższego potęgą i złością
Satrapy Arab nie wsadził na państwo;
Nigdy tak Iran pod jarzma ciężkością
W Mahometańskie nie giął się poddaństwo.—
Wielkim był Iran—uczy dziejów księga—
Bał się go mocny, błogosławił słaby.
Cóż jest narodów wielkość i potęga?
Czas, własne swary, i bliskie Araby,
Przyniosły zmianę jego świetnéj doli:
Tron jego w gruzach, lud jęczy w niewoli.
Świątynie nawet—o! wstydzie bez miary!
Gdzie płonął Mitry ogień nieskażony,
Poszły skalane na łup cudzéj wiary:
A w nich niewolnik, mieczem nawrócony,
Cześć bałwochwalczą składając na progu,
Złorzeczyć musi ojców swoich Bogu!—

Ale są dusze, co czują zniewagę,
Co pomną przeszłość, i mają odwagę.

---

*) W okolicach Trebizondy znajduje się gatunek Rododendronów, których kwiat chciwie jest poszukiwany przez pszczoły, a miód z nich wyssany ma własność, że ludzi wprawia w szaleństwo.

Są serca tchnące zemstą i nadzieją:
Serca podobne do drogich kamieni,
Co raz przesiąkłe od słońca promieni,
Śród nocy jeszcze blaskiem dnia jaśnieją.
Są i ramiona, co i chcą, i mogą,
Serc tych natchnienia wypełniać statecznie. —
Dozna ich wkrótce, i przypłaci drogo,
Ten, co w téj chwili zasypia bezpiecznie,
Jak gdyby mniemał, że nad jego łożem
Niebo Anioła postawiło stróżem! —

Śpij, śpij, tyranie! nie dla twoich oczu
Świecą te gwiazdy na niebios przezroczu,
Błyszczy zwierciadłem lazurowe morze:
Śpij, śpij, tyranie! jakbyś nic nie winien!
W tak pięknéj nocy, w tak rozkosznéj porze,
Nikt prócz kochanków czuwać nie powinien! —

I oto, patrzaj! —na téj nagiéj skale,
Co się tak stromo wznosi po nad fale,
I wkoło po nich ściele cień ponury:
Widzisz tę wieżę z krużgankiem u góry?
Widzisz to okno? zkąd wzdłuż białéj ściany,
Dziewiczych włosów warkocz rozwiązany,
Spływa potokiem wdzięcznego nieładu:
Czarny i lśniący, jako czaple pióra,
Co zdobią turban monarchy Bagdadu *)? —
W tém oknie czuwa Emirowa córa —

---

*) Królowie wschodni noszą czaple pióra po prawéj stronie turbanu, jako oznakę swojéj godności.

Aniół dobroci, wdzięków, niewinności,
Co choć z takiego i ojca i rodu,
Jest jak promienna Fontanna Młodości,
Co z gór najdzikszych wypływa z pod lodu *).—

O! jak urocza, święta, tajemnicza,
Jest młoda piękność, przed światem ukryta,
Co tylko blaskiem skromnego oblicza
Samotnie w domu rodzicielskim świta,
Zdala od wzroku natrętnego ludzi!
Kwiat na dnie morza kwitnący głębokiém,
Którego nawet blask słońca nie zbrudzi,
Nie tak jest czysty przed Allaha okiem!—
Tak dotąd Hildy i serce i lice,
Jak na ołtarzach święte tajemnice,
Były w zamknięciu haremu strzeżone.
Stokroć szczęśliwy! komu los przeznaczy,
Że z nich dziewiczą uchyli zasłonę,
Że je najpiérwszy pozna i obaczy!
Jak ów, co znagła na bezdrożnéj toni,
Zaczarowany raj ziemski odkryje,
I sam tchnie całém upojeniem woni,
Którą wprzód usta nie tchnęły niczyje!—

---

*) Źródło, albo Fontanna Młodości, podług tradycyi Mahometanów, płynie gdzieś między najdzikszemi górami na Wschodzie.—

Piękne są, piękne, arabskie dziewice,
Gdy w lekkim tańcu depcą smug zielony!
Jak gwiazdy błyszczą ich pełne źrenice,
Gdy patrzą z okien przez cienkie zasłony.—
Piękne są, piękne, małżonki Arabów,
Białe jak jaźmin, co we włosach noszą;
Pierś ich miłości oddycha rozkoszą,
A rozkosz nowych dodaje powabów:
Gdy w swych altanach, gdzie w letnim upale
Cień liści czyni słońce łagodniejsze,
Przed zwierciadłami pędzą czas niedbale,
I z każdą chwilą stają się piękniejsze!—
Lecz próżno szukać w Arabii całéj,
Od Beduinki do żony Sułtana,
Coby się mogły, coby nawet śmiały,
Równać w piękności z córką Al-Hassana! —

Piękna jak Anioł, gdy we snach dziecinnych
Roztoczy w górze cień skrzydeł strażniczych:
Promienna blaskiem swych uczuć niewinnych,
Kwitnąca w pełni powabów dziewiczych.
Samo spójrzenie—gdyby z tém spójrzeniem
Spotkał się zbrodniarz, płakałby z rozpaczy,
Alboby musiał uciekać ze drżeniem
Jak wąż, gdy połysk szmaragdu obaczy *):

---

*) Utrzymują na Wschodzie, że gdy wąż wpatrzy się w blask szmaragdu, natychmiast ślepnie.

Tak jest spokojne, tak czyste—a razem
Tak gore ogniem i czucia wyrazem,
Że rzekłbyś tęcza zmięszanéj jasności
Niebieskiéj chwały i ziemskiéj miłości:
Promień jéj duszy, wpół boskiéj istoty,
Gdzie tylko ziemska czułość i tęsknoty
Są jakby cienie—śród których tém miléj,
Jaśnieje światłość złagodzona wiary:
Jak promień słońca, gdy w pogodnéj chwili
Przez drzew cieniste wciska się konary,
I takie światło rozkoszne rozlewa,
I tak łagodnie swym blaskiem ogrzewa,
Że wątpić trzeba, czy tych liści cienie
Nie milsze dla nas, niż same promienie! —

Taką jest Hilda—co na swym krużganku,
Bezzsenne we łzach opuściwszy łoże,
Duma samotnie czekając poranku,
I patrzy smutnie na błękitne morze.—
Ach! nie tak kiedyś—ach! nie tak ze łzami,
Nie tak z westchnieniem — w swych progach rodzin-
[nych,
Patrząc na niebo zasiane gwiazdami,
Z jasnemi w duszy jak one myślami,
Marzyć lubiła za lat swych dziecinnych! —
Jakież dziś smutku przyczyny być mogą?
Czy co straciła? czy bojąc się żąda?
Czemu w noc czuwa? czemu z taką trwogą
Ku przepaścistym skałom tym pogląda,

Co najeżone u góry podnoża,
Ponurym cieniem plamią jasność morza?
To niepodobna! ażeby tą drogą
Mogła, lub śmiała spodziewać się kogo! —

Tak myślał Emir, gdy jéj na téj skale
Kazał zbudować ów ganek na wieży,
Gdzieby po skwarnym letnich dni upale
Mogła oddychać nocy powiew świeży;
Tak myślał Emir, gdy to jéj mieszkanie
Z téj strony całkiem zostawił bez straży.—
Śpij więc bezpiecznie, i nie patrz, tyranie!
Na co się miłość młodzieńcza odważy!
Miłość, co rosnąc śród niebezpieczeństwa,
W walce z niém szuka rozkoszy i chluby,
Któréj najmilszy ten wieniec zwycięztwa,
Co go zerwała nad przepaścią zguby!
Śmielsza od łowca pereł lub korali,
Co nie wprzód w morskiéj pogrąża się fali,
Aż się o cichéj zapewni pogodzie:
Miłość, choć piorun, choć ocean ryczy,
Tę tylko perłę za skarb sobie liczy,
Którą ułowi w najburzliwszéj wodzie! —

O! i w téj chwili—choć stroma opoka,
Choć skały śliskie, i przepaść głęboka:
Jest przecież taki, córko Al-Hassana!
Co byle ujrzeć blask twojego oka,
Co byle dotknąć twoich ust szkarłatu:

Wdarłby się nawet tam—gdzie niedeptana
Ścieżka prowadzi na szczyt Araratu *)!

Słyszysz? szum wiosła!—Patrz! łódka bez żagli,
Pędzi jak strzała w niezachwianym biegu,
Tak szybko wioślarz do pędu ją nagli.
Przed nią i za nią, w księżyca promieniu,
Wre biała piana podobna do śniegu:—
Łódź coraz bliżéj—już znikła w skał cieniu—
Piasek zaskrzypiał—stanęła u brzegu.

„To on!“—bledniejąc Hilda zawołała,
I na poręczach ganku pochylona,
Na dół otwarte wyciąga ramiona,
Jakby mu w pomoc rękę podać chciała.
Tak owa w pieśniach poetów sławiona,
Białowłosego Zala narzeczona **),
Gdy na jéj ganek wdzierając się w nocy,
Raz nad przepaścią zachwiał się jéj luby:
Rzuciła własny warkocz ku pomocy,
By się go ujął, i uniknął zguby.

Ale zręczniejszy jest ów młodzian śmiały,
Co przy mdłych tylko księżyca połyskach,
Pnąc się w téj chwili po śliskich urwiskach,
Jak dzika sarna arabskiéj pustyni,

*) Góra ta uważana była powszechnie za niedostępną.

**) Zal, sławny bohater Perski, w pierwszych wiekach tego państwa, ojciec sławniejszego jeszcze od siebie Rustama, urodził się z białemi włosami. Zdarzenie wspomniane w tekście, sławne jest w poezyach perskich.

Szybkiemi kroki skacze z skał na skały —
Już ujrzał Hildę—już blisko—już przy niéj!—

Ona go kocha—lecz nie zna, i nie wie,
Kto on? z jakiego plemienia i kraju? —
Jak ów, co błądząc w Indyańskim gaju,
Cudnego ptaka obaczy na drzewie,
Co wczoraj z wiatrem wiejącym od morza,
Przyleciał z wysep nieznanych nikomu,
I nim jutrzejsza może błysnie zorza,
Znów z tymże wiatrem odleci do domu:—
Na cóż mu ptaka nazwisko posłuży,
Kiedy się blaskiem jego piór zachwyca?—
Wielki Allahu! spraw tylko, by dłużéj
Kochanka swego widziała dziewica!—

Było to w nocy, o téj saméj porze —
Noc była cicha i spokojne morze,
I księżyc świecił na niebios przezroczu:
Gdy po raz piérwszy, z okien swego gmachu,
Nócąc przy arfie święty hymn poranku,
Ujrzała nagle—o! srogi przestrachu! —
Ujrzała dwoje płomienistych oczu,
Patrzących na nią przez kratę jéj ganku —
I była pewną, że to oczy ducha,
Co przez powietrzne przelatując drogi,
Tu się zatrzymał, i pieśni jéj słucha!—
Ta myśl tak umysł przenikła lękliwy,
Że choć wnet z piérwszéj ochłonąwszy trwogi,

Sama się własném przekonała okiem,
Że to był młodzian śmiertelny i żywy,
Co uniesiony jéj wdzięków widokiem,
Wskoczył na ganek, u kolan jéj klęczał,
Całował usta, i miłość zaręczał:—
Myśl ta w niéj nieraz budzi się nanowo,
Skoro z ust jego—jak się często zdarza—
Usłyszy dzikie, niepojęte słowo:
Gdy oko jego gniewem się rozżarza,
I tak dokoła żywym ogniem ciska,
Że go znieść wtedy niepodobna zbliska.
Wtenczas drży znowu, zali jéj kochanek
Nie duch zwodniczy, lub jeden z Aniołów,
Co uwiedzeni wdziękami ziemianek,
Jasne swe niegdyś rzuciwszy pobyty,
Zrzekli się Nieba za miłość kobiéty,
I dotąd błądzą śród ziemskich padołów!—

Nie drżyj, dziewico! nie drżyj!—twój kochany,
Ni duch zwodniczy, ni Anioł wygnany;
Ach! jest on tylko z owych synów ziemi,
Co tak namiętni w miłości i gniewie,
Jak gdyby tchnęli płomieńmi samemi,
Lub czując w sercu piekielne żarzewie,
Zgasić je tylko mogli w krwi rozlewie!—

Lecz dziś w nim życie jakby mgła owiała;
Twarzy tak bladéj, oczu tak ponurych,
Nigdy w nim dotąd, nigdy nie widziała!
Lecz takim bywał we snach jéj, po których,

Jedną jéj ulgą w złowrogiéj obawie,
Było się budzić, i płakać na jawie.
Bo sny to były, których cień i we dnie
Zaczernia duszę—jak duch, co się jawi
Niosąc śmiertelnym nieszczęść przepowiednię,
Wszędzie gdzie stąpi, czarny ślad zostawi!—

„Jak pięknie“—rzekła dziewica nieśmiało,
Jakby ją brzmienie własnych słów lękało:
Tak długo milcząc obok siebie stali,
Patrząc na połysk ugładzonéj fali. —
„Jak pięknie dzisiaj to światło księżyca
„Ową cienistą wysepkę oświéca!
„W moich marzeniach, jam nieraz żądała,
„Żeby ta wyspa ptaka skrzydła miała,
„I nas, siedzących pod cieniem swych gajów,
„Przeniosła razem gdzieś do pustych krajów,
„Lub gdzie na jakie nieżeglowne wody:
„Gdziebyśmy sami mogli żyć dla siebie,
„Żyć i umierać—bez ludzkiéj przeszkody!—
„Gdzieby się tylko przez gwiazdy na niebie
„Oczy Aniołów na nasz raj patrzyły!—
„Tego się tylko obawiam, mój miły!
„Czyby świat taki wystarczył dla ciebie?“—

Rzekłszy, ku niemu spójrzała wesoło,
Pewna, że uśmiech wzajemny obaczy.—
On stał, ku ziemi opuściwszy czoło,
I tylko ku niéj podniósł wzrok rozpaczy,
Co jak miecz w duszy kochającéj tonie.
Zbladła dziewica, i klasnąwszy w dłonie:

„Nie patrz tak, nie patrz! już wiém, co to znaczy!“—
Krzyknęła dłońmi zakrywając skronie.
„Ach! te sny moje! te widma złowieszcze!...—
„Wiém, co mi wróżą!—Nic, nic nie pomoże!
„Ty chcesz, ty musisz rzucić mię—dziś jeszcze! —
„Ach! ja wiedziałam, że to trwać nie może!
„Jam od dzieciństwa przywykła do tego,
„Utracać wszystko, com tylko kochała!
„Nie było krzewu, ni kwiatu jednego,
„By wnet nie usechł, gdym ja go wybrała.
„Nie było ptaka, ni młodéj gazeli,
„Gdy już mię znała i jadła z méj dłoni,
„Gdy igrać ze mną zaczęła już śmieléj,
„Bym zaraz potém nie płakała po niéj!—
„I ty, mój luby! ty, coś moję duszę
„Nauczył uczuć tak nowych, tak tkliwych:
„Wiém, że i ciebie równie stracić muszę!—
„Idź! nie dziel moich losów nieszczęśliwych!
„Idź, i nie wracaj!—choć twoje przybycie
„Niebem jest dla mnie;—lecz te strome skały!
„To zdradne morze!—ach! a tyś tak śmiały!
„Ty mógłbyś dla mnie narazić swe życie!...—
„Idź, i nie wracaj!—lecz przyjmij na drogę
„Łzy méj miłości i błogosławieństwo!—
„O mnie się nie bój!—ja czuję, że mogę
„Znieść łatwiéj żałość po tobie, niż trwogę
„Że cię narażam na niebezpieczeństwo!“—

—„Niebezpieczeństwo!—chcesz, żebym się chlubił?“—
Krzyknął młodzieniec; — „cóż mi ono znaczy?

„Co znaczy temu? kto raz wszystko zgubił,
„Co wzrósł śród nieszczęść, przywykł do rozpaczy;
„W którego uchu trąb wojennych dźwięki
„Brzmią co minuta;—co we dnie i w nocy,
„Śpiąc nawet miecza nie śmie puścić z ręki,
„By się nie ocknął w nieprzyjaciół mocy?—
„Niebezpieczeństwo!....."—
—„Więc ty nie znasz trwogi?
„Powrócisz do mnie? mój luby! mój drogi!"—

—„O nie! tak nie patrz!—bo te oczy twoje!...
„Ja się na świecie nic prócz nich nie boję!—
„Jeśli są gwiazdy, co wpływem swym mogą
„Popchnąć mię różną od obranéj drogą:
„Jeśli jest jaki talizman uroczy,
„Coby mi przeszłość z pamięci wymazał,
„Coby na przyszłość zapomnieć mi kazał:
„Tym talizmanem—byłyby twe oczy! —
„Lecz nie!—to próżno!—nie ma nam sposobu!
„Wyrok mój jasny—dopełnić go muszę—
„Musim się rozstać!—i z téj strony grobu
„Już się nie ujrzym!—bo choć nasze dusze
„Sam Bóg powiązał—świat wiecznie rozdziela.—
„Słuchaj mię, słuchaj! arabska dziewico!
„Wprzód gwiazdy razem ze słońcem zaświécą,
„Niż ja się złączę z krwią nieprzyjaciela! —
„Twój ojciec....."—
—„Nie kończ!—niech go Allah strzeże!
„Wzrok twój mu zda się nieszczęściem zagraża.

„Lecz ty go nie znasz—nie wiész, jak on szczerze
„Szanuje męztwo, i mężnych poważa!—
„Dość niech cię pozna!—nikt pewno goręcéj
„Czcić cię nie będzie, ani kochać więcéj.—

„Pomnę, w dzieciństwie, gdy w jego komnatach
„Lubiłam czasem bawić się z orężem,
„On mi rokował, że w późniejszych latach
„Bohater jakiś być musi mym mężem.
„I teraz nawet, gdy mu na wieczerzę
„Przynoszę sorbet i owoce świeże,
„A on nie smutny—jak się często zdarza—
„Lub go nie trudnią rządowe zajęcia,
„Pieszcząc się ze mną, z uśmiechem powtarza,
„Że wojownika chce tylko za zięcia:
„Bo mężne serce i chwała z oręża,
„Są najdroższemi bogactwami męża.“—

„Ty się odwracasz?—ach! ty mój jedyny!
„Ty zyskasz łatwo chwałę i wawrzyny!
„Wstąp w jego szyki!—Wiész, że się zuchwali
„Gwebrowie znowu do buntu porwali...—
„O! ja nieszczęsna! spójrzałeś tak srogo!—
„Czyliż te rady obrażać cię mogą?—
„Ach, nie!—w twym wzroku, co tak ogniem pała,
„Błyszczy już przyszłe zwycięztwo i chwała.
„Wstąp w jego szyki!—lecz śpiesząc na boje,
„Hamuj w nich, proszę, zapał twego męztwa;
„Pomnij, że miłość, i że serce moje
„Czekać cię będą z nagrodą zwycięztwa!—

„Wtenczas się o nie śmiało upominaj,
„Gdy ci, którymi mój ojciec się brzydzi,
„Bezbożne Gwebry....."—
—„Milcz, milcz! nie wspominaj
„Tego imienia!—twe słowa są gromy!"—
Krzyknął z rozpaczą młodzian nieznajomy,
I płaszcz swój rozkrył:—„Czy twe oko widzi
„Ten pas? znak Gwebra?*)—Płacz więc, lub przeklinaj!
„Jak nas twój ojciec klnie i nienawidzi!

„Tak!—jam jest z tego *bezbożnego* rodu,
„Co choć nas ściga wasza zemsta sroga,
„Wiernie w godzinach wschodu i zachodu
„Wielbimy w słońcu tron żywego Boga **)!
„Tak!—jam jest jeden z tych nędznych tułaczy,
„Wiernych ojczyznie, zemście i rozpaczy,
„Co klnąc Arabów, co nas w jarzmo wprzęgli,
„Na krew poległych braci zaprzysięgli,
„Dopóty walczyć ogniem i żelazem,
„Aż lub kraj zbawim, lub zginiem z nim razem! —
„Dziki twój ojciec...—Lecz nie drżyj o niego!
„Kimbądź on dla nas—dawca życia twego

---

*) Dla odróżnienia się od bałwochwalców Indyjskich, Gwebrowie opasują się pasem skórzanym, i tak wielką do tego stroju przywiązują wagę, że bez niego chwili być nie mogą.—

**) Gwebrowie utrzymują, że tron Najwyższego jest w słońcu, i dla tego tylko cześć mu oddają.—

„Świętym jest dla mnie, jak Mitry ołtarze,
„Gdy na nich ogień ofiarny rozżarzę. —
„Lecz wiedz, żem jego szukał w owéj nocy,
„Gdy widząc światło na bezbronnéj wieży,
„Nadzieja zemsty dodała mi mocy:
„Wdarłem się tutaj od morskich wybrzeży —
„Wdarłem się z mieczem — z sercem krwi spragnio-
ném... —
„Lecz ach! któż zbada tajnie przeznaczenia? —
„Chciałem zejść sępa w gniaździe zakrwawioném,
„Znalazłem tkliwą gołąbkę zbawienia!... —
„Tyś zwyciężyła! — Cel, co mię tu znęcił,
„Wypadł z méj duszy; — twój grzech, jeślim winien,
„Żem jedną chwilę miłości poświęcił,
„Gdym tylko zemście wszystkie był powinien! —

„Obym ja nigdy, nigdy nie znał ciebie!
„Lub mógł zapomnieć: jak byłem szczęśliwy,
„Jakbyśmy byli szczęśliwi — jak w Niebie!.. —
„Gdyby — o! Hildo! — nie ów los straszliwy,
„Co wśród nas stanął — i nielitościwy
„Tak nas daleko rozepchnął od siebie! —

„O! gdyby kraj mój był i twoim krajem!
„Gdybyśmy w jednéj wsi, o! moja droga!
„Wzrastali razem, i jednego Boga
„O szczęście swoje błagali nawzajem;
„I połączeni węzłami świętemi
„Wspomnień dzieciństwa i rodzinnéj ziemi,
„Radzi z ubogiéj po ojcach spuścizny,
„Kochali siebie miłością ojczyzny!

„Gdybym z ust twoich, w pełnym westchnień głosie,
„Usłyszał piosnkę o jéj dawnym losie,
„Kiedy nasz Iran wielkim był Iranem!
„Gdybym w twych oczach, coby ogniem tlały,
„Ujrzał blask święty jego dawnéj chwały,
„Lub w łzach twych litość nad dzisiejszym stanem!...
„Wtenczas-to, wtenczas, mójby miecz zabłysnął —
„I biada temu, co te łzy wycisnął!
„Zmyćby je musiał morzem krwi wylaném!

„Lecz cóż nam dzisiaj, że nas miłość sprzęga,
„Dziś—gdy nas wszystko na wiek wieków dzieli:
„Wiara, ojczyzna, powinność, przysięga?—
„Gdybyśmy sobie wiernemi być chcieli,
„Musimy zdradzić krew naszą i Boga!—
„Ojciec twój nami jak piekłem się brzydzi:
„Ty sama może...—Przebacz, moja droga!
„Nie!—tak nie spójrzy ten, co nienawidzi!—
„Nie!—moja Hilda!—o! ja znam jéj duszę!
„Ona się losem Iranu rozczuli:
„Wyzwoli jeńców, odwróci katusze,
„Pocieszy wdowy, sieroty przytuli!
„A gdy w obronie nieszczęśliwéj ziemi,
„Ostatni nasi polegną rycerze:
„Pomnij, że jeden z nich kochał cię szczerze —
„Przez miłość dla mnie, zapłacz nad wszystkiemi!—
„Lecz patrz!“—
Tu umilkł, i blednąc na twarzy,
Ukazał tylko na odległe wały,

Gdzie jak ogniki nad grobem żeglarzy,
Błękitne światła przeze mgłę migały,
I podwojone morskiemi zwierciadły,
Sypiąc iskrami, wzlatały ku górze:
Że rzekłbyś gwiazdy, co do morza spadły,
Lecą znów osiąść na niebios lazurze.

„Bądź zdrowa, Hildo!—to są hasła moje—
„Puszczaj mię, puszczaj!—bo hasła złowieszcze.—
„Chwila spóźniona—a zginiem oboje! —
„Najmilsza moja! raz jeszcze! raz jeszcze!
„Żegnaj!—Ojczyzno! teraz jam twój znowu!“ —
Rzekł, i wprost z ganku skoczył w głąb parowu,
Jakby śmierć tylko pociechą rozstania. —
A ona blada, bez tchu, bez pamięci...
Wszystkie jéj myśli, uczucia i chęci,
Zlały się w jeden zamęt obłąkania!—
Wtém w głębi woda zaplusnęła głucho.
Szmer ten jak gromem uderzył jéj ucho—
Szmer ten jéj zda się hasłem jego zguby!—
Podniosła ręce—na kraj ganku bieży,
Jak gdyby za nim w dół rzucić się z wieży:
„Idę za tobą! idę, o! mój luby!
„Niech nas przynajmniéj w téj saméj topieli
„Jedna śmierć razem oboje pogrzebie!
„Milej mi z tobą umierać, niżeli
„Żyć wieki wieków, daleko od ciebie!“—

Lecz nie wybiła jeszcze ich godzina—
Bo łódź w téj chwili z cienia skał wybiegła,

I z szumem drogę pienistą przerzyna,
Tam, gdzie znów ognie błękitne postrzegła.
I uskrzydlona żaglem w pomoc wiosła,
Lekko, swobodnie ulata po falach:
Jakby wesołość tylko w sobie niosła,
I nikt na brzegu nie pozostał w żalach!—

KONIEC PIEŚNI PIĘRWSZÉJ.

PIEŚŃ DRUGA.

Nad Perskiém morzem ranek świta blady.
Coraz to jaśniéj widać okolice:
Widać palmowe Bareinu sady,
I ambrozyjskie Kiszmai winnice *),
I różnobarwne wysp kwiaty i krzewy.
Tchnie brzeg Arabski wonnemi balsamy:
A z wód Indyjskich łagodne powiewy,
Wkoło świętego nadbrzeża Selamy **),
Igrają z falą i z kwiatów wieńcami,
Które z ziem róznych pobożni żeglarze,
Z ziół swych ojczystych uwiwszy je sami,
Płynąc tu, morzu poświęcili w darze,

---

*) Barein i Kiszma, wyspy na Zatoce Perskiéj

**) Selama, albo Sełemek, jest to właściwie nazwisko przylądku, zwanego pospolicie Musseldom. Indyanie płynąc około niego, rzucają w morze owoce i kwiaty, dla otrzymania szczęśliwéj żeglugi.

Na cześć wielkiego Gieniusza wody,
Za wiatr przychylny i wierne pogody.—

Słowik się rozstał z rożanemi krzewy,
Zkąd nócił w nocy niesłuchane śpiewy,
I przed spójrzeniem jutrzenki się chroni,
Pod cieniem liści granatnych jabłoni,
Co od jéj blasku, na tle swéj zieleni,
Błyszczą jak tęczą ognistych kamieni,
Oblane rosy tak czystéj perłami,
Że najlepszego oręża nie splami *),
Że miecz nią zlany, wartby jeszcze z rana
Uzbrajać ramię młodego Sułtana,
Gdy po raz piérwszy zasiądzie na tronie!

Lecz oto słońce ze wschodniéj purpury
Wzniosło promieńmi uwieńczone skronie—
I już świat cały ogniem życia płonie! —
Słońce!—Aniele światłości! ty, który,
W dniu narodzenia świata i natury,
Sam piérwszy, wiodąc jasne gwiazd gromady,
Wszedłeś w ogniste Stworzyciela ślady!
Gdzie są dni owe—świadku ich odwieczny!
Gdy cały Iran, jako kwiat słoneczny,
Z czcią i miłością, o każdéj dnia dobie,
Okiem i sercem zwracał się ku tobie?

---

*) Franklin, mówiąc o klimacie Szyrazu, powiada: „Rosa tak jest czysta, że najlepsza stal, przez całą noc zostawiona na dworze, nie zardzewieje od niéj.“ —

Gdzie są ołtarze, co wzdłuż jego krajów,
Jak dzieciom kazał przykład ojców stary,
Płonęły ogniem twojéj czci i wiary:
Od orzechowych Samarkandy gajów,
Do Bendemiru skalistych wybrzeży?—
Gdzie są?—Zapytaj cieniów tych rycerzy,
Co po jednemu walcząc z tysiącami,
Śród krwią oblanéj Kadesu płaszczyzny,
Wrogów ją swoich zasławszy trupami,
Szczęśliwi! z chwałą polegli i sami —
Nie czują więzów, ni krzywd swéj ojczyzny!—
Spytaj wygnańca, co w nędzy wygnania,
Bez pocieszenia, bez politowania,
W pustyniach życie prowadzi tułacze:
Albo z wierzchołka gór wiecznie zimowych,
Patrzy ku stronie Iranu, i płacze
Po kraju słońca i cieniów palmowych!...

Lecz czyż Iranu chwała i ołtarze
Na zawsze w Mitry zagasły pieczarze?—
O nie! są jeszcze synowie w Iranie,
Co nie napróżno Muzułmanom grożą:
Co za swą wiarę, za krew swoich braci,
Dopóty miecza i zemsty nie złożą,
Póki ich słońce światłości nie straci,
Póki im ziemi jak na grób zostanie!
Młodzieńcze serca, w których siła ducha,
Na lada krzywdę płomieniem wybucha;
I dusze męzkie, w których mrocznéj głębi,
Gniew, jako ogień w przepaściach wulkanu,

Tleje ukryty, lecz się nie wyziębi,
Aż przy nim zemsty dojrzeją nasienia,
Aż jako palma olbrzymia Ceylanu *),
Hukiem rozkwitu świat zbudzą z uśpienia!...

Lecz któż jest, który na Iranu brzegach
Rozwija sztandar wolności i chwały;
Przed czyim mieczem, w złamanych szeregach,
Arabskie hordy po polu pierzchały,
A on spokojnie postępował daléj,
Śród muru włóczni Kermańskich górali?—
Są to ostatni wiary swéj obrońce,
Lecz umrzeć za nią każdy żądzą pała:
Jakby w ich sercach, jak w ich górach słońce,
Cześć jego światła najdłużéj jaśniała!

Hafed ich wodzem;—imię to straszliwe,
Jak złośliwego rym czarnoksiężnika;
Dość je wymówić—drżą tłumy lękliwe,
I najmężniejszych zimny dreszcz przenika.—
Hafed—o którym Arabowie w nocy
Tak dziwne wieści prawią przy ogniskach,
O jego wzroście i nadludzkiéj mocy,
O jego oczu rażących połyskach:

---

*) *Talpot* albo *Tapilot*. Piękny ten gatunek palmy, rosnące w głębi największych lasów, może się policzyć do najwyższych drzew; a gdy rozkwita, wydaje łoskot podobny do wystrzału z działa.

Że nieraz straże słuchając z uboczy,
Z trwogą swój kaptur nasuną na oczy *),
By się im Hafed nie zjawił śród cienia,
By ognistego nie spotkać spójrzenia!—
Bo Hafed, mówią, nie z ludzkiego rodu:
Szczep tajemniczéj rodziny Tamura **),
Co mu, gdy wojnę prowadził za młodu,
Gryf Symurg z piersi dał zaklęte pióra,
Które gdy szyszak jego okrywały,
Miecz go nie ranił, nie dosięgły strzały.
Te pióra dzisiaj zdobią hełm Hafeda,
A sam Duch Ognia wspiera go przez czary:
Bo przezeń wierze swojéj upaść nie da,
A chciałby zguby muzułmańskiéj wiary.

Taka wieść o nim, którą Arab szerzy,
I chcąc lżyć wroga, sam swój postrach wzmaga.—
Lecz on, wódz młody Irańskich rycerzy—
Talizman jego, jest miecz i odwaga;
A te tak straszne Muzułmanom czary:
Miłość ojczyzny, wolności, i wiary!

---

*) Arabowie noszą odzież z kapturem, podobnym do kapturów mniszych.

**) Imię jednego z najdawniejszych królów perskich, którego dziwne przygody i bohaterskie dzieła słyną w poezyach wschodnich. Gryf Symurg, który go sam na pustyni wykarmił, dał mu na ozdobę kilka piór swoich, które go niezwyciężonym czyniły, i przeszły spadkiem do jego następców.

Krew, co w nim płynie z bohaterów dawnych,
Miła jest ziomkom i czczona w Iranie,
Nie z długich wieków, lecz z dzieł synów sławnych;
Jako ta rzeka na górze Libanie,
Co ztąd jest tylko i świętą i głośną,
Że święte cedry na jéj brzegach rosną *).

Nie z jego duszą, nikczemném kolanem
Bić przed swym wrogiem, i przed Muzułmanem!
Nie jemu miejsce w niewolników gronie,
Co na sam widok turbanu na głowie,
Blednąc na twarzach pochylają skronie,
Jak nagłym wichrem pognane sitowie!—
O! nie!—on uciekł w pustynie—tam woli
Spotkać tygrysa, niż braci mordercę,
Gdzieby mu każda łza ich nędznéj doli
Jak kropla ognia spadała na serce!
Tam—jak kochanek, któremu zaświtał
Piérwszy wzrok długo czekanéj miłości:
Tak on tam piérwszy blask miecza powitał,
Gdy w ręku zemsty błysnął dla wolności! —

Lecz próżne męztwo!—próżno kwiat Kermanu,
Gardząc mnogością Al-Hassana dziczy,
Jak z chmur zesłany obrońca Iranu,
Zstąpił z gór zerwać łańcuch niewolniczy!

---

*) Rzeka ta, mówi Dandini, ztąd tylko zowie się *świętą*, że płynie pomiędzy cedrami, które są miane za święte.

Próżno ognisty, jak sam Bóg ich, słońce,
Zapał w ich sercach dzień zwycięztwa wróżył!
Przeciw ich jednéj, wróg miał strzał tysiące,
Przeciw jednemu, co tysiące pożył,
Miryadami płynął tłum pohańczy:
Aż po daremnym morza krwi rozlewie,
Zastęp ich zrzedniał—jak liście na drzewie,
Gdy po niém chmura przeleci szarańczy.—

Jest niedaleko Gombarunu miasta,
Wysoka, stroma, przepaścista góra,
Wierzch jéj skalisty nad morze wyrasta,
I cięży nad niém, jakby wieczna chmura,
Jakby wiszące ogniwo, co kończy
Gór owych łańcuch, co bodąc obłoki,
Od bram Kaspijskich do Perskiéj zatoki,
Dwa światy dzieli, i dwa morza łączy.
Skały sterczące w krąg u jéj podnóża,
Zdają się nagie olbrzymy śród morza,
Postrach i wrogi żeglarzów ciaśniny;
A z jéj ostrego, najwyższego szczytu,
Na tle pogodnym jasnego błękitu,
Czernią się dawnéj świątyni ruiny.
Nieraz Albatross w powietrzu drzemiąca *),
Gdy o ich mury senném skrzydłem trąca,

*) Ptaki te, podług dawnego mniemania, śpią na powietrzu, i są bardzo pospolite na Przylądku Dobréj Nadziei.

Z krzykiem przestrachu zdumiona się budzi,
Że i w obłokach są mieszkania ludzi.
Pod stopą góry, jéj wnętrza kamienne,
Czas pobił w groty i lochy bezdenne,
Gdzie fale morza z wściekłą wpadłszy mocą,
Pienią się, ryczą, i wrzeniem bełkocą —
A taki łoskot wkoło się rozlega,
A taka straszna wieść po kraju biega
O duchach, które tam się dręczą na dnie:
Że żaden Arab, chociaż w boju śmiały,
Za skarby świata, skoro mrok zapadnie,
Nie zbliży łodzi do téj Gwebrów skały.—

Od strony lądu, te na szczycie wieże,
Co je czas, zda się, jak swój pomnik strzeże;
Od reszty świata, od ludzkiéj napaści,
Dzieli szeroko rów strasznéj przepaści,
Tak niezgłębionéj, tak dzikiéj, tak ciemnéj,
Że zda się bramą, zkąd piekielne duchy
Wychodzą na świat z otchłani podziemnéj.
Jako echo gromów, huk się tylko głuchy
Wznosi z jéj głębi:—lecz nie dójrzéć okiem,
Czy to jest woda, co w łożu głębokiém
Szumi wezbrana; czy gdzie w łonie ziemi
Ogień tak huczy z wichry podziemnemi:
Bo znać, że kiedyś w czasie zapomnianym,
Cała się góra paliła wulkanem *).

*) Świątynie Gwebrów były pospolicie budowane w miejscach, gdzie się znajdują ognie podziemne.—

Lecz choć wiek dawny, gdy z jéj wzniosłych szczytów,
Z owych jéj świątyń—których same szczęty
Cześć budzą jeszcze:—śród niebios błękitów,
Wieczny jak słońce, pałał ogień święty;
Choć go kapłani i wierni czciciele,
Krwią swą i łzami zaleli w popiele:
Znowu—o! cudo niepojętéj mocy!—
Z gruzów tych Iran codzień widzi zdala,
Jak w dzień słup dymu, a słup ognia w nocy,
Wzbija się w niebo:—bo któż go zapala?

Tam Hafed resztę odważnych w Iranie,
Przed Muzułmanów zemstą uprowadził.
„Witam was—wołał—wy dzikie otchłanie!
„Choćby w was Eblis tron piekieł osadził,
„Wy rajem temu, kto w waszym pomroku,
„Ujdzie niewoli i wroga widoku!“—
Rzekł, i po ciasnéj, po jedynéj drodze,
Którą znał tylko on i jego wodze,
Po wątłym moście nad głębią jaskini,
Przeszedł ją z braćmi, i wszedł do świątyni.

„To miejsce, bracia! jedno nam zostało,
„Gdzie możem umrzeć, i zapłakać śmiało.
„Łez naszych widzieć wzrok nie będzie wroga,
„Ani z nich jego urągać pochlebce!
„Tu możem umrzeć:—tu zuchwała noga
„Muzułmanina naszych ciał nie zdepce!
„A choć konając obaczym, jak sępy
„O skały na nas ostrzą dziób swój tępy;

„Chociaż czuć będziem, jak z nas ząb tygrysa,
„Albo hyena ciepłą krew wysysa:
„Cieszyć się będziem śród saméj rozpaczy,
„Że jéj w nas tutaj Arab nie zobaczy.“—

Tak mówił Hafed—a wtém ogień święty,
Co na ołtarzu sam przed chwilą wzniecił,
Jakby tajemnym tchem duchów rozdęty,
Wzmógł się w téj chwili, i twarz mu oświecił.

„Stało się!“—kończył—co dłoń ludzka może,
„Myśmy zrobili w obronie Iranu.
„Lecz gdy sam Iran, w spodlonéj pokorze,
„Chce nieść hołd obcym i bogom, i panu:
„Jeśli ci nawet—ci, których krew sama
„Zwaćby powinna w ślady wielkich ojców,
„Synowie plemion Zala i Rustama *),
„Cześć widzą w pętach bisurmańskich zbójców;
„Albo—o! hańbo!—gdy Mitry ołtarze
„Zalały świeżo krwi kapłańskiéj rzeki,
„Oni, bezwstydni, padają na twarze
„Przed ołtarzami oszukańca z Mekki!...
„Niech więc przed wrogiem Iran gnie kolano,
„Do całowania stóp jego niech drze się,
„Aż więzy jego tak sprośne się staną,
„Że najpodlejszy ich dłużéj nie zniesie.

---

*) Rustam, syn Zala, najsławniejszy bohater perski. Pomiędzy Gwebrami są jeszcze ich potomkowie.“

„Aż wstyd, na który tak długo nie dbali,
„Do rdzeni wewnątrz ich dusze przepali;
„Aż łzy, gdy nawet i płakać zakażą,
„Połknione, pierś ich trucizną zarażą...
„Wtedy—ha! wtedy znajdą się obrońce—
„Z burzy i z nocy odradza się słońce!—
„Lecz dziś, o! bracia! zostaliśmy sami,
„Których dusz podłość, ni zdrada nie plami.
„Miejsc tych Araba tchnienie nie skalało:
„Tu więc zostańmy!—a choć nas tak mało,
„Choć nam z ran jeszcze płynie krew gorąca —
„Dość nam krwi jeszcze na zemstę zostanie!
„Pójdziem, jak dziki lampart na Libanie *),
„Czyhać na zbójców po zachodzie słońca,
„I na kark z góry wskoczym niespodzianie!
„A gdy się miecz nasz na ich czaszkach złamie,
„Gdy już od rzezi omdleje nam ramię,
„I dalszéj pomsty nie znajdziem sposobu:
„Wtedy, zmuszeni Bogu ją zostawić,
„Wrócim tu sami do wolnego grobu,
„Umrzeć za Iran—nie mogąc go zbawić!“—

Rzekł—wszystkim wodzom łzy z oczu wytrysły,
Wszystkie ich miecze w powietrzu zabłysły,
Wszystkie skłonili ku gruzom ołtarza.—
Choć wkoło tylko pustka i zniszczenie,
Choć sam gruz nawet upadkiem zagraża,
A ze ścian między rozpadłe kamienie

*) Lampart czatuje siedząc i czając się na drzewie, i z góry skacze na zdobycz. *Russel*

Bluszcz tylko zwisa, lub chwast szumi suchy:
Tu, gdzie najświeższe owoce i kwiaty
Lud niósł w ofierze, gdy niemi przed laty
Mag żywił przodków wędrujące duchy *);—
Choć teraz pusto—gdzie kapłanów rzędy,
Świąteczne niegdyś sprawując obrzędy,
Siały dym wonny z kadzielnicy brzękiem;—
Choć teraz głucho – gdzie hymnów tysiące
Witało codzień odrodzone słońce,
I obraz jego grał cudownym dźwiękiem **);—
Lecz Bóg ich dawnéj nie stracił potęgi,
Jak słuchał ojców, i synów usłyszy —
Gdy miecz podniósłszy, w imię towarzyszy,
Wódz wyrzekł słowo najświętszéj przysięgi:
Że się pomściwszy czci i krzywdy bratniéj,
Tu wrócą umrzeć, i pożegnać słońce. —
Oni! ostatni ojczyzny obrońce,
Umrzeć na gruzach świątyni ostatniéj!...

---

*) Pomiędzy innemi obrządkami, Magowie na wierzchołkach swych świątyń kładli rozliczne owoce i kwiaty, któremi, jak mniemano, karmiły się Perie i dusze zmarłych bohaterów. —

**)„Każdego poranku Gwebrowie idą tłumem do świątyń składać cześć wschodzącemu słońcu; na każdym ołtarzu znajdują się poświęcone sfery, zrobione za pomocą czarów, wyobrażające okrąg i twarz słońca—Sfery te, gdy słońce wschodzić zaczyna, rozjaśniają się same przez się, i obracają się wkoło z wielkim łoskotem.—Obecni mają wszyscy kadzielnice w ręku, i ofiarują kadzidła.—*Robbi Benjamin.*“—

O! wielkie dusze! godne łez Anioła,
Łez uwielbienia i żalu, któremi —
Oni nie wiedzą—że śród wrogów koła
Anioł-dziewica płakała nad niemi!
O! piękna duszo! w której miłość budzi
Tak tkliwą litość na cierpienia ludzi!

Życie jéj dotąd, bez trosk i bez grzechu,
Nakształt spokojnéj jasnych wód przezroczy,
Drzemało w niebios błękitnym uśmiechu:
Aż w nie swój miłość talizman uroczy
Rzuciła z góry, i wkrąg coraz daléj
Rozwiodła drżenie poruszonéj fali.

Niegdyś, Emirze! twa córka spokojna,
Choć wkoło wrzały pożoga i wojna,
Jedna w tym kraju z wesołém obliczem,
Żyła nie myśląc, nie wiedząc o niczém;
Jako na polu bitw perska lilija,
Gdy krew wkoło niéj płynie strumieniami,
Kwiat jéj tém bieléj ku niebu się wzbija,
Aż i jéj saméj kropla krwi nie splami.—
Niegdyś szczęśliwa, że cię los ocalił,
Nie czując innéj trwogi ni boleści,
Gdyś się po bitwach z krwi rozlanéj chwalił,
Nie słysząc, dzikich słuchała powieści.
Sam nieraz myślą dręczony bolesną,
Lub chodząc szybko w zapalczywym gniewie,
Sam nieraz klątéś wesołość niewczesną,
Co się w jéj słodkim ozywała śpiewie:

Jak arfa w jasnéj cherubina ręce,
Któréj głos w piekle słyszą potępieńce.—
Dzisiaj!—o! gorzki słodkich uczuć skutek!
Straszne nieszczęsnéj miłości męczeństwo!—
Jéj dusza—płomień; jéj spójrzenie—smutek.
Ach! a myśl o nim—rozpacz i szaleństwo!—
Słuch jéj brzmi dotąd słowami strasznemi:
„Przez miłość dla mnie, zapłacz nad wszystkiemi!“—
I gdy nieszczęsna każdego poranku,
O ległych w bitwie wczorajszéj usłyszy,
Nie śmiąc, nie mogąc spytać o kochanku,
Płacze go w każdym z jego towarzyszy.
Nie ujrzy miecza, ni włóczni błyszczącéj,
By się nie zdało, że krew jego na niéj:
Nie ujrzy strzały w powietrzu lecącéj,
By nie zadrżała, że pierś jego zrani.
Żadna ją siła na świecie nie skłoni,
Gdy się jéj ojciec uzbraja do bitwy,
By mu jak dawniéj, z cichemi modlitwy,
Miecz ciężki z własnéj podawała dłoni.
I gdyby nie ta czarnych dusz ślepota,
Co jak mgła z bagnisk powstaje nad niemi,
By się szlachetne uczucia i cnota
Mogły bezpieczniéj ukazać na ziemi:
Gdyby ta jego nie zaćmiła wzroku,
Wracając z boju, obaczyłby snadnie,
Że się w tém dzikiém, obłąkaném oku,
Że się w téj twarzy, co tak drga i bladnie,
Jakby się śmierci lękała widoku:
Że się w tych słowach plączących bezładnie,

Straszliwa zmiana jéj duszy objawia; —
I zgadłby może—bo i któż nie zgadnie,
Że taką zmianę miłość tylko sprawia?—

Nie owa miłość, pogodna, młodzieńcza,
Co tchnie rozkoszą i weselem bawi;
Co gdy się wzajem na ziemi zaręcza,
Ludzie ją chwalą, a Bóg błogosławi.
Nie owa miłość, co od lat dziecinnych
Wzrosła i kwitnie pod rodziców okiem,
I wszystkich uczuć najsłodszych—rodzinnych,
Urok, z swym własnym złączyła urokiem; —
Nie takie, Hildo! są twoje płomienie!
Żywioł ich, rozpacz i wieczne milczenie. —
Bo twe nadzieje, straszne ci jak grzechy;
Bo łzy twe, łzami zgryzot, nie pociechy.
Namiętność twoja, jak skarb źle zebrany,
Co pod zaklęciem w ziemi zakopany,
Grobowym ogniem błyszczy tylko w nocy;
Jak to bożyszcze czarnoksięzkiéj mocy,
Któremu czciciel nim cześć złoży własną,
Czeka, aż wszyscy prawowierni zasną!

Siedem już nocy okrywało morze,
Jak łódź jéj Gwebra w mgle dalekiéj znikła:
Lecz ona co noc o téj saméj porze,
Idzie na ganek, gdzie z nim bawić zwykła,
I we łzach czuwa do świtu, i czeka,
Czy go jak dawniéj nie ujrzy zdaleka. —

Lecz próżno czeka, próżno się spodziewa,
I bystrém okiem po przestrzeni wodzi,
Próżno się modli, i łzami zalewa —
Nie ma i nie ma pożądanéj łodzi!
Gdzie niegdzie tylko między dzikie skały
Nietoperz mignie, lub krwią ociężały
Sęp załopoce;—gdzie niegdzie śród ciszy,
Z głębi puszczyka zabrzmi śpiew grobowy,
W cieniach przepaści błysną oczy sowy,—
Oto jest wszystko, co widzi i słyszy.

Ósmy dzień błysnął;—Al-Hassana czoło
I oczy radość niezwykła rozżarza;
Usta mu nawet śmieją się wesoło. —
Komuż to jakie nieszczęście zagraża?—
Bo fal Herkendu iskrzenie się w burzy *),
Kiedy je wicher przewraca aż do dna,
Nie pewniéj zgubę i rozbicia wróży,
Jak jego uśmiech, albo twarz pogodna!

„Zbudź się, wstań, córko!— Kerna już zabrzmiała **),
„Głos-by jéj zmarłych obudził z pod ziemi,
„A ty śpisz jeszcze!—Wstań! byś powitała
„Dzień, co mię laury okryje nowemi,

*) Morze to podczas burzy iskrzy się jak ogień.

**) Kerna, gatunek trąby. — Takich trąb używano w wojsku Tamerlana, których dźwięk, podług opisów, miał być dziwnie przerażający, i tak głośny, że się na kilka mil (angielskich) wkoło rozlegał.

„Dzień, co mię wsławi i zbawi na wieki!
„Bo nim na niebie świt zabłyśnie nowy,
„Morze zrumienią krwi pogańskiéj rzeki,
„A na pal wbite ręce, serca, głowy...
„Ha! sam téj może pociechy dostąpię,
„Że miecz, dłoń moja, w krwi się jego skąpie!“ —
—„W krwi Jego!„—nagłym powtórzyła krzykiem—
Bo dla niéj tylko On jeden na świecie;
Bo myśleć więcéj nie umie o nikim!—
—„Tak, tak jest, Hildo!—ciesz się, lube dziecię!
„Mimo skał swoich i jaskiń, téj nocy
„Bezbożnik Hafed będzie w mojéj mocy!—
„Dzięki niech będą Prorokowi świętych!
„W moc go nam daje złota kiesa błaha;
„Inaczéj twierdze i złość tych przeklętych
„Mogłyby długo urągać z Allaha!..
„On to—poganin! co moję tu drogę
„Usłał stosami ciał mych wojowników;
„On to—syn piekła! co nawet był trwogę
„Rzucił przez czary wpośród moich szyków!...
„Ha! dzisiaj dozna, jak głęboko mogę
„Wpędzić żelazo w serca buntowników,
„Kiedy mi dobra zdarzy się pogoda,
„Gdy zemsta natchnie, a Bóg siły doda!—
„Wielki Proroku! na hełm Al-Mawasza *),
„Co w bitwach zdobił twoję skroń zwycięzką,

---

*) Mahomet miał dwa hełmy, jeden z nich zwał się Al-Mawaszah, co znaczy wieniec albo korona, i zdobił czoło Proroka w sławnéj bitwie pod Ohod.

„Klnę się przed tobą:—gdy dziś zemsta nasza,
„Twych i mych wrogów nasyci się klęską:
„Za każdą kroplę krwi, co po méj ręce,
„Co po mym mieczu z ich piersi popłynie,
„Z min perskich kamień najdroższy poświęcę,
„Na twych ołtarzach w Mecce i Medynie!...—
„Nieba! ty mdlejesz!—córko! dziecię moje!...
„Jak blade usta! jak szkliste spójrzenie!—
„Nie! nie dla ciebie, widzę, krew i boje!
„Żyć ci, jak żyłaś, w spokojnym Jemenie *)!—
„Anibym słabéj płci twéj nie wystawił,
„Żebyś się miała trwożyć krwi widokiem,
„Gdybym nie myślał, że za każdym krokiem
„Tryumf mój tylko będzie wzrok twój bawił.—
„Ja byłem pewny—i na to cię wziąłem—
„Że Pers pokornem uderzy mi czołem,
„Że się przed tobą, jak bóztwem pokłoni,
„Że cię te hołdy ucieszą—a oni! —
„Bezbożne plemię!—wzięli się do broni!—
„Lecz się uspokój!—wiatr, co teraz wionie,
„Chłodząc twe usta spalone i skronie,
„Wnet żagle twego powrótu rozwinie;
„I nim krew wrogów, co w nocy popłynie,
„Skrzepnie na skałach, albo wsiąknie w ziemię,
„Spoczniesz bezpieczna w rodzinnym haremie!“—

Groźby Emira nie daremne były.—
Na świętéj górze, gdy oczy Hafeda

*) Arabia szczęśliwa.

Z dumą ostatnich braci swych liczyły,
Mógłże on myśleć, że go z nich kto przeda? —
Lecz ach! był Gweber, co swą duszę zmazał,
Odstępca braci, ojczyzny, i wiary;
Gweber, co drogę Arabom pokazał,
Ów most tajemny nad głębią pieczary,
Ostatnią twierdzę, i ufność ostatnich
Obrońców wiary, mścicieli krzywd bratnich!

Śród nich raz walcząc z Arabami śmiało,
Przemożon liczbą i okryty blizny,
Został na polu—lecz nie umarł z chwałą;
Słońce, co jego grób oświecać miało,
Widzi go jeńcem—i zdrajcą ojczyzny!—
I gdy się bracia, co zdołali wrócić,
Nad stratą jego nie przestają smucić;
Albo o jego rozmawiając chwale,
Nadzieją zemsty wspólne koją żale:
On żył—i rękę po złoto wyciągał,
Przedał krew braci, i słońcu urągał.

O! gdzież są słowa na przeklęcie zdrady!
Co jak zaraza z piekieł wyzioniona,
Padnie na mężnych odwagę i rady,
Pomięsza serca, i zemdli ramiona?
Gdzie godna kara nędznika—zbrodniarza,
Co kupcząc przyszłém zbawieniem i cnotą,

Bluźni na stopniach cudzego ołtarza,
Krew braci swoich przedawszy za złoto?—
O! niech dlań zdrada będzie karą zdrady!
Niech jéj gorzkiemi zaprawiony jady,
Zdrój życia łzami do ust mu się leje!
Niech sen jak zdrajca odbiegnie od łoża!
Niech jego radość, pociechy, nadzieje,
Jako owoce Umarłego Morza *),
Łudząc wzrok chciwy i piersi spragnione,
W ustach się w popiół rozsypią jak one!
Niechaj się w zbrodni uporem zatwardzi,
Niech się nim dzieci i rodzice brzydzą,
Niech go przyjaciel—nie!—sam wróg niech wzgardzi,
A z nędzy jego najpodlejsi szydzą!
Niech po pustyniach błądzi bez ochłody,
Niech przed nim słońce łudzącemi blaski
Mami go wiecznie morzem świeżéj wody,
A on niech coraz brnie w gorętsze piaski **)!

---

*) Jezioro Asfalt, znane pod tém imieniem, zawiera w sobie taką ilość soli, i tak szkodliwe wydaje wyziewy, że ani ryby w jego wodzie, ani zwierzęta na brzegach żyć nie mogą; przelatujące nawet nad wodą jego ptaki upadają bez życia.—Na brzegach jego znajdują się gatunek jabłoni, których owoce świeże i piękne na pozór, wewnątrz są pełne popiołu, jak purchawki. *Tevenot.*

**) Znane są złudzenia oka na piaszczystych pustyniach, pochodzące ze drżenia przepalonego skwarem powietrza. Najmniejszy wzgórek, drzewo, lub jaki inny przedmiot, przybiera nieraz w oczach podróżnych kształt obszernego miasta, lasu, albo jeziora. Zjawisko to, zdarzające się niekiedy i na morzu, zowie się u naturalistów Fata Morgana.

A gdy w rozpaczy końca mąk zażąda,
I sam się musi dobić ręką wściekłą:
Spraw, o! Proroku! niech na raj spogląda,
A sam niech wiecznie—wiecznie cierpi piekło!—

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ

PIEŚŃ TRZECIA.

Dzień blizki końca:—czarny i ponury
Blask morskiéj wody, choć leży uśpiona,
Wyżéj i niżéj nad nią mgły i chmury
Wiszą jak niebios podarta zasłona:
A każda tylko lub nawałność wróży,
Lub zda się szczątkiem przeminionéj burzy.—
Te z nich rozwiane po niebieskich sklepach,
Jak końskie grzywy od wichru na stepach;
Te w czarnych kłębach tocząc się nad ziemią,
Zdają się pysznić, że w nich gromy drzemią;
I wszędzie tylko widać na przestworzu,
Tu obłok wstaje, a tam tonie w morzu.
Rzekłbyś, że burza straszna, niedaleka,
Chmur już matczyne rozszarpawszy łono,
Z piorunném jeszcze narodzeniem czeka,
Aż się zuchwałość jakiego człowieka
Odważy puścić na wodę uśpioną.—

Na brzegu jeszcze wszystko w martwéj ciszy,
Strasznéj—straszniejszéj niż huk nawałnicy.
Najstarszy majtek zwołał towarzyszy,
By mocniéj łodzie przywiązać do brzegu;
Krzyk dziki ptastwa słychać w okolicy,
Gdy z morza w stadach, lub długim szeregu,
Leci, po skałach szukając zachrony.
W porcie już nieraz sternik doświadczony
Wstrzymał przybory; i wątpliwém okiem
Tocząc po niebie w dumaniu głębokiém,
Na nowy rozkaz zdał się czekać jeszcze.

Tak wszystko było groźne i złowieszcze,
Jak dola twoja, Arabska dziewico!
Gdy się z bezpieczną rozstawszy kotwicą,
Łódź twoja z portu szybkim poszła biegiem.—
Nikt cię nie żegnał:—ni muzyki dźwięki *),
Ni przyjaciele stojący nad brzegiem,
Coby ci głosem, lub skinieniem ręki,
Choć już nie widzisz, ni słyszysz w oddali,
Jeszcze ostatnie pożegnanie słali!—
Nikt cię nie żegnał—nie było nikogo.
Łódź twa samotna poszła dziką drogą,
Cicho, jak barka korsarzy w złym celu,
Przez straszną Bramę-Łez Babel-Mandelu **).

---

*) Mieszkańcy Wschodu puszczają się zwykle w podróż przy odgłosie muzyki.

**) Nazwisko Bramy-Łez, nadane zostało ciaśninie Babel-Mandel, z powodu niebezpiecznéj żeglugi, i częstego w niéj rozbicia

Gdzież był Al-Hassan, ów straszy bicz Boży?
Czyż ni na chwilę innych prac nie złoży,
By dziecię swoje w drogę błogosławił? —
Nie! — on samotny, zamknięty w haremie,
To zwąc Proroka, to klnąc Gwebrów plemię,
Blizkiéj ich rzezi obrazem się bawił:
Z rozkoszą sępa, gdy w stepach bez końca,
Przez dzień za błędną goniąc karawaną,
Zwietrzy, że zaraz po zachodzie słońca
Świeże z niéj trupy na żer mu zostaną *).
Podczas gdy jego córka nieszczęśliwa,
Płacząc od brzegów Iranu odpływa,
Jako gołąbka śnieżna Babilonu **),
Co lecąc z wieścią nowych zwycięztw plonu,
Choć ją z rąk krwawych zwycięzcy puszczali,
Żadna krwi skaza białych piór nie kali.

Lecz czyż nadzieja rodzinnego kraju
Żadną jéj serca pociechą nie darzy? —

---

okrętów w tém miejscu. Płynący przez nią uważani już byli za zgubionych, tak dalece, że równo z ich odjazdem, kładziono po nich żałobę.

*) O tym dziwnym instykcie sępów, przeczuwających blizką śmierć ludzi i zwierząt, świadczy wielu podróżnych na Wschodzie. „Ledwo zwierz lub człowiek padnie trupem na polu, natychmiast zjawia się jeden lub kilka sępów, których przedtém nigdzie nie było widać.“ *Pennat.*

**) Gołębie babilońskie lub bagdadzkie, sławne są z przenoszenia listów, które się im przywiązują pod skrzydło.

Tam wśród wonnego akacyi gaju,
Co tyle razy we snach jéj się marzy,
Błądzić znów będzie;—tam, gdy się zatrzyma
Na łąkach pełnych i róż i lilii,
Przyjdą się głaskać z jasnemi oczyma
Młode gazelki, z dzwonkami na szyi!—
Tam różnopióre, w napowietrznych klatkach,
Ptaki ją przyjmą dawnemi piosenki;
Tam całe w złotych oplecione siatkach
Rybki na dzwonek przybiegną do ręki *)!
Tam znów, gdy zgaśnie dnia światło gorące,
Będzie samotna w chłodniku z jaźminów,
Liczyć to gwiazdy coraz się mnożące,
To swój różaniec z pereł i rubinów!—
Ach! czyż te niegdyś tak miłe uciechy,
Żadnéj dziś sercu nie sprawią pociechy?—
Nie!—ona smutna, od sług swych zdaleka,
Siedzi i duma—jak gdyby już wsobie
Czuła chłód straszny losu, co ją czeka.
Siedzi i duma—piękna w swéj żałobie,
Jak smutny Aniół na świętego grobie.

I niepamiętna na chmury i wały —
Na Gwebrów tylko ponadbrzeżną górę,

---

*) Żona cesarsa Jehan-Guir, bawiła się zwykle karmieniem małych rybek w sadzawkach swego ogrodu. — Niektóre z nich, aby nie rosły, kazała oplatać całkiem delikatną siatką ze złota.

Harris.

Któréj cień właśnie jéj żagle mijały,
Oczy i myśli zwróciła ponure.—
Dzisiaj tam jeszcze—o! straszny obrazie!
Z gór strumieniami popłynie krew wrząca,
I dymić będzie na wrogów żelazie,
Jako ostatnie kadzidło dla słońca!
I on tam może!...—„O! strzeż go od zguby,
„Strzeż go, Allahu!“—zawoła w rozpaczy.—
„Mój nieznajomy! mój drogi! mój luby!
„Tyś wróg nasz, Gweber!—lecz co mi to znaczy?
„Co mi twe imię?—gdy między wszystkiemi,
„Tyś mi najwyższy, najmilszy na ziemi!—
„Wielki Allahu! gdy to gniew twój wzrusza,
„Każ, niech mię zaraz to morze pogrzebie,
„Wprzód niźli moja obłąkana dusza
„Zapomni ojca, i wiary, i ciebie!—
„Ratuj mię, ratuj!—wszak znasz serce moje,
„Wiész, jak go kocha; widzisz, jak się boję,
„Aby dla niego Nieba się nie zrzekło:
„Bo raj bez niego, straszny mi jak piekło!“—

Tak się modliła padłszy na kolana—
Wzniesione oczy, i dłoń załamana.
I choć jéj usta, w dzikiém uniesieniu,
Grzeszą rozpaczą; choć z Niebem się swarzy:—
Niebieski promień jaśnieje w spójrzeniu,
Niebieska świętość oddycha z jéj twarzy!
Bo taka dusza—choć zbłądzi w pomroku,
Jak Anioł we mgle, nie zmieni postaci;

Jak promień słońca, złamany w potoku,
Choć zboczy z nurtem—jasności nie traci. —

Lecz tak się w myślach głębokich ponurza,
Że choć się niebo zaćmiło jak nocą,
Ona nie widzi;—choć gwałtowna burza,
I przeraźliwy wicher z wściekłą mocą
Ciska okrętem:—nic to jéj nie wzrusza.
Nawet ów hałas tak nagły, tak dziki,
Co nad jéj głową huk gromów zagłusza:
Te szczęki mieczów, stąpania, i krzyki...
Ona nie słyszy.—A wtém jednym razem,
Okręt zaskrzypiał, zatrzeszczał tak nagle,
Jak gdyby pokład, i maszty, i żagle,
Jęknęły ciężkim przywalone głazem,
Śród wrzasku majtków, i jęków rozpaczy! —
Straszliwy łoskot!—Nieba! cóż on znaczy?—
Nie głos to burzy—choć niebo i morze
Grzmią jak grom jeden!—„O! przebacz mi, Boże!
„Przebacz mi!“—Hilda krzyknęła—i zbladła,
Jakby szła stanąć przed sędziego tronem,
Wpół martwych dziewic otoczona gronem,
Podnosząc ręce, na kolana padła:
„Allah! twa litość nad nami niech świeci!“ —
A wtém znów z góry, raz drugi i trzeci
Skrzyp się powtórzył—zapadły się deski,
Jakby je piorun roztrzaskał niebieski,
I pokład runął.—O! straszny widoku!
Krew, woda, trupy, i ludzie w natłoku,

Spadają, walczą—ci zemdloną dłonią,
Jeszcze znać życia i łodzi swéj bronią;
Tamci z okrzykiem: „Za Iran i Boga!“
Znać już zwycięzcy, zabijają wroga.—

Jakiż stróż-Anioł strzegł wtedy jéj życia?
Czyja dłoń nad nią czuwając statecznie,
Z pośrodka szaleństw rzezi i rozbicia,
Zemdloną, martwą, uniosła bezpiecznie?
Ona niepomni;—nagłe zimno dreszczu
Pierś jéj ścisnęło—i blada leżała,
Śród krwi i ruin, jak lilija biała,
Zwiędła w wulkanów płomienistym deszczu.—
Lecz ach! straszliwe obrazy i krzyki,
Co tkwią w pamięci jak sen jaki dziki!
Runący pokład—na deskach zachwianych
Walczące tłumy!—i wyżéj u góry,
Podarte szmaty żaglów krwią zbryzganych
Miotane wiatrem!—i ciemność, i chmury!
I błyski gromów, i miganie stali,
I szczęk oręża, i ryk morskiéj fali!...
Rzekłbyś, że cała natura się wściekła,
A rozdąsanych żywiołów szaleństwo
Z człowiekiem w gniewie walczy o pierwszeństwo—
Tak wrzało morze—tak krew ludzka ciekła!

Raz tylko—Allah!—sen-że to niebieski,
Czy prawda była?—raz jednak się zdało,
Nim przed oczyma wszystko pociemniało,
Że nad przepaścią łamiącéj się deski,

Ujrzała postać duszy swéj Anioła;
Że wtenczas nawet—miłości złudzenia!—
We mgłach, śród burzy, nad sceną zniszczenia,
Świecił pogodnym blaskiem swego czoła,
Jak w pośród niebios burzliwych obwodu
Gwiazda Egiptu: co pała tak jasno,
Nieznana ludziom Białych Wysp Zachodu *),
Że przy niéj drugie jak przy słońcu gasną!
Byłoż to tylko przywidzenie, mara?—
Krzyk skonał w ustach—w oczach jakaś szara
Noc się rozwlekła; mdłość członki owładła—
Nie pomni więcéj—bez życia upadła. —

O! jak uroczy jest uśmiech pogody,
Jak luba cisza, gdy szturm już przewionie,
I głośne wichrów umilkną niezgody:
A rozjaśnione niebiosa i wody
Znów miłe słońce piastują na łonie!
Cała natura, tak piękna, tak świeża.
Zda się w téj chwili na nowo rozwija,
A niebo tęczą łaski i przymierza
Do snu zwaśnione żywioły spowija.
Kwiaty wróconą lubując się ciszą,
Lekko się z wiatrem łagodnym kołyszą,
I świeżéj woni balsam tchną w niebiosa.
Na liściach deszczu burzliwego rosa,

---

*) Jasny *Kanopus*, niewidzialny w Europie.

Jako ów kamień spadły w nawałnicy,
Tli zda się ogniem gromów błyskawicy *).
Tysiąc wietrzyków z murawą się pieści,
Tysiąc wietrzyków po liściach szeleści,
A każdy zda się innego stróż zioła,
Jego woń tylko roznosi dokoła.
A całe niebo blaskiem się uśmiécha,
A cała ziemia wonnością oddycha,
A całe morze usypia, ucicha —
Fale się tylko gdzie niegdzie podnoszą,
Jak upojone miłości rozkoszą
Piersi kochanki—gdy za lubym wzdycha!

Taka nad światem godzina wesoła
Swieciła wtenczas—świat w takiéj był ciszy:
Gdy Hilda z mdłości ockniona—dokoła
Nic, oprócz wody pluskania nie słyszy,
Co o brzeg łodzi bijąc zamiast wiosła,
Zlekka ją daléj po głębinie niosła.—

Lecz gdzież jest ona?—patrzy obłąkana —
Jestże to barka, co ją dzisiaj z rana
We łzach uniosłszy od Perskiego brzegu,
Szybkie delfiny wyścigała w biegu?—

---

*) Drogi kamień Indyjski, zwany u starożytnych: *Ceranium*, gdyż jak mniemano, znajdowano go tylko w tych miejscach, gdzie piorun uderzył.—Tertulian mówi, że się tak połyskuje z wierzchu, jak gdyby wewnątrz był ogień. — Najpodobniéj do prawdy że to jest opal.

Wszystko jéj tutaj nowe i nieznane.—
Gdzież jest jéj łoże jedwabiem usłane,
I nad niém namiot z kaszmirskiéj purpury?
Gdzie są dziewice, co strusiemi pióry
Powinny we śnie ochładzać jéj czoło?—
Gdzie są?—z przestrachem spójrzała wokoło.
Łodź z twardéj sosny ciosana po prostu;
Łożem jéj zbite dwie deski pomostu,
Grubo wojenną nasłane odzieżą.
Nad głową na krzyż trzy włócznie się jeżą,
Na nich skórzane pasy rozwieszone,
Cieniem od słońca służą za zasłonę.—
Przy sterze tylko, widać, ludzie zbrojni
Odpoczywają leżąc na pokładzie;
Krwawe ich ręce, ich szaty w nieładzie;
Smutni na twarzach—lecz wszyscy spokojni,
Znać że na dzisiaj pracy dokonali.—
Jedni po cichu prowadząc rozmowy,
Coraz to ku niéj rzucą wzrok surowy;
Ów marząc patrzy po dalekiéj fali;
Ów niedzielący wczasów towarzyszy,
Klnąc na wpół głośno napowietrznéj ciszy,
Z gniewem na wiosła nieczynne spogląda,
Jak gdyby użyć ich nie śmiał—choć żąda.—

Nieszczęsna Hildo! niech cię Allah broni!—
W całym orszaku tych majtków-żołnierzy,
Nie znać Arabskiéj broni, ni odzieży,
Zawojów nawet nie widać na skroni!—

Cała ich odzież, są żółte kaftany *)—
Barwa to Gwebrów!—jak pożarów łuna
Straszna Arabom;—każdy w nią ubrany,
Każdy wpół ciała nosi pas skórzany,
I czarny kołpak z tatarkiego runa. —
Tak!—drżyj nieszczęsna!—nikt ci wsparcia nie da—
A to są Gwebry—tyś w mocy Hafeda! —

Ach! na to imię nadzieja jéj znikła.—
On, wróg jéj wiary, jéj ojca, jéj rodu!
Postrach jéj ziomków!—on, co go od młodu
Tak nienawidzieć i bać się nawykła
Jak syna piekieł: co przez nie nadany
Wzrostem tak strasznym, spójrzeniem tak srogiém,
By wszędzie wierne niszcząc Muzułmany,
Rzucał cień między człowiekiem i Bogiem!...
Dziś w mocy jego!...—wkoło dzika tłuszcza,
Co krwi żadnego z braiców nie przepuszcza,
Cóż krwi jéj ojca—krwi ciemiężyciela? —

Biada ci Hildo!—Lecz cóż ją ośmiela?
Jakaż myśl nagła, lotem błyskawicy,
Pierś jéj przenikła i błyszczy w źrenicy—
Gdy śmiało, bystro tłum dziki przegląda?
Tak, że najśmielsi nawet wojownicy,
Spuścili oczy przed wzrokiem dziewicy,
Jak gdyby zgadli—kogo ujrzeć żąda.—

---

*) Oprócz skórzanego pasa, będącego charakterystyczną cechą Gwebrów, można ich jeszcze rozpoznać po ciemno-żółtym kolorze ich szat, naśladującym ogień. Czapki Persów są ze skór owiec tatarskich.

Próżne żądanie!—nie ma go!—przepadło
To tak krzepiące jéj duszę widziadło,
Co błysło tylko, jak ów sen uroczy,
Co przez dzień łzami zmordowane oczy
Na chwilę drogą postacią omami:
Obraz tęczowy, pół w świetle, pół w cieniu,
Co na tle duszy, w smutku lub uśpieniu,
Promień miłości maluje przed nami!—
Próżne żądanie!—lecz skoro ujrzano,
Że ze snu oczy i głowę podniosła,
Wnet, jakby tylko na znak jéj czekano,
Cała się rzesza rzuciła do wiosła;
Morze wkrąg białą okryło się pianą,
I wre pod łodzią—lecz gdzież łódź ich niosła?—
Spójrzała Hilda—o! straszne zjawisko!
To skała Gwebrów!—już blizko, już blizko!—
Oni wprost pędzą, gdzie zamiast przystani,
Czerni się paszcza podziemnéj otchłani.—
Wzrok się jéj zaćmił—zamknęła powieki.—
Niegdyś bezpieczna z okien swego gmachu
W tę stronę spójrzeć nie mogła bez strachu,
Gdzie wieczne wrogi Jemenu i Mekki,
Leżą ukryci po skałach i grotach,
Jak skorpiony w zatrutych swych splotach.—
Cóż teraz?— czyjéj zawezwie opieki?—

Z brzegów, słoneczną świecących pogodą,
Pod jasném niebem, po nad jasną wodą,

Ta jedna tylko przepaścista góra,
Mroczy się ciemna, groźna i ponura;
Nad czołem tylko jeden kłąb obłoku,
Jak krew od słońca czerwono jaśnieje,
Rzekłbyś, rozwita chorągiew wyroku
Wskazuje miejsce, gdzie się krew poleje.—

Gdyby Jéj myśli nie zmięszała trwoga,
Gdyby spójrzała—w téjby nawet porze
Dziwić się mogła, jak się ludzka noga
Na wierzch téj skały tędy dostać może?
Bo dotąd Arab wie tylko że na nią
Jedna jest droga—przez most nad otchłanią.—
Lecz ach! jéj myśli!—gdy nagły pęd wiru
Porwał łódź, skręcił, i niesie bez stéru,
Wprost, gdzie z łoskotem piorunów tysiąca,
Co chwila głośniéj wre fala hucząca.
„Pospuszczać maszty! pozapalać głównie!
„Prędko!“—głos groźny zawołał z pośpiechem.—
Runęły maszty z przeraźliwém echem,
Błysnęły światła—a fala gwałtownie
Zatrząsłszy łodzią i wzniósłszy do góry,
Pchnęła ją w paszczę otchłani ponuréj,
Czarnéj jak brama, przez którą z ohydą,
Po strasznym sądzie, potępieńcy idą.

Choć z łodzi świecą główną i pochodnią,
Blask ich czerwony nie dosięga daléj,
Jak piérwsze kręgi na tle czarnéj fali,
Co wre dokoła i pieni się pod nią.

Płynęli cicho—każdy bez oddechu,
Jakby oniemiał śród tego chaosu,
Śród tego mroku—gdzie nawet dźwięk głosu
Zdaje się mrocznym—i w dzikiém skał echu
Brzmi powtórzony wzdłuż sklepionych ciemnic,
Jak straszny poszept grobowych tajemnic.
Nagle łódź w biegu wstrzymała się sama —
Wstecz ją cofnęły fale zapienione;
Znać niewidoma odparła je tama,
Że nurt swój w inną obracają stronę:
I trzeba było naprzeć wszystkie wiosła,
By wód gwałtowność łodzi nie uniosła.—

Lecz co za echo?—Ktoś widać zuchwały
Z łodzi przez wodę skoczył między skały:
Dźwięki żelaza o głaz zabrzęczały,
I już do brzegu przykuta łańcuchem,
Drga łódź bezpieczna konwulsyjnym ruchem.
I w téjże chwili, jako słup promienny,
Smugiem od góry błysnął promień dzienny.
Lecz nim dziewica dójrzała lub zgadła,
Zkąd i którędy ta jasność się wkradła,
Dłoń czyjąś cudzą uczuła na skroni:
I wprzód nim krzyknie, wprzód nim się uchroni,
Oczy jéj gęsta zakryła zasłona.—
O! straszna chwilo!—przeczucia ponure!
Gdy ją wraz z łożem wzniósłszy na ramiona,
Ktoś wydał hasło—i poszli pod górę.—

O! blasku dzienny! jasności słoneczna!
Ileż pociechy, szczęścia w twym promieniu!
Oglądać codzień, i czuć je we tchnieniu,
Jest rozkosz życia tak miła, stateczna,
Że choćby wszystkie nadzieje zmyliły,
Siedzieć na słońcu, i patrzeć po niebie,
Człowieku! dość już byłoby dla ciebie,
Abyś się ciemnéj obawiał mogiły!
Tak Hilda, chociaż nie widzi i nie wie
Gdzie ją prowadzi niebezpieczna droga:
Ledwie dzień w ciepłym uczuła powiewie,
Wnet w niéj nadzieją rozświtała trwoga,
Wnet przypomniała kochanka—i Boga!

Krótka pociecha! bo droga ich znowu
Spada w głąb zimną mrocznego parowu. —
Tchnie wkoło wilgoć podziemnego zmierzchu,
Trzeszczą gałęzie, szeleści liść suchy,
A tu i ówdzie, z gór kamiennych wierzchu
Głaz spadający szerzy łoskot głuchy.
Echem tém zbudzon lampart wygłodniały,
Myśli że przemknął kozieł, albo łani,
I długo słychać, jak ze skał na skały
Skacząc, za głazem goni w głąb otchłani.
I znowu cicho—nim znowu gdzie zdala
Zabrzmi płaczliwe szczekanie szakala,
Albo hyena zawyje ponuro. —
Szum tylko wody wciąż słychać w głębinie,
Co gdzieś w przepaściach niedójrzana płynie,
Jak owa Czarna rzeka, po nad którą
Stoi Most Śmierci, otoczony chmurą.

Wszystko tu dzikie, okropne—a przecie,
Choć miejsc straszniejszych nie znaleźć na świecie,
Ujrzeć je, dla niéj byłoby pociechą:
Zgrozaby sama ulżyła bojaźni.
Bo cóż wyrówna strachom wyobraźni.
Rzuconéj w ciemność—gdzie takie brzmi echo?—

Zadrżała nagle—Czy ją sen znów myli?
Czy strach obłąkał?—Nie!—słyszy w téj chwili
Głos cichy, miły, jak arfa cheruba:
„Twój Gweber z tobą! nie bój się, o! luba!“ —
Nie! ona nie śpi– czuje całą sobą
Ten głos, te słowa: „twój Gweber jest z tobą!“ —
To był głos jego!—dotąd pierś i uszy
Brzmią jego echem;—nie! sen jéj nie łudził!—
Czyjżby głos inny tak trafił do duszy,
Takie w jéj sercu wzruszenie obudził?—
Ach! prędzéj róża najmłodsza śród krzewu
Weźmie szmer wiatru za pieśni słowicze,
Lub na głos ptaka gminniejszego śpiewu
Rumiane z pączka wychyli oblicze,
Niźli się miłość, w uniesienia chwili,
Cudzém westchnieniem lub głosem omyli!

Lecz choć się dusza marzeniem uśmiécha:
Że on jest przy niéj, że on patrzy na nią,
Że jego tchnieniem i ona oddycha,
Że ją dłoń jego wstrzyma nad otchłanią:
Znowu na straszne wspomnienie niewoli
Nowa jéj myśli ogarnęła trwoga.—

Bo ach! czyż Hafed okrutny pozwoli,
By który z Gwebrów śmiał bronić krwi wroga,
Krwi Al-Hassana?—w czyich dotąd rękach
Żaden z ich braci jeńcem nie ocalał;
Co się w ich dzikich rozkoszując mękach,
Krwią ich kapłanów święte ognie zalał?—
Cóż gdy dziś jeszcze, jak nocny zabójca,
Przyjdzie ich wyprzeć z ostatniéj ustroni!...—
Któż ją przed zemstą Hafeda zasłoni?
Kto jéj kochanka przed zemstą jéj ojca?—

„Strzeż go, Allahu!—wszak wszystko w twéj mocy!“—
Modli się w myślach:—„o! strzeż go téj nocy!
„A jeśli kiedy przed twym tronem, miła
„Serc grzesznych skrucha i ofiara była—
„Strzeż go téj nocy!—Na grób święty Mekki,
„Na wszystko święte na ziemi i w Niebie,
„Klnę się, przysięgam, że odtąd na wieki
„Cała się tylko poświęcę dla ciebie!
„Miłość, myśl o nim, nadzieje, wspomnienia,
„Wyrwę z méj duszy, jako kwiat zatruty,
„I żadnéj myśli, żadnego westchnienia,
„Żadnéj łzy po nim—oprócz łez pokuty—
„Żadnéj pociechy nie chcę, nie zachowam.
„A gdy téj jeszcze nie dosyć ofiary—
„Zeszlij mi, Allah! nędze, smutki, kary,
„Lecz ocal jego!—ja znieść je gotowam.
„Młodość przepędzę w żalu i pokucie,
„Na starość pójdę na życie pielgrzymie,

„Aż grzeszne w sercu wygaśnie uczucie,
„Aż prócz w modlitwie, nigdy jego imię
„Z ust mych nie wyjdzie!—bo modlić się muszę,
„Za tę tak wielką—tę tak jasną duszę!
„Modlić się będę—aż ją sam z ciemnoty
„Głos twój ku światłu twéj wiary powoła:
„Aż znów tę gwiazdę obłąkaną cnoty
„Osadzisz w jasnym wieńcu twego czoła!—
„Zbaw go dziś tylko—nie dla mnie—dla siebie!
„A będziem razem sławić imię twoje.
„Bo ja bez niego nie chcę być w twém Niebie —
„I gdy on zginie—zginiemy oboje!“—

KONIEC PIEŚNI TRZECIÉJ.

PIEŚŃ CZWARTA.

Czyj wzrok nie we łzach, czyja myśl bez chmury,
Komu żal świata piękności nie mroczy,
Dziśby go, dzisiaj, ze szczytów téj góry
U stóp jéj obraz zachwycał uroczy!
Te z niebem w dali zlane wod lazury,
Zielone brzegi—i na wód przezroczy
Rozsiane wyspy—wszystko się uśmiécha,
Wszystko rozkwita, i wonią oddycha!
Bo to jest jeden z tych cudnych wieczorów,
Co po dniach burzy kraszą nieba wschodnie,
Gdy słońce, dziennych dokonawszy torów,
W promiennym wieńcu tęczowych kolorów,
Złote zachodu podwoje odmyka:
I nim w nie wstąpi, spokojnie, łagodnie,
Lśni łzawym blaskiem—jak wzrok pokutnika,
Gdy wszystkie życia burzliwego winy
Obmywszy żalem ostatniéj godziny,

Żegna świat okiem przez łzy rozrzewnienia,
A w niém już świta pierwszy blask zbawienia.

Cisza wokoło;—wiatr, co w takiéj sile
Szumiąc po gajach Kermańskich się dąsał,
I najdojrzalsze, najsłodsze daktyle
Na ucztę biednym pielgrzymom otrząsał *),
Umilkł—i ledwo ciche muśnie fale,
Co się tak mienią w różanéj pogodzie,
Jakby się wszystkie perły i korale,
Co leżą na dnie, rozpłynęły w wodzie.
A wkoło wyspy, palmami zielone,
Na tle przejrzystéj fali wyglądają,
Jak na powietrzu czarem zawieszone
Rajskie te sady, gdzie Peri mieszkają.—

Lecz próżno wszystkie te cuda obrazu
Przed okiem Hildy błysnęły od razu,
Skoro zasłonę odjęto z jéj czoła: —
Wzrok jéj zalśniony nic widzieć nie zdoła.
I przerażona—jak ci, co na chwilę
Nagle w swéj ciemnéj zbudzeni mogile,
Ujrzą nad sobą iskrzący wzrok obu
Strasznych Aniołów, Zwiedzicieli grobu **)—
Z dziką rozpaczą spójrzała dokoła
Na tłum swych wrogów—by z lic ich i wzroku

---

*) W okolicach Kermanu właściciele nie zbierają daktyli, które wiatr z drzewa otrząśnie, lecz zostawują je dla podróżnych.

**) *Monkir* i *Nadir*, dwaj straszliwi czarni aniołowie, zwani Zwiedzicielami Grobów. Obowiązkiem ich było przestrzegać dopełniania wszelkich przepisów wiary Mahometa, i karać nieposłusznych.

Wyczytać choćby treść swego wyroku —
I po nad nimi i sobą u góry
Ujrzała ruin czerniące się mury,
Mroczne—jak gdyby cieniem swego zmierzchu
Jasnemu światu urągały z wierzchu. —

Ale napróżno w nadziei i trwodze
Wygląda za tym, co ją w strasznéj drodze
Pokrzepiał głosem łagodnéj słodyczy;
Próżno!—na nowo zniknął sen zwodniczy,
Co jak zły Anioł żal jéj tylko drażni. —
Dziś jéj, dziś jego potrzeba przyjaźni!...

Lecz ach! nieszczęsna!—jakiż hałas dziki
Zabrzmiał, i echem o niebiosa bije? —
Zdala radośne wzniosły się okrzyki:
„Nasz wódz! nasz Hafed! niech żyje! niech żyje!“—
„Niech żyje!“—bliższe głosy zawołały.—
Idzie—krok jego powtarzają skały. —
Idzie—już blizko...—Nieszczęsna dziewica!
Tchu brak jéj w piersiach, ciemno przed oczyma—
Wnet ją uderzy oczu błyskawica,
Któréj najśmielszy Arab nie wytrzyma;
Wnet nad nią zagrzmi głos dumny i srogi,
Co gdy się ozwie w szykach Muzułmana,
Całe się hufce rozpierzchają z trwogi,
Jak na pustyni kupców karawana,
Gdy wkoło źródła leżąc w nocnéj ciszy,
Ryk spragnionego tygrysa posłyszy!—

Bez tchu, bez ruchu, wpół martwa z bojaźni,
Z oczyma na dół, jako posąg stała:

Drżąc przed tym wzrokiem—co w jéj wyobraźni
W téj chwili nad nią jak meteor pała;
Czekając głosu—jak ten, co już słucha
Rychło nań zabrzmi trąba Archanioła,
I pomnąc grzechy, wié że próżna skrucha,
Gdy hasło sądu strasznego zawoła!...—

Ale on milczy;—wkoło tylko zcicha
Brzmią coraz daléj odchodzących kroki.—
Poszli—on został;—słychać, jak oddycha.
Lecz ach! okropność téj ciszy, téj zwłoki!..—
A wtém!—o! zgrozo!—przybliżył się do niéj,
Ujął jéj rękę—i ścisnął w swéj dłoni,
I głos znajomy łagodnie zawołał:
„Hildo!"—nic więcéj wymówić nie zdołał.
Lecz ach! to dosyć, dosyć!—z ust dziewicy
Krzyk nagły wydał resztę tajemnicy.
I drżąca z trwogi, z podziwu, z radości,
Raz tylko wzniosła zapłonione skronie,
Rzuciła tylko jeden wzrok miłości,
By wnet łzy ukryć na kochanka łonie!—

Onże to, Hafed?—ów postrach rycerzy,
On, co jak tygrys krew arabską pije;
On, co gdy krzyknie, gdy wzrokiem uderzy,
Głosem osłabi, spójrzeniem zabije:
On, jéj kochanek?—piękny i łagodny,
Jakim był w chwili piérwszego widzenia,
Gdy na jéj myśli i senne marzenia
Rzucił z swych oczu promień tak pogodny,
Że mniema, Aniół przed nią się objawił,
I jasność Niebios po sobie zostawił?

Są chwile w życiu—i ta jest z nich właśnie—
Jak zabłysk słońca w zaćmie huraganu,
Gdy dzień dokoła w chmurach piasku zgaśnie;
Jak krzak murawy nad głębią wulkanu,
Co się sam jeden na brzegu zniszczenia,
Na zgorzeliskach życiem rozzielenia!
O! takie chwile!—im głębszą ciemnicą
Przeszłość, i przyszłość, i los je otoczy:
One tém jaśniéj, same w sobie świécą,
Blask ich tém miléj rozwesela oczy!—

On nawet, Hafed!—choć wszystkie z kolei
Zgasły mu gwiazdy chwały i nadziei.
Do zemsty nawet brak sił i sposobów:
Kochany jego Iran obrócony
W kraj pogorzelisk, lub pustynię grobów:
On sam—niezgięty, lecz życiem znużony,
Z orężem w ręku pory tylko czeka,
By umrzeć śmiercią wielkiego człowieka:—
W téj chwili jednak—bez trosk, bez zgryzoty,
Niepomny losu, co się przed nim mroczy,
Dzieląc kochanki niewinne pieszczoty,
Patrząc w kochanki promieniste oczy:
W których jéj miłość, tak szczera, tak tkliwa,
Co sama ziemię z Niebem porównywa,
Tęczą pociechy we łzach się maluje:—
Ach! w téj on chwili uczuł i pojmuje,
Jak jest gorącą iskra uniesienia,
Co w burzy nieszczęść jak meteor pryśnie;
Jak jest uroczą kropla upojenia,
Co w łez puharze jak perła zabłyśnie!—

Cóż, że z téj iskry może grom wypadnie?
Cóż, że w puharze jest trucizna na dnie?—
I ona wzajem patrząc w jego oczy,
Co jak dwie perły w jasnych wód przezroczy,
Zwolna w jéj duszy coraz głębiéj toną:
Patrząc w twarz, wielkiém uczuciem natchnioną:
Nie pomni trwogi, smutku, i niewoli,
Lub czuje tylko, jak nędzarz w uśpieniu,
Gdy się w rozkoszném radując marzeniu,
Śmieje się przez sen—łkając mimo woli!—

Mroczna ruina, w pośród któréj stali,
Wielkim wyłomem patrzy w stronę fali.
Co jak zwierciadło, jak niebo bez chmury,
Jasna, błękitna, błyszczy u stóp góry.—
Tłum drobnych łodzi, co dziś przez dzień cały
W bezpiecznych portach lub na brzegu stały,
Buja w zatoce—i choć wiatr nie sprzyja,
Zmoczone żagle na masztach rozwija.
Tak orły, dżdżysta gdy już przejdzie chmura,
Susząc przed słońcem rozciągają pióra.—

Tłumne obłoki—choć już oko dzienne
Zdawna zasnęło za Larskiemi góry,
One tak jeszcze ogniste, promienne —
Że rzekłbyś, dzisiaj sam Anioł światłości,
By wynagrodzić światu dzień ponury,
Odchodząc do snu, z niezwykłéj szczodrości —
Jak młody Sułtan najmilszego z gości—
Przyodział Zachód szatą swéj purpury!

Terazto spójrzeć kochanków spójrzeniem!
Pod niemi morze gra cichém westchnieniem,
Nad niemi niebo goreje płomieniem!—
Ach! a ich dusza, w zachwyceniu cała,
Gra jak to morze, jak to niebo pała!...

Szczęśliwa chwilo!—ubiegła zbyt chyża.—
Zadrżała Hilda—noc coraz się zbliża:
Coraz to węższa łuna na zachodzie,
Coraz to szerszy krąg cieniu na wodzie,
Coraz obłoki, lśniące barwą jasną,
Jedne po drugich sinieją i gasną.—
Bystro po niebie spójrzała wokoło,
I nagle dłońmi zakrywając czoło:
„To noc już! przebóg!—mój drogi! mój luby!
„Uchodź ztąd, uchodź!—pół chwili nie zwlekaj! —
„On przyjdzie w nocy—On pragnie twéj zguby—
„On nie przebaczy!—Zguby swéj nie czekaj!
„Uchodź!—O! Nieba! słyszysz?—to szczęk broni,
„To echo kroków!—oni to już, oni!—
„Uchodź, mój luby! uchodź, póki pora!—
„Mówił, że w nocy...—choć noc nie nastała—
„Lecz ja znam Jego!—wiém, jak zemstą pała—
„Nie będzie nawet czekał do wieczora!...“—
I przerażona, bezprzytomna, zbladła,
Łkając na piersi młodzieńca upadła.

—„Biedna dziewico!—o! któż mi przebaczy
„Te łzy, tę boleść, ten szał Jéj rozpaczy?—
„Jam to odepchnął Jéj Anioła-stróża,
„Jam Ją zaplątał w mojém przeznaczeniu!—

„Srogo mię ściga jakaś pomsta Boża!
„Każde wnet szczęście gaśnie w mojém cieniu.
„Los mój, jak powiew z Umarłego-Morza,
„Kto nim raz westchnął, śmierć połknął we tchnie-
„O! ja niebaczny! mógłżem się ośmielić, [niu!..—
„Cień na Nią rzucić, los mój z Nią podzielić?—
„Lecz czemuż, czemu na burzliwéj wodzie
„Zbłąkane nasze spotkały się łodzie?—
„Czemu, przysiągłszy—gdym śród krwi i tłoku
„Obaczył z góry twe omdlone wdzięki,
„I niewidomy stanąwszy przy boku,
„Odwracał od nich ciosy zbójczéj ręki—
„Czemu, przysiągłszy strzedz się twego wzroku,
„By próżno wspólnéj nie powiększać męki:
„Słaby nikczemnik! złamałem te śluby,
„By cię pożegnać nad przepaścią zguby?...—
„Ale się nie bój! nie drżyj, moja droga!
„Łoskot co słyszysz, jest to szum strumieni.
„Tu nas nie sięgnie moc żadnego wroga:
„Tu, na tych skałach, nad światem wzniesieni,
„Stoim bezpieczni—spokojni, jak w grobie!
„A choćby ziemia i piekło złączone
„Przyszły ostatnią wydrzeć nam zachronę:
„Ty zaśnij śmiało!—ja czuwam przy tobie;
„Gwiazd tych Anioły strzedz cię będą we śnie.
„A skoro błyśnie porankowe zorze,
„Powrócisz jutro...“—
—„Nie!—to być nie może!“—
Krzyknie dziewica—„jutro już niewcześnie!

„Ach! ty nie ujrzysz jutra, mój jedyny!
„Lub uchodź zaraz! uchodź téj godziny! —
„Jesteś zdradzony! — Nikczemny niecnota,
„Który w te miejsca znał drogę tajemną —
„Co? ty nie wierzysz? — przez gwiazdy nademną!
„Prawdę ci mówię — zdradził cię dla złota!
„Krew twoję przedał zemście Al-Hassana! —
„Wierzaj mi, wierzaj! — On sam dzisiaj z rana,
„Sam mi to mówił — i patrzał tak srogo,
„Śmiał się tak dziko, żem drżała z przestrachu:
„I tak gwałtownie wkrąg stąpał po gmachu,
„Jakby twe piersi nadeptywał nogą! —
„Ja nie wiedziałam, że on tobie groził,
„Że straszny Hafed — jesteś ty, mój luby! —
„Lecz strach o ciebie krew mi w sercu zmroził. —
„Sam to Bóg może, nie chcąc twojéj zguby —
„Tak! — Bóg mię żesłał dla twojéj przestrogi.
„Nie gardź nią! — uchodź! — korzystaj z téj chwili! —
„Zniszcz jeśli można — lub każ strzedz téj drogi! —
„Lecz śpiesz się! śpiesz się! by jéj nie przebyli!“ —

Zimniéj niż wicher, co tchem jednym ścina
Zródła przed chwilą słońcem gorejące,
Stokroć ach! zdrady braterskiéj nowina
Zimniéj przeraża serca ufające!
On tego doznał. — Jak rażony gromem,
Z blademi usty, z okiem nieruchomém,
Stał, bez oddechu, nie podnosząc głowy; —
Rzekłbyś, zaklęty posąg marmurowy,

Co w skamieniałym Iszmonii grodzie,
Skamieniał myśląc o strasznéj przygodzie *).
Lecz rychło wnętrzna minęła katusza —
Wzniósł nagle czoło, i spójrzał — ze łzami.
A w tém spójrzeniu wielka jego dusza
Wszystkiemi swemi błysła promieniami! —
I nigdy nawet w dniach zwycięztw i chwały,
Lot myśli jego nie szedł tak wysoko.
Jak gdy w téj chwili, spokojny i śmiały,
Z dumą ku gwiazdom wzniósł iskrzące oko,
Jakby w nich hasła blizkich bojów witał,
Lub pożądane przepowiednie czytał!

Przyszła więc, przyszła godzina męczeństwa!
Ramienia jego Bóg już nie chce dłużéj.
Dni jego dotąd śród niebezpieczeństwa
Przeszły i znikły — błyskawicą w burzy:
Lecz śmierć za wiarę, na laurach zwycięztwa,
Śmierć, jaką sobie serce jego wróży:
Ta imię jego w przyszłych lat kolei,
Rozpali w gwiazdę chwały i nadziei!...
Góra ta, jego pomnik i grobowiec,
Stać będzie świętą przed ziomków oczyma;
I z ziem dalekich nieznany wędrowiec,
Poeta, rycerz, pod szatą pielgrzyma,

*) W podróżach wschodnich Perrego, znajduje się opisanie Iszmonii, miasta skamieniałego w wyższym Egipcie, gdzie jeszcze dają się widzieć skamieniałe postaci mężczyzn i kobiét.

Przyjdą, na gruzach tych zwalisk usiędą,
Przywiodą dzieci, i uczyć je będą:
Jakim był Iran—jak cierpiał, jak słynął!
Jakim był Hafed—jak walczył, jak zginął!
I na téj skale, krwią jego oblanéj,
Ukląkłszy razem nagiemi kolany,
Każą im w obec ojczyzny i Boga,
Zaprzysiądz zemstę pokoleniu wroga,
Zaprzysiądz wzgardę wierze Muzułmanów:
Póki w ich piersiach żywe serce bije,
Dopóki piętno arabskich kajdanów
W morzu arabskiéj krwi się nie obmyje!...—

Temi myślami wrzał w duszy młodzieniec,
Tych myśli dumą tchnęły jego rysy.
I nie radośniéj na męczeński wieniec
Spoglądał niegdyś wielki Prorok Issy *):
Jak on w téj chwili, spójrzawszy ku Niebu,
Patrzy z uśmiechem: gdzie od morskiéj strony,
Blaskiem z ołtarza na wpół oświecony,
Lśni stos wysoki—stos jego pogrzebu!
Z suchych gałęzi i drzew tchnących wonią,
Sam on go z braćmi własną złożył dłonią,
Aby gdy chwila przeznaczeń uderzy,
Gdy już ich zemstę zmoże przemoc wroga,

*) Po persku Jezus.

Tu z resztą wiernych wierze swéj rycerzy.
Umrzeć na łonie swego Ognia-Boga.
I każdy przysiągł, gdy nadzieja minie,
Sam się we wspólnéj zagrzebać ruinie;
I dla każdego stos, co go wyzwoli
Z rąk nieprzyjaciół i z jarzma niewoli,
Tak jest powabny, święty—jak to łoże,
Na którém Prorok ich w latach dziecinnych
Usnął na stosie—gdy Bóg, stróż niewinnych,
Płomienie pod nim w kraśne zmienił róże *)!

Długo nań z trwogą patrzała dziewica:
Zkąd mu ta w oczach gniewu błyskawica?
Zkąd ten płomienny rumieniec na twarzy?—
Cóż on układa? co myśli? co marzy?
Ach! czyliż jeszcze waha się i czeka,
Gdy czas tak krótki, śmierć tak niedaleka?...—
„O! mój Hafedzie!“—i łzami zalana,
Mówiąc to, przed nim padła na kolana —
„O! mój Hafedzie! mój drogi, mój luby!
„Jeśli mię kochasz, jak przysiągłeś nieraz —
„Błagam jak Boga—teraz tylko, teraz,
„Chciéj mię wysłuchać—nie pragnij swéj zguby!
„Uchodź, uchodźmy!—ratunek w twéj mocy.
„Łódź co nas tutaj przyniosła, wnet może —

*) Gwebrowie utrzymują, że gdy Abraham, wielki ich Prorok, rzucony został w ogień z rozkazu Nemroda: płomienie zamieniły się w róże, na których on usnął spokojnie. *Tavernier.*

„Daj tylko rozkaz!—pod zasłoną nocy,
„Unieść nas znowu na szerokie morze.
„Na Wschód, na Zachód—byle ztąd daleko—
„Gdzie chcesz, gdzie każesz, pójdę z tobą wszędzie.
„W burzach, w pustyniach, pod twoją opieką
„Nic mię nie strwoży, nic smucić nie będzie!
„Twój wzrok, twój uśmiech—ach! dosyć mi na tém;
„Cały świat dla mnie będzie rajskim światem!
„Pójdziem, osiądziem gdzie w kraju nieznanym,
„Gdzie nie grzech kochać, ani być kochanym;
„Lub gdy jest grzechem—gdziebyśmy przynamnie
„Płakać go mogli, klęcząc obok siebie:
„Ty do Allaha modliłbyś się za mnie,
„Ja—do jakiego chcesz Boga, za ciebie!“ —

Słowa te z dzikiém rzekłszy obłąkaniem,
Zwiesiła głowę, i z wstydu płakała.
Łkając gwałtownie, jakby z każdém łkaniem
Strona się życia w jéj piersiach zrywała.
Gdy on!—on młody, on kochany tyle!—
Któż go obwini?—jeśli mu na chwilę
Zemsta, przysięga, zamiary i chęci,
Sam Iran—wszystko wypadło z pamięci:
Gdy najpiękniejszą, najmilszą, w rozpaczy
U nóg swych widzi;—któż mu nie przebaczy?
Jeśli blask nagły nadziei młodzieńczéj
Duszę mu zalśnił, i jak łukiem tęczy,
Jasnych dni pasmem w przyszłość jego strzelił—
Dni najszczęśliwszych, gdyby je podzielił
Z tą, co tak kocha!—gdyby się ośmielił!...—

Nie! — łzy gorące, co po licu zbiegły,
Gdy się ku lubéj, chcą ją podnieść, skłonił;
Łzy tak mu nowe — one go ostrzegły,
Jak mglisty obłok duszę mu przesłonił.
Zadrżał — i dumnie spójrzawszy dokoła,
Łzy te niemęzkie otarł z swego czoła.
Jak ów, co rano wychodząc na boje,
Ociera z rosy swój oręż i zbroję,
Co je przyćmiła, lecz splamić nie zdoła. —

Lecz choć już słabość minęła niegodna,
W stłumionym głosie i łzawéj źrenicy
Tchnie jeszcze czułość tak miękka, łagodna:
Że w sercu tkliwéj, strwożonéj dziewicy,
Nanowo słodka zakwitła otucha,
Że go jéj prośba, jéj rada nakłoni:
I cała w oku, patrzy nań i słucha,
Gdy dłoń jéj wziąwszy, zcicha mówił do niéj:
„Tak, moja luba! tak, otrzyj łzy twoje!
„Wiém ja kraj jeden — nieznany, daleki,
„Gdzie szczera miłość znajdzie swą nagrodę,
„Gdzie wolno kochać! — tam ja cię powiodę —
„Nie płacz! — tam będziem szczęśliwi oboje,
„Będziem się wzajem kochali na wieki!“ —

Jeszcze nie zgadła, czy ta słodycz głosu,
Czy jéj te słowa źle czy dobrze wróżą;

Gdy młodzian szybko zbliżył się do stosu,
Gdzie zawieszoną widać konchę dużą *).
Zdjął ją, i zadął—a dźwięk jéj odgłosu
Zabrzmiał po skałach, jak piorun przed burzą:
Jak piorun zabrzmiał w towarzyszów uchu.—
Sam nawet Hafed, blady i bez ruchu,
Drżał zda się z echem niknącém powoli.
Straszne to hasło! każdy wié co znaczy—
Znak umówiony trwogi i rozpaczy;
Znak, że się zbliżył kres ich nędznéj doli,
Że musi umrzeć—kto chce ujść niewoli! —
Konchę tę sami, w lepszéj niegdyś chwili,
Na swym pogrzebnym stosie zawiesili,
By gdy czas przyjdzie, słyszał Iran cały
Ostatnie hasło męczeństwa i chwały;
By dźwięk jéj straszny—jeśliby zasnęli—
Nowych w Iranie obudził mścicieli.—

Przyszli na hasło, z oczyma ku ziemi,
Przyszli rycerze, kroki powolnemi.
Jakże ich mało, gdy w okrąg stanęli!—
Cała to reszta tych synów Iranu,
Tych sług ojczyzny, tych słońca czcicieli,
Co tak niedawno na błoniach Kermanu,

---

*) Koncha zwana *Stiankos*, pospolita w Indyach, w Afryce, i na brzegach Śródziemnego morza.— Używano jéj zamiast trąby do dawania hasła, gdyż głos jéj jest niezmiernie mocny i donośny.

Gdy przy trąb, bębnów, i cymbałów dźwięku,
Czas na wojenném spędzali igrzysku:
Goniąc do celu z długą spisą w ręku,
Czuli nadzieję w jéj każdym połysku;
Lub gdy się z wiatrem puścili w przegony—
Długie, za końmi wiejące ogony *),
Sami na siodłach schyleni ku ziemi,
Szaty ich wiatrem rozdęte nad niemi—
Rzekłbyś, gdy rzędem lecieli po błoniach,
Że Gieniusze na skrzydlatych koniach!

Jakże dziś różni!—ich smutek przeraża.
Jak każdy blady! gdy promień z ołtarza
Twarz przechodzących z kolei oświecał.
Jaka posępność w każdego spójrzeniu!
Gdy święty ogień mijając w milczeniu,
Każdy w nim swoję pochodnię rozniecał.
A wszyscy milczą;—wódz jeden układa
Co czynić mają:—a lepiéj niż słowy,
Każdy mu wzrokiem tylko odpowiada,
Że cierpieć, walczyć, i umrzeć gotowy! —

I była chwila uroczystéj ciszy,
Śród któréj Hilda, z twarzą zadziwioną,
Nic oprócz serca uderzeń nie słyszy,
I patrzy z trwogą na milczące grono. —

---

*) Największą ozdobą konia w Persyi, jest sześć długich, białych, powiewnych ogonów bawolich, (od białych Indyjskich bawołów), złączonych z sobą u góry i przymocowanych z tyłu do siodła.

Hafed rzekł słowo;—starsi z towarzyszy,
Wyszli, i łoże okryte zasłoną,
Liśćmi usłane, na znak jego dłoni,
Niosąc w milczeniu, złożyli koło niéj.
Zbliżył się Hafed z smutnemi oczyma,
Sam ją umieścił na miękkiém posłaniu;
Spójrzał—i patrzy; wziął jéj dłoń—i trzyma...
Ach! to ściśnienie ręki przy rozstaniu!
Ach! ten ostatni wzrok przy pożegnaniu!
Gdy ten, co żegna, wié, co ono znaczy! —
Wié—gdy wzrok zmruży, gdy dłoń puści z ręki,
Znikną wnet przed nim ukochane wdzięki,
I już ich nigdy, nigdy nie zobaczy! —

Lecz ona nawet z tych pieszczot boleści
Czerpie nadzieję, dobrą przyszłość wróży.
Ten długi uścisk, co jéj rękę pieści,
Zda się jéj wróżbą wspólnéj z nim podróży;
W milczeniu widzi zbytek rozrzewnienia,
W spójrzeniu miłość, czułość, zapewnienia —
Ach! wszystko, wszystko—oprócz rozłączenia!—

„Śpieszmy się!—rzekła—śpieszmy! czas uchodzi!
„Byśmy przed nocą zdążyli do łodzi.
„A jutro—jutro, mój luby! o świcie,
„Z tobą, jak w Niebie, na tych wód błękicie,
„Będziemy słońce witali promienne,
„I znów się jutra nadzieją cieszyli!
„A jeśli wspomnim o dzisiejszéj chwili,
„Wspomnim ją chyba jak marzenie senne,

„Co strasznem widmem, dobro zapowiada.
„A ty!...“—Lecz cóż to?—nikt nie odpowiada?-
Spójrzała wkoło—Nie ma go!—O! biedna!
On ją opuścił!—ach! czyż sama jedna
Musi iść daléj w drogę swego losu?.... —

W téj chwili właśnie niosący ją, znowu
Zchodzą w głąb ciemną mglistego parowu,
Gdzie tak niedawno dźwiękiem jego głosu,
Mimo ech strasznych, co dokoła brzmiały,
Wszystkie jéj myśli, wszystkie czucia grały:
Jak na dźwięk arfy Izrafila w raju *),
Brzmią wszystkie liścia Edeńskiego gaju.—
Lecz teraz, teraz!..—cóż jéj łzy pomogą?
Przed nią noc, zgroza—a przy niéj—nikogo!
„O! mój Hafedzie! usłysz prośby moje!
„Jeśli żyć nie chcesz, jeśli umrzeć wolisz,
„Czyż mi i tego nawet nie pozwolisz,
„Abyśmy razem umarli oboje?
„Ach! pozwól, pozwól! niech z ostatniém tchnieniem
„Raz jeszcze jeden błogosławię tobie;
„Niech cię ostatniém pożegnam spójrzeniem,
„Niech nas w tym samym pochowają grobie!—
„Ty może myślisz, że się śmierci boję?—
„Ach! ja—by tylko słyszeć twe wyrazy,
„By choć raz jeszcze spójrzeć w oczy twoje —
„Gotowam umrzeć sto tysięcy razy!—

*) Anioł Izrafil, ze wszystkich stworzeń Boskich mający najwdzięczniejszy i najharmoniniejszy głos.

„Wy też—wy bracia mojego Hafeda!
„Błagam was, stańcie!—On mię kochał tyle!
„On mię usłyszy! on mi cierpieć nie da! —
„Ach! stańcie, stańcie!—Musiał zostać w tyle,
„Lecz wnet dogoni!—Stańcie choć na chwilę!—
„O! mój Hafedzie!...“—I tak drogę całą.
Żebrząc litości, woła nieszczęśliwa.
Imię Hafeda echo powtarzało,
Lecz próżno, próżno! Hafed nie przybywa.—
Biedna dziewico!—nie pójdzie on z tobą!
Umrzeć wam było, gdyście się żegnali!—
Teraz tam chyba Bóg was złączy z sobą,
Boście się tutaj na zawsze rozstali!—

Biedny młodzieńcze!—On te jęki słyszy.
Rzucił na chwilę grono towarzyszy,
I sam, ciemności osłoniony mrokiem,
Długo szedł za nią, niewidziany od niéj;
I nad wąwozem, z rozognioném okiem,
Stanął, i patrzy na blaski pochodni,
Przy których bracia, w milczeniu głębokiém,
W dół, jak do grobu, kroki pośpiesznemi,
Unoszą wszystko, co kocha na ziemi!—
Patrzy—tak smutny, tak blady na licu,
Jak młody majtek, w nocy, przy księżycu,
Gdy zwłoki brata, w téj mu właśnie chwili
Ze łzami drudzy do morza wrzucili:
A on, stojący na moście okrętu,
Pogląda jeszcze załamawszy dłonie,

By jeszcze dójrzeć choćby fal zakrętu,
Gdzie luba postać coraz głębiéj tonie —
A okręt płynie po spokojnéj fali.—
Tak Hafed patrzał—oni poszli daléj.—

Wtém zadrżał nagle, jak ze snu ockniony.—
Trąby, i kotły, i wściekłe okrzyki,
Wpoprzek przepaści, od lądowéj strony,
Zabrzmiały razem!..—Co za hałas dziki!
Rzekłbyś ryk piekieł, szyderczy i mściwy,
Albo że wszystkie i Gole i Diwy *),
Co tam w ciemnościach od wieków się kryły,
Na hasło wojny z wściekłością zawyły—
Tak był ten okrzyk głośny i straszliwy.

„Przyszedł więc, przyszedł Muzułman zuchwały!“
Zawołał Hafed—a gniewem wrzał cały,
A oczy jego jak ogniem pałały.—
„Teraz to, teraz, wy duchy walecznych,
„Duchy swobodne w mieszkaniach słonecznych!
„Patrzcie! jak dusze bratniego płomienia,
„Do zemsty za was, waszym pójdą torem,
„Albo w męczeńskim wieńcu przeznaczenia,
„Polecą z waszym połączyć się chórem!“—
Rzekł—i jak tygrys do zgłodniałych dzieci,
Biegł, gdzie czekają bracia zgromadzeni.
Przybiegł—w ich oczach żywy ogień świeci,
A miecze nakształt słonecznych promieni
Błysły w powietrzu —stoją niewzruszeni.

*) *Gole*, *Diwy*, nazwiska Perskie złych duchów.

Wtém znowu—słyszysz!—okrzyk zabrzmiał znowu;
Głośniéj już, bliżéj—z téj strony parowu.—
Stało się! przeszli drogę niestrzeżoną!...—

O! piękny widok! ktoby mógł w téj chwili
Widzieć to szczupłe wojowników grono:
Jak z mieczem w górze, z twarzą rozognioną,
Wkrąg wodza, bystro na niego patrzyli,
Jakby pytając: co myśléć powinni,
Że wróg tak blizko—a oni nieczynni?
Wódz zgadł ich myśli, i sam je podziela. —
„Cóż to? o! bracia! gdy się wróg ośmiela
„Nachodzić twierdze, co nas przed nim kryją:
„My z mieczem w ręku, w obec tych płomieni,
„Czekać go będziem z nachyloną szyją,
„I umrzem sami—umrzem niepomszczeni!
„Jakby nam brakło piersi Muzułmana,
„Aby w nich nasza szabla zmordowana,
„Spoczęła wiecznie, jak w pochwie schowana?...—
„Nie!—wy obrońcy ojczyzny i wiary!
„Bóg nasz spodlonéj nie przyjmie ofiary!
„Pójdźmy! uderzmy!—niech krwią zlane skały
„Imieniem Gwebrów zabrzmią na świat cały,
„Aż tron Kalifów drżeć będzie przed echem,
„Gdy je Behendi powtórzy z uśmiechem *)!—
„Za mną, waleczni!—Kto wróci ostatni,
„Stos go ten święty zbawi od kajdanów.
„Lecz ten wart chwały, wart zawiści bratniéj,
„Kto śród pobitych legnie Muzułmanów!

*) *Behendi*, prawowierny.

„Za mną, waleczni!—
Wszyscy w jednéj chwili,
W dół z wierzchu góry za nim się rzucili:
Każdy nadludzką ożywiony siłą,
Każdego oko jak ogniem się tliło,
Każdego serce jak w płomieniach biło!...
Pędzą bez drogi—gdzie z wściekłemi krzyki,
W cieniach Arabskie gromadzą się szyki,
I przy pochodni świetle wpół zamgloném,
Długim się hufcem wiją po dolinie —
Jak wąż Golkondy, gdy się wzdłuż rozwinie,
I z gniewu błyska iskrzącym ogonem *).—
Gwebry bez światła pędzą przez urwiska—
Znana im droga, i oni tu znani!
Poznał ich tygrys, wyjrzawszy z łożyska—
Wstał, i znów przyległ—choć wzrok żądzą błyska.
Wié, że nietrwożni—i niepokonani. —

Przed górą jeszcze jest parów w nizinie,
Straszny, głęboki—wróg go nie ominie;
Miejsce przydatne obrońcom, gdzie snadnie
Przed jednym tysiąc napastników padnie. —
Zdroje z gór dzienną wzdęte niepogodą,
Po pas dno jego napełniły wodą;
Po obu stronach, strome i ponure
Wznoszą się skały i głazy, przez które,
Ta jedna droga prowadzi na górę. —

*) Wąż ten sławny w powieściach „Tysiąca nocy" gdy się ruszy, wydaje z siebie elektryczną jasność.

Wszerz jéj, ostatni z Irańskich mścicieli,
Na czas przed wrogiem nad głębią stanęli,
I za głazami czają się bez ruchu,
Słuchając kroków, co już brzmią w ich uchu,
Tak, że nie słyszą, jak skrzydły ciężkiemi
Złowrogie sępy łopocą nad niemi.—

Przyszli—plusk wody wydał rzezi hasło.
Okrzykiem Gwebrów tysiąc ech zawrzasło.
Teraz to, Gwebry!—oto wróg morderca!—
Czy miecz wasz ostry, czy odważne serca,
Teraz, niech teraz wasza dłoń dowiedzie!—
Biada hufcowi, co brodził na przedzie!—
Sto mieczów razem błysnęło z nad brzegu,
Sto głów od razu upadło w szeregu;
Na dno skrwawione nie poszły tułowy,
Gdy już stu innych powitał cios nowy.
Jedni po drugich, zgrają niezliczoną,
Tłoczą się, brodzą, padają, i toną.—
Trwa rzeź—aż w końcu, choć krwi jeszcze łaknie,
Gronu Hafeda sił już coraz braknie;
Aż z dłońmi, z których krew strumieniem ciecze,
Zwisły ku ziemi zmordowane miecze. —

Drżysz, Al-Hassanie!—Nigdy klęski sroższéj
Nie doznał Arab, głębszéj nie czuł blizny;
Nigdy miecz zemsty, libacyi droższéj
Nie rozlał u stóp skrzywdzonéj ojczyzny!—
Patrz wzdłuż parowu!—przy świetle gasnących
Smolnych pochodni i główni iskrzących,

Co z rąk wypadłe, nad zgęszczoną falą
Pływają wkoło i we krwi się palą;—
Patrz w zdłuż parowu—jak strasznym obrazem
Śmierć, mord, pożoga, łączą się tu razem!
Bezgłówne ciała, zdeptane w przechodzie,
Stosami do dna w krwawéj leżą wodzie.
Tu płynie głowa w płonącym zawoju;
Ówdzie sam przez się, miecz zgubiony w boju,
Gdy ciżba trupów rękojeść mu ściska,
Ostrzem się w górę podnosi i błyska.
A wkoło ranni—ów z szatą w płomieniu
Od bliskich główni—sam brodząc w strumieniu,
Niezdolny w ciżbie zaczerpnąć ochłody,
Kona w męczarniach płomienia i wody;
Ów bliski brzegu, sam dotąd bez rany,
Rozpaczną ręką tonących porwany,
Napróżno siły dobywszy ostatniéj,
Żywy, wraz z trupem, w krwi topi się bratniéj!...—

Ale napróżno sta, tysiące legły —
Nowe sta, nowe tysiące nadbiegły.
Jak na pochodnię, gdy w nocy zaświeci,
Ćma nocna chmurą coraz gęstszą leci,
Aż sama ginąc, blask światła zamroczy:
Dzicz napędzona przez parów się tłoczy.
Aż ich trupami zawalon po brzegi,
Jak mostem nowe podźwiga szeregi;
Aż po ich głowach, przez krwi własnéj strugi,
Po konających, przeszli na brzeg drugi.

Biada wam, Gwebry!—nic ich już nie wstrzyma!—
Już są wpół góry—już przed ich oczyma
Święty wasz ołtarz niedaleko pała.—
Wściekli, doznawszy jak dłoń wasza śmiała,
Wstydzą się, widząc, jak was garstka mała!
Biada wam, Gwebry!—Ci rzezią znużeni
Legli, gdzie stali; ci w krwi swéj zbroczeni,
Bladzi na licu, chwiejący się w kroku,
Walczą, i giną przy Hafeda boku.—
On, choć już ręka wznieść miecz ledwo zdolna,
Z twarzą ku wrogom, ustępuje zwolna.
I jak lew, nagłym Jordanu wylewem
We śnie bezpiecznym z łożyska porwany,
Ryczy, i w oku wściekłym iskrząc gniewem,
Z unoszącemi łamie się bałwany *):
Tak on na braci silnym woła głosem.
Tak gniewny walczy z przemocą i losem!

Lecz dokąd teraz?—Znikł przed okiem dziczy!—
Czyż już tak blizkiéj nie ujmą zdobyczy?—
Pod mieczem Gwebrów legł zdrajca przewodni,
Wiatr zgasił resztę niesionych pochodni;
Noc, głazy, rowy, i łoża potoków,
Tamują postęp ścigających kroków.

*) W lasach nad Jordanem znajdują się rozmaite gatunki dzikich zwierząt, które nagle wezbrana rzeka często porywa i unosi. To podało Jeremiaszowi myśl tego porównania: „Przyjdzie na was wróg wasz, jako lew niesiony falą Jordanu.“

Lecz nie śmie stanąć motłoch niewolniczy.
„Naprzód! i naprzód!“—sam Al-Hassan krzyczy.
„Gdzie są brytany?—pospuszczać ze sfory!
„Niech nam szczekaniem wskażą Gwebrów tory!“—
Spełniono rozkaz—zgraja idzie skorzéj;
Śmierć im niestraszna, bo żyć dla nich gorzéj.—
Złudzeni światłem, co z Gwebrów ogniska,
Od skał odbite, w inną stronę błyska,
Zboczyli z drogi—i w cieniach zbłąkani,
Nie widzą blizkiéj, bezdennéj otchłani —
Widzą—już późno!—już wrócić nie mogą!
Brzeg się piaszczysty załamał pod nogą.
Próżno się drudzy wstrzymują nad brzegiem:
Jak szli, spadają—szereg za szeregiem.
Kto został w tyle, gdy jęki usłyszy,
Śpiesząc na pomoc, wepchnął towarzyszy;
Ledwie głąb ujrzał, już ciżba rosnąca
Pcha go samego, i w przepaść potrąca.—
Darmo z przestrachem, z wściekłością, z rozpaczą,
Ci klną, ci jęczą, błagają i płaczą:
Modły ni klątwy nikogo nie wzruszą:
Wepchnęli braci, i sami wpaść muszą! —
Jedni wprost na dno lecąc bez przeszkody,
Topią się w nurtach szumiącéj tam wody;
Ci na wpół żywi, na głazach sterczących
Zawiśli—pastwa dla sępów krążących!
A jękiem wszystkich brzmi przepaści echo.—

Słyszy je Hafed, i słucha z pociechą—
Głos to ostatni sercu jego miły!

Gdy sam, w ciemnościach, bez tchu i bez siły,
Na twardéj skale leżał krwią okryty.
Obok towarzysz—miecz krwawy, dobyty.
Rzekłbyś, spoczywa po trudach zabawy:
Pokój, pogoda, jaśnieją mu z czoła.
Wié, że dość zrobił dla zemsty i sławy,
Sam Iran więcéj wymagać nie zdoła!
Jedna myśl tylko, jako promień z góry,
Lśni w jego duszy przeze mgłę i chmury
Bliskiego zgonu;—ona to jest, ona!
Promienna gwiazda w życia jego burzy,
Jedna, ostatnia, niczém nie przyćmiona,
Co go tu żegna, i blask Niebios wróży!...
I nigdy dotąd, nigdy w jego oku
Obraz Jéj w takim nie stawał uroku!
Zda się, że myśli, co miłość ich ćmiły,
Zda się, że trwogi, co serce ziębiły,
Zniknęły wszystkie—i żadnéj mgły ziemi,
I żadnéj chmury nie ma między niemi!—
Widzi Ją, widzi!—taki blask w spójrzeniu,
Tak nowa piękność jaśnieje z Jéj lica,
Jakby Ją w Niebios oglądał promieniu,
Co już mu duszę przed zgonem oświéca!—

Wtém głos się ozwał—Ha! któż się ośmiela?...—
Głos to jest Gwebra, brata, przyjaciela,
Co sam z Hafedem ocalał téj nocy.—
„Zbierz siły, wodzu!—czyż w Arabów mocy
„Umrzeć tu mamy? tu, gdy już tak blisko
„Stos nasz gotowy i święte ognisko?“—

Ten głos ostatek życia w nim rozżarzył.
„Co? wrógby jeszcze aż tu się odważył
„Zdeptać nas martwych, lub więzy narzucić?“—
Myśl go ta z martwych zdolnaby ocucić.
„Pójdźmy!“—Wstał z ziemi, i drżącém ramieniem
Wśpierając brata, choć sam słaby niemniéj,
Poszli pod górę.—Za każdém stąpieniem,
Twarz coraz bladsza, w oczach coraz ciemniéj—
Boże Iranu! zbaw ich mocą twoją,
Zbaw przed zniewagą!—śmierci się nie boją.

Śladem za nimi zdrój sączy się krwawy,
Krwią ich jak rosą oblały się trawy.
Miecz twój, Hafedzie!—ha! i on ci skłamał—
Pod wspartą dłonią na skale się złamał!—
Idą—wrzask z dołu powiększył ich trwogę—
Wrzask to tryumfu—wróg trafił na drogę!
Coraz to głośniéj brzmią wodzów rozkazy,
Coraz to bliżéj stal szczęka o głazy,
I psów przeciągłe rozległo się wycie.—
Śpieszcie się, Gwebry! lub ujść nie zdążycie!
Śpieszcie! krok jeszcze!...—Już są, dzięki Niebu!
Już są na górze!—widzą stos pogrzebu,
Widzą świątynię, i blask swego Boga.—
Lecz nim go doszli—towarzysz Hafeda
Upadł zemdlony, i skonał u proga.—
„Czyż razem nawet los nam umrzeć nie da?—
Zawołał Haded—„Maż tu pierś twą drogą
„Wróg z urąganiem hardą zdeptać nogą,

„Lub ją nikczemnik obrażać żelazem?—
„Nie! mężny bracie!—Bóg nas przyjmie razem!—
„Klnę się na ogień, co przedemną błyska!“—
Tak rzekł—i z mocą, co nie z tego świata
Być się już zdała, podniósł zwłoki brata,
I na swych rękach niósł je do ogniska.
Złożył na stosie—zdjął z ołtarza głownię,
I stos podpalił—a płomień gwałtownie
Buchnął wkrąg łuną po morzu i niebie.—
„Boże światłości! powracam do Ciebie!“
Zawołał Hafed—i z dumnym uśmiechem,
Sam na wierzch stosu rzucił się z pośpiechem;
I wysilony, gdy celu dokonał,
Wprzód nim go ognie ogarnęły—skonał!

A w téjże chwili—co za krzyk od morza
Rozdarł powietrze?—Ach! krzyk ten pochodzi
Z téj—snać rzuconéj bez wiosła i stróża,
Na tle fal czarnych bielącéj się łodzi,
Gdy na nią z góry padła jasność stosu.—
I znowu cicho—lecz dźwięk tego głosu!...

Łódź to jest—czemuż tak w drodze spóźniona,
Tak bliska dotąd?—łódź biednéj dziewicy,
Zwierzona straży wybranego grona
Sędziwych Gwebrów.—Dzielni wojownicy
W latach za młodu; lecz wiek sił ich zbawił.
Wiedział to Hafed, i w drogę wyprawił
Nie powierzywszy strasznéj tajemnicy.

Myślał, że Emir, gdy córkę zobaczy,
Gdy się w nim serce ojcowskie rozrzewni,
Nieprzyjaciołom w jéj stróżach przebaczy,
I szczodrze starość spokojną zapewni.—

Tak nieświadomi arabskiéj napaści,
Chlubni z opieki, co im wódz ich zwierzył,
Ledwie na morze łódź wyszła z przepaści,
Gdy wrzask wojenny ich uszy uderzył.
Zlękli, zdumiali, z podjętemi wiosły,
Wstrzymując oddech, ku górze słuchali;
Niepomni łodzi, jak ją nurty niosły,
Zlekka wzdłuż brzegu kołysząc na fali.
Każdy sam w sobie, blady i ponury,
Nie trwożąc braci, w złych domysłach tonął;
A wszyscy patrzą, gdzie na wierzchu góry
Spokojnie jeszcze święty ogień płonął.—

Lecz ty, o! Hildo!—próżno się wysili
Najokropniejszy pędzel wyobraźni,
By wydać w tobie uczucia téj chwili,
Śmiertelne męki żalu i bojaźni!...
Kto sam ich doznał, tenby ból ich wiedział,
Lecz nikt nie przeżył, by drugim powiedział!

Nie jest to tylko ów stan smutnéj duszy,
Gdy ją los złamie, a cierpienie skruszy;
Gdy, choć nic więcéj do straty już nié ma,
Trwoga o wszystko jak w pętach ją trzyma;
Gdy, choć nadzieja umarła w jéj łonie,
Cień jéj, jak widmo, jeszcze w myślach wionie:—

Nie!—Można tracąc szczęście i nadzieję
Nie umrzeć jeszcze, i przeżyć swe żale:
Jak ów płaz w zimnéj zasklepiony skale,
Żyje, choć wszystko w koło skamienieje.
Lecz się w tém życiu pokój, cisza mieści,
Straszna, grobowa—lecz sześciemby była,
W téj ostréj, gorzkiéj, płomiennéj boleści,
Co się w Jéj skroniach, w Jéj piersiach paliła;
W tych, jakby mękach tortur i konania,
W tych dzikich, strasznych widmach obłąkania,
Na których ulgę nie znaleźć sposobu,
Nie znaleźć miejsca—prócz śmierci i grobu!

Morze spokojne—pod łodzią dokoła
Błyskają gwiazdy—noc cicha, wesoła!
Był czas, dziewico! gdy innéj pociechy,
Innéj zabawy nie było ci trzeba,
Jak w takich nocach liczyć gwiazd uśmiechy,
Gdy się po morzu rozsypały z Nieba.
Jak w takich nocach, w samotnéj ustroni,
Gubić się myślą w nadziei błękicie,
I tchnąc balsamem świeżéj, nocnéj woni,
Jak kwiat w swych piersiach czuć kwitnące życie,
Czuć własne serce lśniące gwiazdy blaskiem!—
Lecz dziś!.....—

Wtém znowu przeraźliwym wrzaskiem
Zabrzmiało echo.—Gwebry się porwali,
Aż łódź w spienionéj zaryła się fali—
Błysnęli mieczem...—Ach! próżne nadzieje!—

Nie czas już, nie czas na powrót wam płynąć!
Włóżcie miecz w pochwę, niech wiecznie rdzawieje!—
Ten, co tam bez was śmierć i postrach sieje,
Wódz wasz, przyjaciel—bez was musi ginąć!
Próżno ze wzrokiem wzniesionym ku górze,
Chcecie odgadnąć, zkąd ten wrzask? co znaczy
To hasło wojny?—w tém miejscu?—w téj porze?—
Ona wié tylko—ona, co w rozpaczy,
Jak posąg z głazu, załamawszy dłonie,
O maszt zroszony blade wsparła skronie,
I w obłąkaniu patrzy ku ruinie —
Ona wié tylko—ale, umrze raczéj,
Niż wyrzec zdoła—przez kogo On ginie!—

Patrz! światło błysło w ruinach na wierzchu!
Wznosi się w górę—postępuje w zmierzchu —
Patrzają wszyscy — lecz ach! wzrok dziewicy!
Całe się życie pali w téj źrenicy!...

Nie długa chwila— stos stanął w płomieniu,
I wkrąg po morzu i niebios sklepieniu,
Krwawa, posępna jasność łuny padła,
I coraz daléj szerzy się i błyska —
Gdy do wietrznego podobien widziadła,
Hafed, stojący przed blaskiem ogniska,
Ciemny, wysoki, wydawał się z dołu
Jak duch płomieni śród swego żywiołu.
„To on!"—dziewica z rozpaczą wykrzykła—
Lecz nim głos zabrzmiał—już pierzchło widzenie.
Wyżéj ku Niebu wybuchły płomienie,
Jéj i Iranu nadzieja—już znikła!

Jeden krzyk tylko wyrwał się z jéj łona,
I w stos wlepiwszy nieruchome oko,
Skoczyła w morze—i wznosząc ramiona,
Patrząc nań, tonie—głęboko, głęboko!—
Gdzie już jéj ludzkie oko nie zobaczy,
Gdzie już nie dozna żalu ni rozpaczy! —

„Spoczywaj, spoczywaj, arabska dziewico!“
(Tak Peri pod morzem nóciła): *)
„Najczystsze się perły w swych konchach nie świécą,
„Jak dusza twa w tobie świeciła!

„Kwitnęło twe serce jak lilia biała,
„Nim miłość je ogniem przenikła;
„Jak Samur po lutni, w twych piersiach powiała **),
„I muzyka życia zanikła! —

„Lecz nieraz w arabskich dolinach i górach,
„Kochankom przypomną poeci,
„O téj, co śród pereł śpi w morskich lazurach,
„Gdzie nic prócz gwiazd morskich nie świeci ***).

---

*) Peri, duchy dobre; stopniem niższe od aniołów, ale równéj piękności.—Mieszkają na powietrzu i w wodzie, gdzie im się podoba; w zaczarowanych ogrodach lub kryształowych pałacach: żyją wonią kwiatów i rosą.

**) Samur, wiatr południowy, tak rozstraja strony narzędzi muzycznych, że dopóki wieje, żadnego dźwięku wydać nie są zdolne.

***) Największą osobliwością zatoki Perskiéj, jest ryba zwana Gwiazdą Morską. Kształt jéj jest okrągły; a w nocy tak jest błyszczącą, że się wydaje jak księżyc w pełni, otoczony promieniami.

„Gdy w zbiory daktyli, szczęśliwi, weseli *),
„Zgromadzą się młodzi i starzy:
„Usłyszą twe dzieje—i co się śmiać mieli,
„Rozejdą się z łzami na twarzy.

„Pasterka-dziewica, na tańce, w dzień święta,
„W kwiat strojąc warkocze trefione,
„Przypomni o tobie—i żalem przejęta,
„Kwiat płacząc odrzuci na stronę.

„I Iran cię w swojéj uwieczni boleści,
„I obraz twój piękny, uroczy,
„Przy boku swojego rycerza pomieści,
„I blaskiem swéj chwały otoczy.

„Spoczywaj! my Peri stać będziem wkrąg łoża,
„Morskiemi je kwiaty okryjem;
„Z najdroższych kamieni, co błyszczą w dnie morza,
„Gwiazdzisty ci wieniec uwijem.

„Z konch, w których my same, w błękitach głębiny,
„Przy świetle księżyca nocujem,
„W najtkliwsze łzy ptaków, w najczystsze bursztyny**)
„Ozdobną ci grotę zbudujem.

---

*) Zbiór daktyli w Persyi, odbywa się z równą wesołością i uroczystościami, jak w niektórych krajach Europy winobranie

**) Niektórzy naturaliści byli niegdyś tego zdania, że bursztyn jest skamienia łością łez ptaków.

„Przyniesiem najżywsze gałęzie korali,
„I gajem zasadzim nad tobą;
„Żwir Złotéj-Zatoki, co w iskrach się pali,
„Jak gwiazdy rozsypiem przed tobą.

„Spoczywaj! niech łzami niebieskiéj litości,
„Mogiłę tych zroszą Anieli,
„Co jak Ty kochając, umarli z miłości,
„Co jako On walcząc, zginęli! —

KONIEC.

PERI I RAJ.

POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.

KLEMENTYNIE Z WYGANOWSKICH,

HRABINÉJ

GRABOWSKIÉJ.

W DOWÓD USZANOWANIA I PRZYJAŹNI,

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

PERI I RAJ.

I.

U progu Niebios gwiazdzistych podwoi,
Wygnanka Peri, zasmucona stoi *).
I kiedy słyszy, jak zdroje żywota
Rajskiemi dźwięki harmonijnie brzęczą:
I kiedy widzi, jak ich jasność złota
Z bram na jéj skrzydłach promieni się tęczą:
Płacze dumając, że jéj ród zuchwały
Stracił dziedzictwo wiekuistéj chwały.

„Szczęśliwi duchowie! co w wiecznych swobodach,
„Po gwiazdach niebieskich, po rajskich ogrodach,
„Bujają skrzydłami jasnemi!

*) Peri, w mitologii wschodniéj, są to duchy dobre, stopniem tylko niższe od Aniołów, chociaż równéj piękności. Niegdyś wygnane z Raju, mieszkają na powietrzu, w wodzie, i w najpiękniejszych okolicach na ziemi: w zaczarowanych napowietrznych ogrodach, lub w kryształowych na dnie morskiém pałacach. Żyją wonią kwiatów i rosą.

„I ja mam ogrody na ziemi i w morzu,
„Mam sady wiszące w powietrza przestworzu —
„Lecz możnaż je równać z rajskiemi?

„Przeczysta jest woda jeziora Kaszmiru,
„I rzeki mu niosą dań złota, nie żwiru,
„I piękny cień wysp Sing-su-haju *).
„Tam żyję ich wonią; tam w skwarność upału,
„Oddycham w ich głębiach, w pałacach z kryształu.
„Lecz cóż to jest wszystko przy raju?

„Leć z gwiazdy do gwiazdy, od słońca do słońca,
„W otchłani beze dna, w przestrzeni bez końca,
„Gdzie krążą na wiecznych zawiesiech:
„Zbierz wszystkie ich wszystkich rozkosze, radości,
„I pomnóż przez wieki, przez lata wieczności—
„Cóż one przy chwilce w Niebiesiech?“ —

Tak gdy nóciła, płacząc tém boleśniéj,
Anioł, stróż Raju, dosłyszał jéj pieśni:
I łza litości, w promienistém oku
Błysła, jak kropla rajskiego potoku
W kielichu kwiatów, co barwą błękitną,
Mówią Bramini — w Raju tylko kwitną **).

---

*) W Tybecie.

**) Błękitny kwiat *Champaka*, tak zwany w języku Braminó podług ich podań kwitnie tylko w Raju.

„Duchu, cierpiący nie za swoje grzechy!
Rzekł—„nie rozpaczaj, przyjm promień pociechy!
„Jest jeszcze jedna nadzieja dla ciebie.
„W księdze wyroków napisano stoi:
„*Peri, co złoży u Niebios podwoi*
„*Dar godny Nieba—może zostać w Niebie*."—
„Leć więc i szukaj!—Nam, synom zbawienia,
„Miło otwierać bramę przebaczenia."—

Jak kometa i gniem tchnąca,
W płomienisty uścisk słońca:
Jak gwiazdziste owe groty,
Co gdy sprośny duch ciemnoty
Chce ku Niebu wkraść się zbliska,
Archanielska dłoń nań ciska *):
Peri na dół spada z góry.
I promienna zórz szkarłatem,
Co wschód barwią tłem purpury:
Błyszczącemi jak śnieg pióry,
Ulatuje po nad światem.

Lecz gdzież się zwróci, by iść szukać daru
Godnego Niebios?—„O! wiém ja—zawoła—

---

*) Muzułmanie mniemają, iż spadające gwiazdy, są to ogniste pociski, któremi Aniołowie odpędzają złych duchów, gdy się z nich który z przepaści ku Niebu przybliżyć ośmieli.

„Wiém skarby w lochach ruin Czilminaru *),
„Których znieść blasku źrenica nie zdoła.
„Wiém, gdzie w bezdennych głębokościach fali
„Są góry pereł i lasy korali;
„Gdzie w straży Gnomów, pod ziemią ukryty,
„Króla Dżamszyda puhar gwiazdolity,
„Co zdrojem życia nad brzegi się pieni **); —
„Ale dla Niebios ofiara to błaha!
„Cóż jest blask złota i drogich kamieni,
„Przy gwiazdach u stóp stolicy Allaha?
„A krople życia!—o! nicość nicości,
„Przy oceanie niebieskiéj wieczności!“—

I gdy tak duma, a skrzydła jéj płyną,
Po nad Indyjską ulata krainą.
Gdzie cała ziemia, jest kwiat i zieloność,
Całe powietrze, jest jasność i wonność;
Gdzie morze razem, w przezroczach swéj fali,
Odbija błękit i dno swe z korali;
Gdzie nakształt dziewic ubranych na gody,
Rzeki lśnią złotem przez rąbek swéj wody;
Gdzie w górach, ogniem słonecznym dojęty,
Głaz się w gwiazdziste topi dyamenty;

---

*) Tak Persowie nazywają miasto Persepolis. Podług ich podań, był tam pałac zbudowany przez Geniuszów, dla ukrycia w podziemnych jego lochach nadzwyczajnych skarbów, które tam się dotąd znajdują.

**) Cudowny ten puhar, napełniony „żywiącą i gojącą wodą,“ ma się także znajdować w ruinach Persepolis.

A wonne lasy, wiecznym tchnące majem,
Sameby mogły być Perij rajem;
Tam ona w myślach posępnych ulata.
Żądza ku Niebu, i niedola świata,
Tęskność i litość budzą w niéj zarazem.
Bo kraj ten dzisiaj nie raju obrazem!
Wojna go niszczy:—krwi ludzkiéj rozcieki
Zafarbowały strumienie i rzeki,
Dym pogorzelisk zaćmił blask pogody.
O! kraju słońca! jakiż wróg zawzięty,
Kruszy twe Bóstwa, obala Pagody *),
Pomiata twemi ludy i książęty?
To on, wódz z Gazny!—**) nie syt krwi rozlewu,
Gdzie szedł, w jéj morzu pływa kraj zniszczony;
Gdzie cisnął okiem, w ogniach jego gniewu
Stopniały złote mocarzów korony.
Tyran, a Niebios prorokiem się mieni,
I jako szatan urąga z niedoli!
Psiarnie swe stroi w blask drogich kamieni,
Zerwanych z piersi córa książąt i króli.
Morduje dzieci, dziewice znieważa,
Kapłany rzeże u stopni ołtarza.

*) Świątynie Indyjskie.

**) Mahmud, Sułtan Gazny, albo Ghisni, który spustoszył i podbił Indye na początku XI wieku. Psiarnia jego, którą prowadził za sobą, składała się z 400 ogarów, które, na urągowisko, kazał ubierać w klejnoty zdarte z bożyszcz Indyjskich. Każdy z tych psów miał obrożę złotą, sadzoną dyamentami, i kapę do okrycia, naszywaną perłami.

I gruzem świątyń, runących w pożodze,
Zdroje wód świętych zatrzymuje w drodze.—

Peri spogląda—i tuż niedaleko
Od pola bitwy, po nad świętą rzeką,
Widzi młodzieńca:—sam, nieustraszony,
Stoi w ćmie wrogów;—w ręku miecz skruszony,
I tylko strzała ostatnia w kołczanie.
„Żyj!—woła Mahmud—„żyj, dzielny młodzianie!
„Żyj!—i przyjm moję przyjaźń i opiekę!"
Milcząc młodzieniec podniósł nań powiekę,
Milcząc ukazał na skrwawioną rzekę,
I za odpowiedź, ostatnią z kołczanaj
Strzałę z cięciwy puścił na tyrana.
Niestety! próżno!—grot cel swój ominął—
Łupieżca żyje—a bohater zginął!

Peri dostrzegła, gdzie upadł w drzew cieniu;
I gdy wróg daléj poniósł broń niszczącą,
Zbiegła na rannym jutrzenki promieniu,
I od jéj blasku jak rubin błyszczącą,
Ostatnią kroplę krwi zebrała z rany,
Krwi za ojczyznę i wiarę przelanéj!—

„O! gdzież mi—zawoła—gdzie inszéj ofiary,
„Czyż świętszéj gdzie szukać potrzeba?
„Krew mężna, przelana dla kraju i wiary,
„Lub będzie najmilszą dla Nieba.
„Lub nie ma méj męce ni granic, ni końca!"—

To rzekła, i cała radością świecąca,
Wbiegła na niebo — po promieniach słońca.

„Droga“ — rzekł Anioł, w dłoń swą promienistą
Biorąc dar Peri: — „droga krew męczeńska,
„Krew poświęcona za ziemię ojczystą!
„Ale, niestety! patrz! brama Edeńska
„Trwa nieruchoma. — Droższych darów trzeba,
„Niż ta krew nawet, by ci wejść do Nieba!

II.

Tak, gdy ją piérwsza nadzieja zawiodła,
Peri znów na dół pośpiesznemi pióry
Spada, i między Księżycowe Góry *),
W ziemi Afryckiéj, buja po nad źródła
Rzeki Nilowéj: — któréj ród tajemny
Kryje się w puszczy i przepaści ciemnéj,
Gdzie tylko możne Geniusze wody,
Weselne swoje wiążąc korowody,
Cieszą się, patrząc modremi oczyma,
Na wzrost rzek ziemskich króla i olbrzyma.
Ztąd po nad bujne Egiptu oazy,
Bezdenne groty i podniebne głazy **),

*) *Montes Lunae*, w starożytności. U stóp ich mają być źródła Nilu, zwanego u Abissyńczyków *Abby* albo *Alawy*, co znaczy olbrzym.

**) O niezliczonych pomnikach i grotach, w górach Wyższego Egiptu, pokrytych całkiem hieroglificznemi napisami, mówi obszernie między innymi podróżnikami, p. Perry, w dziele swojém *View of the Levant.*

Peri wzdłuż Nilu po powietrzu płynie.
I to w rozkosznéj Rozetty dolinie *),
Słucha turkawek gruchających chórem:
To po nad modrém Merisu jeziorem **),
Zwieszona, z góry przygląda się rada,
Jak białoskrzydłych pelikanów stada,
W miesięcznem świetle i mgle przezroczystéj,
Lśnią się jak gwiazdy na fali gwiazdzistéj.
Czarowny widok!—cudniejszéj krainy,
Śmiertelna nigdzie nie ujrzy źrenica! —
Lecz któżby widząc te żyzne równiny,
Których plon dziwi, a piękność zachwyca:
Te hoże palmy, rok cały wiosenne,
Co gnąc z owocem swe kształty powabne,
Chwieją się zlekka, jak dziewice senne,
Gdy idą spocząć na łoża jedwabne ***);
Te róże, z barwą i krasą jutrzenki,
Co jak sułtanki w tajnikach haremu,
Stroją się nocą w coraz nowe wdzięki,
Na podziw słońcu, kochankowi swemu;
Te gruzy świątyń, albo miast warownych,
Co się być zdają szczątkiem snów czarownych:

---

*) Gaje w dolinach Rozetty, napełnione są turkawkami. — *Sonnini.*

**) *Savary* wspomina o pelikanach na jeziorze Mocris.

***) Wspaniała palma, któréj szczyt schyla się zlekka, jak czoło pięknéj dziewicy, kiedy ją sen morzyć zaczyna.“ *Dafard et Hadad.*

Śród których głuchéj, uroczystéj ciszy,
Przelot puszczyka chyba słuch dosłyszy:
I w których mroku zbłąkana źrenica,
Gdzie niegdzie chyba, przy świetle księżyca,
Ujrzy, na szczycie skruszonéj kolumny,
Ptaka-Sułtankę—jak w postawie dumnéj,
Siedzi bez ruchu, i chociaż w pomroce,
Barw swoich tęczą wspaniale migoce; *)—
Któżby mógł, widząc te rajskie obrazy,
Myśleć, że nawet tu, szatan zarazy,
Rozwiał swém skrzydłem taki powiew moru,
Że życie ludzi i wszelkiego tworu,
Nikło w nim nagle, jak pod strzałem gromu,
Jak kwiat i zioła pod tchnieniem Simomu**).

Słońce dziś zaszło przed tysiącem oczu,
Co wtedy jasne, jak zachód na falach,
Teraz już w mękach i śmierci omroczu —
Nim gwiazdy błysły na Niebios przezroczu —
Gasną na wieki w morowych szpitalach!
Ach! a też w polach zwalone na kupy,
Te po ulicach i po drogach trupy!

*) Piękny ten ptak, z najpiękniejszym błękitem na skrzydłach, z purpurowemi nogami i dziobem, był ulubioną ozdobą Greckich i Rzymskich pałaców i świątyń; a z powodu wspaniałéj postawy i świetności kolorów, na Wschodzie imię Sułtanki otrzymał.—

**) *Simom* albo *Simum*, wiatr gorący, wiejący od strony pustyń.

Od których nawet, ujrzawszy zdaleka,
Sęp wygłodniały ze wstrętem ucieka;
I tylko hyen żarłocznych gromada,
Przybiega z pustyń, do miast się zakrada,
I na żer sprośny, przez puste ulice,
Śmiałemi kroki dybie nocną dobą —
I biada mrącym! gdy w mroku nad sobą,
Ujrzą ich duże, błyszczące źrenice! —

„O! biedny ludzki świecie i rodzaju!
„Ciężko spadł na was grzech piérwszego męża.
„Cóż, że wam kwitnie kilka kwiatów raju,
„Kiedy na każdym jest trucizna węża?“—
Tak rzekła Peri, i łzami rzewnemi
Płakała mówiąc;—a łzy jéj, jak rosy,
Zdrowiącą świeżość rozniosły po ziemi.
Bo jest cudowna moc we łzach, któremi
Duch taki płacze nad ludzkiemi losy! —

W téj chwili właśnie, pod zieloném drzewem
Złotych pomarańcz· gdzie owoc i kwiecie,
Pochwiane jednym, przelotnym powiewem,
Igrały razem, jak ze starcem dziecię:
Po nad jeziorem, którego głębinie
Tchnęły oddechem świeżości wilgotnéj:
Słyszy jęk cichy;—ktoś widać w pustynię
Skrył się przed ludźmi, by umrzeć samotny.—

Młodzian—za którym, w każdym niegdyś kroku —
Szły czułe serca i tęskne westchnienia,

Kona—i nie ma, ktoby mu przy boku
Stanął na wsparcie, na ulgę cierpienia!
Coby dla śpiekłych ust jego ochłody,
Podał mu choćby jedną kroplę wody,
Co o krok przed nim chęć w nim tylko drażni;
Coby choć jednym wyrazem przyjaźni,
Współdzieląc boleść i łagodząc trwogę,
Pokrzepił ducha na wieczności drogę!
Nikogo nie ma!—i jedna pociecha,
Co mu się jeszcze w téj chwili uśmiecha,
Jest—że ta, którą jedynie, statecznie,
Kochał kochany, od lat swych dziecięcych—
Że ta w téj chwili spoczywa bezpiecznie,
Spoczywa w ojca pałacach książęcych:
Gdzie wód przeczystych bijące fontanny,
I z drzew Indyjskich ogień nieustanny,
Tchną wkoło taką świeżością i wonią,
Że rzekłbyś, skrzydła Aniołów nad skronią
Wiejąc, jéj życie od zarazy chronią.

Ale patrz! któż to z pośpiechem i trwogą
Dąży od miasta? Anioł czy ziemianka?
Przebóg! to Ona!—nieomylną drogą
Serce ją wiedzie za śladem kochanka.
I już go widzi—jak w świetle księżyca
Leży, półciałem wsparty o pień drzewa;
I już jest przy nim—i lice do lica
Tuli, i łzami twarz jego oblewa;

I rozpuszczone pasma swych warkoczy
Macza w jeziorze—i dzierżąc na łonie,
Płonące niemi obwiązuje skronie,
Całując usta, patrząc w jego oczy!—
A on!—niestety! mógłże on to wróżyć,
Że przyjdzie chwila, kiedy te uściski,
Świętsze mu stokroć od pieszczot Huryski,
Będą go tylko przerażać i trwożyć:
Jakby splot węża wkoło jego szyi,
Jakby w tych ustach były jady żmii?
W ustach, co teraz rozpaczą zuchwałe,
Same się jego upajają tchnieniem:
A niegdyś wstydem spłonęłyby całe,
Gdyby się cichém zdradziły westchnieniem!

„Luby mój, drogi! przestań mię odpychać!
„Patrz! czyż nie jestem narzeczoną twoją?
„Pozwól mi, pozwól twém życiem oddychać,
„Spełnić przysięgę i powinność moją:
„Żyć razem z tobą, lub umrzeć dla ciebie!
„Ach! tyś mię nie znał, jeśli mogłeś wierzyć,
„Że cię w ostatniéj opuszczę potrzebie,
„Lub że cię zechcę—albo zdołam przeżyć!—
„Nie, nie! mój luby!—Kiedy drzewo ginie,
„Żyjąca z niego zielona jemioła
„Ginąć też musi.—Nie odwracaj czoła!
„Przyjm uścisk piérwszy, w ostatniéj godzinie!
„Złącz usta z memi!—i dzielmy oboje,
„Ty moje życie, ja skonanie twoje!“—

Rzekła, i bledną—jako lampa właśnie,
Gdy w głębi lochów od wyziewów gaśnie—
Chwieje się, padła;—blask oczu i krasa,
W powiewie moru mroczy się, zagasa;
I duch obojga, w jedno zlany tchnienie,
Uleciał razem nad świat i cierpienie.—

„O! śpijcie!—Peri rzekła z łzą w źrenicy,
Łowiąc ostatnie westchnienie dziewicy,
Co z ust w ostatnim wzleciało oddechu.
„Śpijcie w niebieskiéj harmonii echu,
„W rajskich marzeniach i tchu rajskiéj woni:
„Milszéj niż owa, co na ziemskiéj błoni
„Tchnie tylko wtedy, gdy ów ptak, syn słońca,
„Syty samotném życiem lat tysiąca,
„W słonecznych ogniach zaklętego stosu,
„Niknie w potokach wonności i głosu *)!—

Rzekła, i tchnieniem ambrozyjskiéj woni
Z ust napełniła całą okolicę;
I wstrząsłszy wieniec gwiazdzisty na skroni,
Taką rozlała jasność—że ich lice

---

*) Podług podań na Wschodzie, ptak Fenix, po przeżyciu tysiąca lat, układa sam sobie stos z najwonniejszych gatunków drzewa, i pali się na nim ogniem słonecznym, wpośród najrozkoszniejszéj woni i harmonii głosu, którą sam przed skonaniem wydaje.

Było jak świętych, co po trudach ziemi
Śpią snem wiecznego pokoju — a ona,
Na jasnych skrzydłach w równi zawieszona,
Jak ich Stróż-Anioł czuwała nad niemi.

Ale już piérwsze jutrzenki promienie
Rumienią chmury—i Peri w radości
Wraca ku Niebu, unosząc westchnienie
Czystéj i samoofiarnéj miłości.
Serce w niéj drgnęło rozkoszy oddechem,
Myśl w morzu szczęścia i nadziei tonie,
Widząc jak Anioł, stróż raju, z uśmiechem,
Dar przyniesiony przyjmował w swe dłonie.
I już przez bramę, natężoném uchem,
Słyszy dźwięk liści kryształnego drzewa,
Wstrząsanych wiecznie, jakby żywym duchem,
Tchem, co od tronu Allaha powiewa;
I już nad brzegiem zdrojów źwierciadlanych,
Widzi błyszczące gwiazdziste puhary,
Zkąd naprzód dusze szczęśliwych wybranych,
Nieśmiertelności czerpają nektary!....

Ale, niestety! nadzieja zwodnicza!
Znów się, jak przedtém, brama tajemnicza
Zamknęła sama; i z smutkiem w źrenicy,
Anioł rzekł: „Święta jest miłość dziewicy!
„Dzieje jéj uczuć, ofiary i zgonu,
„W gwiazdzistych słowach, u Allaha tronu,

„Będą uczyły same duchy Nieba,
„Jak się poświęcać i miłować trzeba.
„Ale patrz! Niebios zamknięte podwoje! —
„Idź! droższym darem okup wnijście twoje!
„Droższym, niż ziemskiéj miłości westchnienie,
„Lub dla miłości śmierć i poświęcenie.“ —

III.

Z różanych sadów, na zielone pola,
Wieczorny wietrzyk tchnie woń Suristanu *),
I słońce, jako wielka aureola,
Wieńczy, zachodząc, świętą skroń Libanu:
Co z wierzchu śnieżną obleczony szatą,
Sędziwém czołem między gwiazdy świeci,
A u stóp wiosna i zielone lato,
Wiecznie ku niemu śmieją się jak dzieci.

O! ktoby kraj ten mógł oglądać z góry,
Ten blask, to życie, tę piękność natury,
Jakżeby cudnym uderzon obrazem,
Dziwił się, wielbił, i zachwycał razem!
Te gaje cedrów, te równie bez końca,
Te rzeki ogniem iskrzące od słońca!

---

*) Suristan, *kraj róż*. Tak się nazywa Syrya, od niezmiernéj ilości tego rodzaju kwiatów, zwanych w języku krajowców: *Suri*.

Te łąk nadbrzeżnych kobierce bogate,
I te nad niemi, jak kwiaty skrzydlate,
Roje motyli, i tłumy jaszczurek *):
Co każda lśniąca jak brylantów sznurek,
Jedna za drugą, po dawnych zwaliskach,
Wciąż w gzygzakowych migają się błyskach!
Te, na tle jasnych błękitów u góry,
Stada gołębi, z migotnemi pióry,
W jaskrawym blasku zachodniego słońca,
Rażące oczy tęczą barw tysiąca,
Lub z drzew zieleni, swych skrzydeł trzepotem,
Przełyskujące purpurą i złotem! **)
A tenże ptasząt gwar, szczebiot wesoły,
Złączony z brzękiem Palestyńskiéj pszczoły,
Co lśniąc jak gwiazda, ssie kwiatów nektary!
I wdzięczne echo pastuszéj fujary, ***)
I dzwonki trzody rozpierzchłéj po łanie,
I godne raju, twe brzegi, Jordanie!

---

*) „Widzisz tam (w Syryi) nieprzeliczone mnóstwo osobliwszego gatunku motyli, których piękność kształtu i barwy, zjednała im nazwisko *panien*."—*Sonnini.*

„Liczba błyszczących jaszczurek, którą widziałem na ruinach świątyni słońca w Balbeku, dochodziła do wielu tysięcy; ziemia, gruzy i stojące jeszcze ściany ruin, były niemi prawie okryte. *Bruce.*

**) Gołębie syryjskie, latające ogromnemi stadami, odznaczają się osobliwszym blaskiem różnokolorowych piór swoich. *Bruce.*

***) Syrinx, albo piszczałka bożka Pana, jest dotąd pasterskim instrumentem w Syryi. *Russel.*

I szmer ku tobie bieżących strumyków;
I twoje gaje, tak pełne słowików!... *)

Peri spogląda—ale jak łza oczy,
Tak mgła jéj smutku wszystko przed nią mroczy.
Ach! sam blask słońca—co koroną jasną
Lśni nad świątynią—niegdyś swoją własną, **)
Któréj skruszone olbrzymie filary,
Jeszcze po polach ścielą cień daleki,
Rzekłbyś kompasy, co Czarodziéj stary,
Czas, wbił, by po nich liczyć jego wieki.

Ale któż zgadnie, czy w tych lochach ciemnych,
Zkąd brzmiała niegdyś wyrocznia natchniona,
Nie znajdzie jakich zabytków tajemnych,
Ksiąg, talizmanów z krain ponadziemnych,
Z wielkiém imieniem króla Salomona:
By z nich wziąć światła promień pożądany,
Gdzie i jakiego daru szukać trzeba,
Ażeby przezeń, duch grzechem skalany,
Mógł się oczyścić i dostąpić Nieba?—

W tych myślach Peri zmierza ku ruinie,
Nim słońce jeszcze skryło się za wzgórze;
I na rozkosznéj Balbeku dolinie,
Pomiędzy polne i rumiane róże,

---

*) Brzegi Jordanu po obu stronach okryte są małemi, pięknemi gaikami, w których kryje się tysiące słowików. *Thedenot.*

**) Świątynia słońca w Balbeku.

Widzi rumiane i dzikie, jak one,
Małe pacholę:—zabawą znużone
Leży na kwiatach, i patrząc wokoło,
Śmiejąc się nóci piosenkę wesołą.
I w téjże chwili, na otwartém błoniu,
Postrzega jezdźca—na zziajanym koniu,
Pędzi ku brzegom blizkiego strumienia.
Przypadł—i szybko zeskoczył z strzemienia,
I padł na ziemię, i pił:—aż zdumiony,
Ujrzawszy dziécię, ogniste źrenice
Zwrócił ku niemu.—Chłopiec niestrwożony
Patrzał nań wzajem:—choć to groźne lice,
Te dzikie oczy nasępione srogo,
Najodważniejszych przejęłyby trwogą!
Z głębi ich dusza patrzała ponura,
Z mroku i ognia, jak piorunna chmura,
W któréj wzrok Peri mógł czytać dowodnie,
Jakby wyryte najczarniejsze zbrodnie:
Mord, zemstę, pychę, i Kaima zawiść,
I wzgardę Nieba, i ludzi nienawiść,
I urąganie z prawdy i uczucia,
I dzikość siły, i otchłań zepsucia.
Wszystko wyraźne i czarne, jak one
Głoski, któremi archanielskie pióro,
Wszystkie na ziemi grzechy popełnione
Wpisuje w księgę potępienia, którą,
Na straszym sądzie grzesznikom ukaże,
Nim je łza skruchy, albo Litość zmaże.

Ale w téj chwili ów człowiek rozboju—
Jakby ten obraz ciszy i pokoju,
Co świecił przed nim w jasności zachodniéj,
Wszedł w duszę jego:—w téj chwili łagodniéj,
Weseléj, nawet z czułości wyrazem,
Patrzał na dziécię; i za każdym razem
Spotkał wzrok jego, patrzący nań śmiało.
Tak blask pochodni, płonącéj noc całą
Przy jakim sprośnym obrzędzie, nad ranem
Styka się z światłem jutrzenki różaném.

Lecz patrz! już słońce, z za gór jeszcze grzbietów
Błysnąwszy, zgasło:—modlitwy godzina!
I w téjże chwili, z okolnych meczetów,
Rozległ się w dali okrzyk Muezzina.
Porwał się chłopiec, i w kornéj postawie,
Padł na kolana na wonnéj murawie,
I wznosząc w górę i oczy i ręce,
Odmawiał ciche modlitwy dziecięce.
Rzekłbyś, że małe anielskie pacholę,
Upadło z Nieba, i na tym padole
Tęskniąc bez skrzydeł, w proszącéj postaci
Wyciąga ręce do starszych swych braci.
O! był to widok!—ta pora! to dziécię!
Ten blask zachodu na niebios błękicie!
Widząc go Eblis—samby w sercu swojém
Czuł żal za rajem, i serca pokojem!

I on go uczuł!—On, człowiek dzikości,
I krwi, i pychy—w obec niewinności
Zadrżał sam w sobie; i myślą odmienną
Sięgnął w swą przeszłość, jak w otchłań bezdenną:
Gdzie żadna gwiazda, żaden promień z góry,
Nie świecił przed nią; gdzie żadnéj podpory
Nie znalazł dla niéj; aż sam z przerażeniem
Cofnął się przed nią:—i z ciężkiém westchnieniem:
„Był czas—rzekł w sobie—był czas, lube dziecię!
„Gdym i ja także, jak ty, na tym świecie
„Igrał, i kochał, i wierzył—i nieraz,
„Jak ty w téj chwili, modlił się;—a teraz!...“—
Opuścił głowę:—obraz lat dziecinnych,
Uczuć, nadziei i zabaw niewinnych,
I dawna czystość, i obecny zakał,
Stanęły w myśli—i on płakał, płakał!

Błogosławione łzy żalu za grzechy!
Błogosławieni, którzy płaczą niemi!
W nich jest jedyne uczucie pociechy,
Jaką występek czuć może na ziemi.
„Jest—rzekła Peri—tajemnicza rosa,
„Co raz w rok tylko, litośne Niebiosa
„Spuszczają w skwary na Egiptu kraje,
„A co gdy spadnie, zaraza ustaje *).

*) *Nucta*, albo „Cudowna Kropla,“ padająca w Egipcie w sa
dzień S. Jana, w czerwcu, ma mieć jakoby własność powstrzyma
nia morowéj zarazy.

„Ach! czyliż nie tém dla duszy człowieczéj,
„Są łzy szczerego żalu i pokuty?
„Niech ją owionie duch złego zatruty,
„Niech ją rozranią sumienia wyrzuty,
„Jedna łza taka — a wszystko uleczy!“ —

I patrz! już zbójca przy boku dziecięcia,
Padł na kolana: rozpostarł objęcia.
Wzniósł je ku Niebu — co równie łagodnie
Oświeca obok niewinność i zbrodnię —
I hymn radości brzmi między niebiany,
Witając powrót duszy obłąkanéj! —

Mrok już zaciągał od wschodu — a oni,
Modląc się jeszcze, klęczeli na błoni:
Kiedy wtém nagle, jak struga szeroka,
Jasność niezwykła zabłysła z wysoka,
I padła prosto na zbójcy oblicze,
Zgięte ku ziemi: i na tajemnicze
Łzy, co spadając kroplami bujnemi,
U kolan jego błyszczały na ziemi.

Jasność tę zdala śmiertelnikby może
Wziął za meteor lub polarne zorze:
Lecz Peri łatwo odgadła wesoła,
Że to był uśmiech, spójrzenie Anioła,
Znak wskazujący na łzy pokutnika,
Że w nich jest siła, co Niebo odmyka! —

„O! szczęście bez miary! o! radość bez końca!
Skończone me życie tułacze!
Żegnajcie mi blaski księżyca i słońca,
Ja światłość Allaha zobaczę!

„Żegnajcie mi ziemskie ogrody i kwiaty,
Nietrwałe jak ziemskie radości!
Żegnajcie bez żalu!—ja lecę w te światy,
Gdzie radość jest tchnieniem wieczności.

„Żegnajcie mi, ludzie! obyście wy chcieli
Raz szczerze zatęsknić do Nieba!
O! jakby was chętnie życzliwi Anieli
Uczyli, jak szukać go trzeba!

„Żegnajcie, żegnajcie! pokutą i łzami
Łagodźcie serc waszych rozpacze;
Ja lecę, gdzie chyba z litości nad wami,
Przed tronem Allaha zapłaczę.“ —

KONIEC.

Dziewica Orleańska.

TRAGEDYA ROMANTYCZNA

SZYLLERA

W PIĘCIU AKTACH, Z PROLOGIEM

CIENIOM

KLAUDYNY Z DZIAŁYŃSKICH POTOCKIEJ,

NAJWYŻSZEJ W DUCHU,

JAKĄ ZNAŁEM W MÉM ŻYCIU,

A KTÓREJ WINIENEM POJĘCIE

NATCHNIEŃ ŁASKI BOŻEJ W CZŁOWIEKU.

W HOŁDZIE

CZCI, WDZIĘCZNOŚCI I ŻALU

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

Wiadomość Historyczna

O JOANNIE D'ARC.

Zjawienie się Joanny d'Arc na scenie dziejów, jest może najwyraźniejszém, z tysiąca innych świadectw, świadectwem, o bezpośrednim wpływie woli i Opatrzności Boskiéj, na los narodów i pojedyńczych ludzi; o czém i bez tego, żaden prawdziwy chrześcianin nie wątpi. Wszystkie jéj czyny i dzieje od kolebki prawie do grobu, opisane po wielokrotnie przez naocznych świadków, roztrząsane pod rozmaitemi względami przez współczesnych i przez następnych, i nakoniec przed najsławniejszych teraz żyjących historyków francuzkich, powtórzone z najdrobniejszemi szczegółami, podług nowo odkrytych autentycznych źródeł, nie zostawują najmniejszéj wątpliwości o jéj cudowném powołaniu i posłannictwie, o czynach wyższą wolą i siłą natchnionych, i nakoniec o niepokalanéj czystości i świętobliwości jéj życia, które uczyniło ją godną, stać się narzędziem Łaski dla swojego ludu, i można rzec, wybraną ofiarą odkupienia swego narodu.

Mając zamiar, jeżeli Bóg dozwoli, w osobnych kiedyś i obszerniejszych ramach, przedstawić ten wielki historyczny

obraz, równie dla chrześcianina jak i dla psychologa ważny: bo wyjaśniający nam niejako najświętsze i najtajniejsze stosunki pomiędzy Niebem a ziemią, pomiędzy stworzeniem a Bogiem: ~tą razą poprzestanę tylko na skreśleniu kilku główniejszych rysów, potrzebnych dla lepszego pojęcia i ocenienia sztuki Szyllera, któréj tu nowy przekład pod sąd czytelników przynoszę [1]).

Na początku XV wieku, Francya uwikłana w nieszczęśliwą wojnę z Anglią; szarpana wewnątrz krwawemi niezgodami dwóch potężnych stronnictw: Burgundzkiego i Orleańskiego, z których pierwsze, pod wodzą Filipa, Księcia Burgundyi połączyło się nakoniec z Anglią; w największém rozprzężeniu i nieładzie pod rządem obłąkanego na umyśle Karola VI, a raczéj żony jego, Izabelli Bawarskiéj, niewiasty sprośnych obyczajów i uczuć;—Francya, mówię, ujrzała się nad brzegiem ostatniéj i nieuchronnéj zguby. Stanowcza klęska pod Azincourt (1415) i inne, przywiodły w końcu pamiętny a upokarzający traktat w Troyes (1520), mocą którego, syn Karola VI, Delfin Karol, ostatni szczep królewskiego domu Walezych, pomówiony przez własną matkę o nieprawność rodu, został przez własnego ojca wyzuty z prawa następ twa, i prawo to przeniesione na osobę Henryka V. króla angielskiego, który poślubił tamże królewnę francuzką Katarzynę, i tymczasowo, do śmierci teścia, tytuł Rejenta Francyi otrzymał. We dwa lata późniéj, (1422), obaj królowie: Karol VI i Henryk V, pomarli; ostatni zostawiwszy w kolebce syna (Henryka VI), który stosownie do traktatu w Troyes, zaraz po pogrzebie Karola V. w Saint-Denis, królem Francyi obwołany został. Delfin także ze swojéj strony, pod imieniem Karola VII. ogłosił się królem w Poitiers, nie mogąc dostać się do Rheims, gdzie

---

[1]) Pierwszy przekład, wykonany przez Andrzeja Brodzińskiego, brata Kazimierza, drukowany był w Warszawie w r. 1821, nakładem Zawadzkiego i Węckiego, i po wielekroć wystawiany na scenie.

według uświęconego wiekami zwyczaju, odbywało się zwykle namaszczenie królów francuzkich, nadające jedynie sankcyą w obliczu religii, prawa i narodu. Pomimo to, w oczach wszystkich dobrych Francuzów, Karol VII był prawym monarchą, i wsparty ich gorliwą pomocą, z orężem w ręku bronił praw swoich i kraju przeciw złączonym Angielskim i Burgundzkim siłom, będącym w posiadaniu Paryża i większéj części królestwa. Przez lat siedem toczyła się wojna, z różném szczęściem i ze wszystkiemi okropnościami wojny domowéj; aż nakoniec w r. 1429, rzeczy stanęły na tym stopniu, że podług wszelkich rachub polityki i rozumu, sprawa Karola VII ostatecznie chyliła się do upadku. Zawiści i intrygi własnych jego stronników, wzbudziły nań nowego wroga, w osobie najwierniejszego mu dotąd Konnetabla; inni opuścili go jawnie lub traktowali skrycie z Anglikami; nowe wojsko angielskie, pod wodzą hr. Salisbury, zdobyło wszystkie twierdze i miasta na północnym brzegu Loary, i nakoniec obległo miasto Orleans, od którego zdobycia lub utrzymania cały dalszy los wojny zależał. Obie strony czuły to dobrze: i dla tego téż obie zarówno wytężyły wszystkie swe siły, aby stanowczą tę walkę na swoję korzyść rozstrzygnąć. Kwiat francuzkiego rycerstwa i najprzedniejsi wodzowie zamknęli się w tém mieście; wszystkie sąsiednie prowincye i miasta wyczerpywały ostatnie zasoby, aby je zaopatrzyć w pieniądze i żywność; wszyscy mieszkańcy wzięli się do oręża, kobiéty nawet i dzieci dopomagały walczącym, już to podając kamienie, już roztapiając ołów albo smołę, którą z góry na szturmujących zlewano. Anglicy odbici od szturmu, otoczyli miasto szańcami i blokhauzami, aby je głodem do poddania się przymusić. Salisbury zginął ugodzony kamieniem z dział miejskich, ale następca jego, Suffolk, z niemniejszém natężeniem oblężenie popierał. Wysłany na odsiecz miastu ośmiotysięczny korpus, pod wodzą hr. Clermont, cofnął się przed garstką Anglików, porażony haniebnie pod Rouvrai. Głód straszliwy panował już w mieście. Przywiedzeni do rozpaczy mieszkańcy, chcieli już byli poddać je Burgundzkiemu księciu Filipowi: ale gdy tę

ofiarę odrzucili Anglicy, ostatniém jeszcze wysileniem rozpaczy z dnia na dzień przewlekali swą zgubę. Widocznem wszakże było każdemu, iż prędzéj późniéj nie pozostanie nic innego Orleanowi, jak zdać się na łaskę Anglików; Karolowi, jak ujść za Loarę, do południowych prowincyi, a ztamtąd na tułactwo do Hiszpanii lub Szkocyi; Francyi nakoniec, jak wyrzec się swéj niepodległości i stać się prowincyą angielską. Wszystkie ludzkie sposoby i siły okazały się bezskuteczne, aby tę ostateczność odwrócić; wszystkie, nie już usiłowania, lecz same nawet nadzieje polepszenia losu, zdawały się być tylko szaleństwem w oczach ludzkiego rozumu.—A przecież Bóg chciał inaczéj, i wszystko się jak sen przemieniło.

Na zbiegowisku trzech granic. Szampanii, Burgundyi i Lotaryngii, w małéj wioseczce Dom-Remy, żyła prosta, uboga pasterka, córka poczciwych i bogobojnych rodziców, którzy wcześnie w tkliwe jéj serce gorącą miłość Boga i głęboką swą wiarę przelali. Joanna d'Arc—to było jéj imię—od samego dzieciństwa odznaczała się między rówiennicami szczególną pobożnością i najbardziéj chrześciańskiemi cnotami: pokorą, łagodnością, prostotą i najtkliwszą miłością bliźnich. Wewnętrzne życie duchowe pochłaniało ją całkiem, a wpływ jego, w oczach niepojmujących go nawet, otaczał ją tajemniczym urokiem: tak dalece, że nie tylko poczciwe serca ludzi, a mianowicie dzieci, czuły ku niéj niepojęty pociąg; ale same nawet ptaki powietrzne, podług słów współczesnego historyka, przytoczonych przez Micheleta: „przylatywały do niéj, jak niegdyś do Świętych w pustyni, i brały pokarm z jéj ręki, w zaufaniu Bożego pokoju.“ Piękność jéj porywała oczy, ale téż razem przejmowała taką czcią i uszanowaniem, że w obec jéj, najzuchwalsi nawet, przystojności ubliżyć nie śmieli. Chroniąc się głośnych zabaw i tańców, szukała chętnie towarzystwa uczciwych niewiast dojrzałego wieku, a mianowicie dziatek i ubogich, którym z pokorą i miłością służyła. Pomimo przesądnych mniemań owego wieku, strzegąc ściśle nauki Kościoła, nie tylko nie dopuszczała się sama żadnych zabobonnych praktyk, jak jéj nieprzyjaciele potém zarzucali, lecz nadto

miała je w obrzydzeniu, i unikała starannie wszelkich miejsc podejrzanych w tym względzie, z jakich dwa właśnie były w bliskości jéj wioski: źródło, któremu przyznawano czarodziejską moc leczenia chorób, i starożytny dąb, zwany „*Drzewo Wróżek*,“ gdzie co rok, dla odpędzenia tych istot, pleban miejscowy mszę i nabożeństwo odprawiał. Kościół był dla niéj najmilszym przybytkiem, modlitwa największą rozkoszą; i gdy jéj zarzucano, że się nazbyt modli: rumieniła się tylko i milczała.—Taką była dziewica, którą Bóg za narzędzie cudu swego upatrzył. Nieszczęścia kraju i króla, o których od dzieciństwa słyszała; klęski i okrucieństwa wojny, których nieraz wraz z rodzicami była ofiarą i świadkiem; napełniły wcześnie jéj serce namiętną miłością ojczyzny i litością nad losem współziomków, tak, że dwa te uczucia stały się treścią jéj życia, przedmiotem ciągłych jéj modłów, które, zalewając się łzami, w samotności ku Niebu wznosiła. I gdy krew tysiąca rycerzy, w ziemskim tylko ufających orężu: gdy łzy miliona rodzin, nad sobą tylko płaczących: nadaremnie płynęły; Bóg wejrzał na łzy jednéj ubogiéj pasterki, na łzy głębokiéj wiary i miłości bliźnich, i ją samą do otarcia łez ziomków—ale téż i do przelania za nich niewinnéj krwi swojéj powołał. Oto są własne jéj słowa, któremi późniéj, przed krwawym trybunałem swych wrogów, opowiadała sama to cudowne powołanie swoje [1]).

„Dnia jednego latem, w samo południe—a mogłam mieć wtedy lat około 13-tu [2])—będąc sama w ogrodzie ojca, usłyszałam po prawicy mojéj, od strony kościoła, głos—i stanęła przedemną postać, wielką otoczona jasnością. Postać ta miała

---

[1]) Słowa te, oznaczone cudzosłowem, wyjęte z processu Joanny d'Arc, są przekładu P. Kazimierza Bujnickiego, przytoczone przezeń w artykule o Joannie d'Arc, umieszczonym w Atheneum, Oddziale III Zeszycie IV z roku 1843.

[2]) Joanna urodziła się w r. 1411.

rysy bardzo dobrego i cnotliwego człowieka; na barkach jéj były skrzydła; ze wszystkich stron okrążało ją światło; orszak niebieskich Aniołów był przy niéj:— Aniołowie albowiem często nawiedzają Chrześcian, a ci ich nie postrzegają; jak to sama nieraz potém pośród nich widziałam. Postać ta, był to Archanioł Michał. Głos zdawał mi się bardzo poważny; alem podówczas młodą była dzieciną; zatrwożyłam się więc bardzo przed postacią, i wątpiłam, ażeby to był Aniół. Za trzeciém dopiéro ozwaniem się postaci, poznałam, że to był głos Jego. Nauczył mię i ukazał tyle rzeczy, żem mocno uwierzyła, iż to był On. Widziałam Jego i Aniołów własnemi oczyma, tak wyraźnie, jak was tu, Sędziowie, widzę; i wierzę w to tak mocno, jak wierzę w mękę i śmierć Pana naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Co mię zaś do takowéj wiary pobudza, są to zbawienne rady, wsparcia i nauki, jakie zawsze odbieram od Niego.

„Aniół nauczał mię, abym przedewszystkiém była dobrą dziewczyną, prowadziła siebie uczciwie i chodziła pilnie do kościoła. Opowiedział mi potém o wielkiém zmiłowaniu Boga nad Francyą, i że powinnam iść w pomoc królowi mojemu. Powiedział mi takoż, iż Święte: Katarzyna i Małgorzata nawiedzą mię, a co mi rozkażą, to czynić mam; albowiem posłane są od Boga, aby mię wodziły i radą mię swoją wspierały, w tém co mam do sprawienia.

„Święte Katarzyna i Małgorzata ukazały się mnie, jak to był przepowiedział Aniół, w wielkiéj jasności i w promiennych wieńcach na głowie, i rozkazały mi pójść do Roberta Baudricourt, Rotmistrza królewskiego w Vaucouleurs, zkąd będę odesłaną do Króla, i Orleans od oblężenia wybawię. Na to odpowiedziałam im, że jestem biédna dziewczyna, nieumiejąca dosiąść konia ani władać orężem. One zasię mi powiedziały, abym śmiało nosiła mój sztandar, albowiem Bóg mi dopomoże, a król mój odzyska napowrót całe swoje państwo, i otrzyma przezemnie królewskie swe namaszczenie w Reims. Święte rozkazały mi nie powiadać nikomu o tém zjawieniu; zostawiły mi wszakże do woli, zwierzyć się rodzicom moim lub nie;—ale

bym tego za skarby świata uczynić nigdy nie śmiała. Nadewszystko bałam się ojca, aby mi nie przeszkodził dopełnić rozkazu Świętych. We wszystkiém z resztą ojcu i matce byłam zawsze posłuszną, a że w tym razie bez ich zezwolenia odeszłam, nie poczuwam się do grzechu; uczyniłam to bowiem z rozkazu Boga, a skoro Bóg przykazywał, byłabym poszła, chociażbym miała sto ojców i sto matek, choćbym była króla jakiego córką.“—

Zjawienia tego rodzaju, od piérwszego jéj nawiedzenia, ponawiały się często w dalszym ciągu jéj życia, już to krzepiąc ją swemi radami, już pocieszając w więzieniu i ośmielając przed śmiercią. Oto jest, jak sama daléj naturę ich opisuje:

„Rzadko widuję me Święte inaczéj, jak otoczone jasnością i w promiennych wieńcach na głowie. Widzę ich twarze, ale czy mają odzież, włosy, ramiona, i w ogólności widzialne członki, o tém nic z pewnością powiedzieć nie mogę. Często téż nie widząc Świętych, słyszę tylko same ich głosy, które mówią do mnie i odpowiadają na pytania moje. Mowę ich doskonale rozumiém. Głos ich jest nadzwyczaj miły, łagodny i aż do łez rozrzewniający; mówią czysto i *godnie* w języku francuzkim [1]). Przed oswobodzeniem Orleanu i potém, zwały mię nieraz *Joanną dziewicą i córką Bożą*, zalecając mi przytém częste odbywanie spowiedzi. Święte przychodzą często nie wezwane, a gdy ich długo nie widzę, proszę Pana, aby raczył przysłać je do mnie. Nigdy mię nie opuściły w potrzebie. Za każdém ich przyjściem doznaję niewymownéj radości, i oddaję im wszelką cześć, na jaką zdobyć się mogę: chociaż czuję, że nie potrafiłabym nigdy uczcić ich dosta-

---

[1]) „Przez to rozumiéć trzeba, że Joanna w tym języku, jako jéj ojczystym, słowa Świętych rozumiała, nie zaś aby one koniecznie po francuzku mówiły. Dziewica w zachwyceniu ducha, widziała, słyszała i pojmowała duchownie, co jéj duchowe objawiały istoty. Zmysły nic tam zapewne do czynienia nie miały.“ (*Bujnicki*).

tecznie, bo wiém że oni to są, którzy mieszkają w królestwie niebieskiém. Gdy odejdą, całuję ziemię, gdzie stali i nieraz płakałam z żałości, że mię z sobą nie wzięli. O nic nie prosiłam ich nigdy, jedno względem mojéj wyprawy, i aby Bóg dopomógł Francuzom; dla siebie nie żądałam nigdy innéj nagrody, oprócz zbawienia méj duszy. Od piérwszego razu, jakem usłyszała głos Świętych, ślubowałam Bogu dobrowolnie pozostać czystą dziewicą, na duszy i na ciele, jeśli w tém będzie święta Jego wola; zaczém mi Święte przyrzekły, że mię wprowadzą do raju, jak tego od nich żądałam.“

Dziewica w swoich zeznaniach, nie mówi nic o walkach wewnętrznych, między wielkiém jéj powołaniem, a słabością dziecinnego serca; musiały jednak bydź trudne i długie, kiedy aż w pięć lat dopiéro po pierwszém usłyszeniu anielskiego głosu, rozkaz jego odważyła się wypełnić; w dniach zaś największéj swéj chwały, słyszano ją nieraz powtarzającą ze łzami: „iż wolałaby stokroć prząść kądziel przy biednéj swéj matce, niż czynić, co czynić musi, ponieważ Bóg jéj przykazał.“

W r. 1429, za przewodnictwem rodzonego stryja, który piérwszy w jéj posłannictwo uwierzył, Joanna d'Arc opuściła nakoniec dom rodzicielski i udała się do Vaucouleurs, do Roberta Baudricourt, oświadczając mu, iż przychodzi od Boga, aby oswobodzić Orleans i króla do Reims na namaszczenie wprowadzić; przyczém żądała, aby ją zaraz do obozu królewskiego odesłał. Baudricourt wziął ją za obłąkaną, i zamiast do obozu, chciał ją odesłać do ojca. Nieustraszona tém Joanna, oświadczyła stanowczo, iż musi być przed Środopościem n króla, „*chociażby miała nogi schodzić po kolana* [1]).“ Jakoż przykładna jéj świątobliwość, w czasie krótkiego w Vaucouleurs pobytu, i zapewne tajemniczy wpływ ożywiającego ją ducha, wzbudziły ku niéj wiarę w okolicznych

---

[1]) „*Dussé je user mes jambes jusqu'aux genoux.*“

mieszkańcach, i jeden z nich, niejaki szlachcic Novelompont, obiecał ją zaprowadzić do Króla. Co nadto jeszcze pomagało jéj w umysłach ludu, to znajoma powszechnie od wieków stara przepowiednia Merlina, iż Francya wtrącona w przepaść przez kobiétę, przez kobiétę téż wybawioną zostanie. Piérwsza część tego proroctwa spełniła się już była przez Królowę Izabellę, lud więc widział wszędzie i witał w Joannie obiecaną spełnicielkę drugiéj. Ona sama nie wątpiła o tém bynajmniéj: tém bardziéj, iż pytając o to swych Świętych, otrzymała od nich odpowiedź, iż ona jest ową wybraną. Gotując się w podróż do króla przywdziała po raz piérwszy strój męzki, który odtąd aż do śmierci nosiła, i przybywszy szczęśliwie do obozu pod Chinon, po trzech dniach namysłu i wahania się króla, otrzymała nakoniec pozwolenie stawienia się przed nim. Król przyjął ją otoczony całym swym dworem, w gronie przeszło trzystu rycerzy, i sam, by ją doświadczyć, wstał z miejsca i ukrył się w tłumie. Dziewica weszła z pokorą, jako uboga wieśniaczka; nie zmięszała się jednak bynajmniéj, i za pierwszym rzutem oka w około, poznała króla, chociaż go nigdy nie widziała przedtém, i ugiąwszy przed nim kolano, rzekła: „Najszlachetniejszy mój panie, Delfinie! Król Niebios ogłasza ci przezemnie, iż będziesz namaszczony i ukoronowany w Reims, i będziesz namiestnikiem Jego w królestwie francuzkiém, które jest Jego nie twoje, ale które ci On jako zakład poruczy.“ Po czém wziąwszy króla na stronę, wymieniła mu treść tajemnéj jego modlitwy, któréj nikt prócz Boga nie słyszał. Inna jeszcze okoliczność podniosła wiarę obecnych w cudowne jéj posłannictwo. Gdy szła do króla, jakiś pijany rycérz urągał jéj bezbożnemi słowy. „Ach! mój Boże! rzekła Dziewica—ty bluźnisz, a nie wiesz że śmierć twoja jest tak blizko ciebie.“ Za chwilę potém, tenże rycerz wpadł przypadkiem do wody i utonął. Pomimo to, zdania dworzan były podzielone; lękano się nadewszystko, aby natchnienie jéj nie było dziełem szatana. Dla lepszego więc wybadania prawdy, odesłano ją do Poitiers, gdzie był uniwersytet, parlament, i wielu uczonych doktorów kościoła. Król sam udał się za

nią ze swym dworem. Arcybiskup Reimski, Kanclerz Francyi, zwołał wszystkich professorów teologii, i przedniejszych, jacy byli, kapłanów, i zlecił im wybadanie Dziewicy. Doktorowie badali ją ściśle, chociaż łagodnie. Jeden z nich rzucił uwagę, że jeśli Bóg chce zbawić Francyę, nie potrzebuje żołnierzy. „Ach! mój Boże! odpowiedziała z żywością—żołnierze będą wojować, a Bóg da im zwycięztwo.“ Inną razą, gdy jéj chciano dowodzić cytacyami z różnych autorów, iż niepodobna było wierzyć jéj opowiadaniu. „Słuchajcie! rzekła spokojnie—więcéj jest rzeczy w księgach Pana mego, niż w waszych. Nie umiem ani A ani B, ale to wam powiadam, że jestem posłana od Boga, aby oswobodzić Orleans i króla zaprowadzić do Reims.“—Te i tym podobne odpowiedzi, zmusiły do milczenia rozumujących doktorów; czujący uwierzyli wraz z ludem. Wszyscy oświadczyli zgodnie, że można śmiało przyjąć pomoc Dziewicy.

Tu zaczyna się wojenny zawód Joanny. W lekkiéj zbroi, na czarnym koniu, z tajemniczym mieczem przy boku—który sama za radą swych: *głosów*, kazała przynieść sobie ze składu dawnéj broni w kaplicy Ś. Katarzyny z Fierboi—i z białym sztandarem w ręku, stanęła na czele wojska; prosta pasterka na czele najdumniejszych rycerzy; osiemnastoletnia dziewica, na czele rozpasanego w ciągłych wojnach żałnierstwa. A przecież jedni i drudzy, ulegli przed nieziemską jéj mocą!—Pierwszém jéj usiłowaniem było wytępić rozwiązłość i ożywić pobożność w swém wojsku, z którem na odsiecz Orleanu iść miała. Przykład jéj działał silniéj niż słowa. Przed wzniesionym na polu ołtarzem, kapelan jéj odprawiał codzień mszę świętą; wodzowie i całe wojsko odbyło razem z nią spowiedź i przyjęło Przenajświętszy Sakrament. Na czele hufców szli księża ze świętą chorągwią, śpiewając *Veni Creator*, i inne psalmy kościelne. Dnia 29 Kwietnią 1429 r. weszła do Orleanu, wprowadzając wojsko i żywność, i nie doznawszy jak była przepowiedziała, żadnego oporu Anglików; a to z powodu nadzwyczajnéj mgły, która im to wejście zakryła. Nazajutrz rano chciała zaraz szturmować ich szańce, a gdy jéj to odra-

dzano, i w ogólności, w dalszym ciągu działań wojennych, gdy nie ufając całkiem jéj natchnieniom, wahano się w wypełnieniu jéj woli, lub chciano ją podstępnie uchylić: „Rada Pana mojego.—odpowiadała z żywością—lepsza jest od wszystkich rad waszych; ona tylko jest mądra i pewna, i ona się jedna utrzyma. Wierzcie mi, że chcąc mnie oszukać, w rzeczy tylko oszukacie siebie.“ Raz nawet oburzona tym fałszem, pogroziła Hr. Dunois, że go natychmiast ściąć każe, jeśli prawdę przed nią zatai. Jakoż w każdém zdarzeniu skutek, jakkolwiek z nieprzewidzianych często okoliczności wynikły, przekonywał nakoniec, że jéj rada była najlepsza, i że się wszystko tak stało, jak była przewidziała w natchnieniu. Przykład jéj odpowiadał słowom. Najpierwsza wszędzie, gdzie niebezpieczeństwo groziło, chociaż sama nie zabiła nikogo i sam widok krwi ją przerażał, przecież w natłoku bitwy, ze sztandarem tylko swym w dłoni, torowała drogę najśmielszym, narażając się na tysiące śmierci. Głos jéj jak dźwięk trąby wojennéj dolatywał do ostatnich szeregów i zapalał żołnierza odwagą. Przy tém wszystkiém litościwa i ludzka, płakała widząc tylu chrześcian bez spowiedzi poległych; sama opatrywała rannych, i z narażeniem się własném ocalała jeńców angielskich od zapamiętałości żołnierstwa. Przewidzenie że musi być ranną, nie osłabiło jéj męstwa. Pierwsza wdarła się na szańce angielskie. Wszakże, odniósłszy już ranę, płakała; aż ją święte przyszły pocieszyć. Naówczas wyrwała sama strzałę, tkwiącą na wylot w jéj ramieniu, i nie chcąc bydź, jak mówiła, uleczoną przeciw woli Boskiéj, oddalila ze wstrętem żołnierzy, którzy chcieli zamawiać jéj ranę; poczem kazawszy ją tylko obwiązać, odbyła spowiedź, i powróciła do boju. W trzech krwawych wycieczkach i bitwach, najgłówniejsze szańce angielskie wpadły w ręce Francuzów. Po ostatniéj, poprzedzonéj uroczystą spowiedzią Joanny i całego wojska, Talbot i Suffolk, wodzowie angielscy, zwołali w nocy radę wojenną, i d. 8 Maja o świcie, odstąpili od oblężenia. Dzie-

wica zakazała ich ścigać; ale gdy jeszcze byli na widoku, rozkazała wznieść ołtarz na tém miejscu gdzie stali, przed którym całe wojsko, wraz z ludem, Bogu hołd dziękczynień składało.

Od téj to cudownéj odsieczy, współcześni nadali Joannie imie Dziewicy Orleańskiéj, które odtąd zachowała w dziejach. Odgłos niespodziewanego zwycięztwa rozniósł jéj sławę w całém chrześciaństwie. Strach paniczny przejął Anglików, Francuzi uwierzyli w pomyślność. Joanna za powrotem do Króla, nastawała koniecznie, aby natychmiast przedsięwziąć wyprawę do Reims dla dopełnienia obrzędu namaszczenia. Przedsięwzięcie to zdawało się niepodobném do wykonania. Na przestrzeni blizko 80 mil drogi, wszystkie miasta, twierdze i przeprawy były w ręku nieprzyjaciela. Rozumowa roztropność radzców, z politowaniem słuchała Dziewicy. Ale Dziewica była nieugiętą. „Nie długie moje trwanie—mówiła—rok, albo mało co dłużéj; trzeba umieć ze mnie korzystać.“—Jakoż usłuchano nakoniec. Wojsko w początkach Czerwca wyruszyło z obozu, i d. 11 zdobyło warowne miasto Jargeau, gdzie się Suffolk zamknął ze swym ludem, i w niewolę pojmany został. Dziewica piérwsza, wdarła się po drabinie na mury, gdzie ugodzona kamieniem, spadła w fossę i miano ją za umarłą. Ale w tejże chwili powstała, i ukazawszy się swoim, przechyliła szalę zwycięztwa. Lordowie Talbot i Fastolf, nie mogąc już pośpieszyć ku odsieczy miastu, zaszli Francuzom drogę pod Patay (29 Czerwca). Oba wojska nie wiedząc wzajem o sobie, zeszły się na zarosłéj małym lasem równinie. Jeleń spłoszony przypadkiem, wpadłszy oślep na wojsko angielskie, odkrył piérwszy Francuzom zbliżanie się wroga, i przednie jego czaty pomięszał. Dziewica zapowiedziała zwycięztwo. Anglicy porażeni, pierzchnęli. Fastolf uciekł; Lordowie: Talbot, Scales i Hungerford stali się jeńcami Dziewicy. Zostawało jeszcze do zdobycia po drodze warowne miasto Troyes. Joanna wbrew zdaniu całéj Rady wojennéj, rozkazała iść prosto do szturmu, idąc sama, jak zawsze, na czele. Przestrach ogarnął załogę; miasto poddało się na łaskę. Król d. 15 lipca wszedł z woj-

skiem zwycięzkiém do Reims, i tamże d. 17 w niedzielę, uroczyste namaszczenie otrzymał. Dziewica ze sztandarem swym w ręku, stała przed ołtarzem przy królu, i w chwili dokonania obrzędu, ze łzami do nóg jego upadłszy, dziękowała gorąco Niebu za szczęśliwie spełnione dzieło. „Wszyscy co ją wtenczas widzieli—powiada kronika współczesna—„uwierzyli więcéj niż kiedy, iż była posłaną od Boga, a nie od złego ducha, jak głosili Anglicy.“

Ale tu był kres posłannictwa. Joanny. Co było niepodobném dla ludzi, Bóg cudownie przez nią wypełnił; resztę ludzie mogli dokonać. Ona sama czuła to dobrze, i wśród powszechnéj radości i uwielbienia, dręczona wewnątrz przeczuciem blizkich swoich cierpień i śmierci, prosiła usilnie króla, ażeby jéj dozwolił wrócić do rodziców. „Oni tak będą radzi mię widzieć!—mówiła. Będę znowu pasła ich trzody, i czyniła co mi rozkażą. Wola Pana mojego spełniona.“—Ale król nie dał się zmiękczyć. Jak gdyby na okazanie, jak rozum ludzki działa w odwrótnym stosunku z natchnieniem ducha Boskiego, wahano się powierzyć jéj wojsko, gdy tego z woli Boga żądała; a w brew jéj woli zatrzymano wtenczas. gdy jéj to głos wnętrzny odradzał. Jakoż od téj chwili Joanna przestaje bydź przewodniczką natchnioną, i jest tylko wybraną ofiarą, którą na śmierć męczeńską prowadzą. Nie uczy już co czynić potrzeba, ale wypełnia z pokorą co jéj Pan ziemski rozkaże. W życiu swém równie bogobojna i skromna, w bitwach równie poświęcająca się i mężna; ale już ich losem nie rządzi. Sam tajemniczy ów miecz Świętéj Katarzyny, godło rycerskiego jéj posłannictwa, skruszył się w jéj ręku przypadkiem, i pomimo usiłowań płatnerzy, nie dał się już więcéj naprawić. Sztandar swój wraz z całym rynsztunkiem zawiesiła w kościele Ś. Dyonizego, na grobie tego świętego patrona Francyi, i na podziękowanie Bogu, Najświętszéj Pannie i ŚŚ. Męczennikom, za okazane jéj łaski. Ostatniém jéj dziełem wojenném było zdobycie szturmem miasta *Pierre-le-Moutiers*, gdzie sama jedna, opuszczona od wojska, pod murami twierdzy zostawszy, głosem swym przywołała uciekających, i piérwsza przebywszy fossę,

bramy miasta zdobyła. Ale zbliżał się kres jéj przeznaczenia. W Maju 1430 roku, (w rok po oswobodzeniu Orleanu), weszła z wojskiem do miasta Compiegne, oblężonego przez wojsko Burgundzkie, i zaraz nazajutrz rano przedsięwzięła wycieczkę. Szczęście z razu sprzyjało Francuzom, ale w końcu liczba przemogła. Joanna ostatnia w odwrocie, nie pierwéj wejść chciała do miasta, aż ostatniego ze swoich w bezpieczeństwie obaczy. Tymczasem poznana po stroju i oskoczona od wrogów, przy samém już wejściu do bramy, którą przed nią nagle zamknięto, w niewolę pojmaną została. Głos publiczny oskarżał dowódzcę twierdzy, Wilhelma Flavy, człowieka głośnego w całéj Francyi z okrucieństw swych i bezbożności, iż z góry już oblegającym krew Joanny zaprzedał, i umyślnie ją w niebezpieczeństwie opuścił. Ona sama zdała się o tém wiedzieć z natchnienia. Tegoż albowiem dnia, przed wycieczką, spowiadając się i kommunikując w kościele Św. Jakóba, rzekła do licznie zebranych tamże mieszkańców i dzieci: „Dobrzy moi przyjaciele, i wy kochane dziatki! powiadam wam niewątpliwie, że jest człowiek który mię przedał; jestem zdradzona i jeszcze przed Świętym Janem będę wydana na śmierć. Módlcież się za mną do Boga, proszę was, bo wkrótce nie będę już mogła służyć memu królowi, i szlachetnemu królestwu Francyi.“ Odtąd wszakże, po swojém pojmaniu, nie obwiniała nigdy nikogo, i we wszystkiém co się zdarzyło, Boską tylko wolę widziała.

Pojmanie Joanny było prawdziwym tryumfem dla Anglików; we wszystkich zajętych przez nich miastach, odśpiewano z rozkazu Rejenta, uroczyste *Te Deum*. Żeby zaś dać wyobrażenie, jak dalece byli na nią zawzięci, dość jest powiedzieć, iż spalili na stosie uczciwą obywatelkę Paryża, za to tylko, że śmiała utrzymywać publicznie prawdę Boskiego posłannictwa Dziewicy. To też żeby ją dostać w swe ręce, (była albowiem jeńcem Księcia Burgundyi), po wyczerpaniu wszystkich środków prośby i groźby, nie wahali się nakoniec zapłacić mu za nią 10,000 liwrów; summę, jaką naówczas za wykup tylko Króla albo panującego księcia płacono, a za którą najbogatszy naów-

czas w chrześciaństwie książe, gorliwy opiekun dawnéj instytucyi rycerstwa, ustanowiciel orderu Złotego Runa, nie wzdrygał się przedać krew dziewicy, krew jeńca. Takie były obyczaje wieku.—Ale nie sama tylko chęć zemsty zapalała Anglików tą nienawiścią Dziewicy; najwyższy wzgląd ich polityki wymagał zarówno jéj zguby. Jeśli bowiem była od Boga, prawo ich króla do korony francuzkiéj musiało bydź niesprawiedliwe i płonne; przeciwnie, tenże sam zarzut spadłby na stronę Karola VII, gdyby można było przekonać, że wszystko mocą tylko czarów, a więc z natchnienia złego ducha działała. To miało bydź głównym celem procesu, którego przewodnictwo przyjął na siebie biskup francuzki z Beauvais, nazwiskiem Cauchon, w nadziei otrzymania w nagrodę za to arcybiskupstwa w Rouen.

Do tego to właśnie miasta, gdzie się znajdował małoletni Henryk VI, wraz z opiekunem swoim, kardynałem Winchester, przywiedziono nakoniec Joannę. Osadzona w wieży zamkowéj, zamknięta w żelaznéj klatce, okuta ciężkiemi łańcuchy, wystawiona na urąganie i obelgi żołdactwa, miała stanąć przed trybunałem duchownym, którego członków sam Cauchon wybierał. Ale Bóg jéj i tu nie opuścił. Święte nawiedzały ją codzień. Miejsce archanioła bitew, Michała, zajął, podług jéj zeznań, Gabryel, anioł łaski i miłości Boskiéj. Duchy cieszyły ją i ośmielały; uczyły być cierpliwą i śmiałą, wesoło znosić męczeństwo; obiecywały tryumf i królestwo niebieskie. I tych to swych Boskich przyjaciół i pocieszycieli, zmuszano ją zaprzeć się przed sądem! I te to cudowne widzenia, chciano, aby sama wyznała, że od złego ducha pochodzą! Ale wszystkie podstępy i groźby, wszystkie męczeństwa i przygotowania tortury, nie zachwiały ani na chwilę dziewiętnastoletniéj dziewicy. „Przyszłam posłana od Boga; spełniłam co Bóg mi rozkazał; nie mam tu do czynienia nic więcéj; odeszlijcie mię do Boga zkąd przyszłam.—Wolałabym umrzeć sto razy, niżeli odwołać to, com z rozkazu Bożego spełniła.—Wiém dobrze, że Anglicy chcą mię skazać na śmierć, myśląc. że potém łatwiéj zdobędą królestwo Francuzkie. Ale choćby ich było sto tysię-

cy razy więcéj jak teraz, nie odmienią co Bóg przeznaczył.“— Te i tym podobne odpowiedzi, przytoczone przez Baranta, nie dopuszczały zarzutu czarnoksięstwa; trzeba więc było szukać innego—i znaleziono zarzut herezyi. Powodem były jéj tajemnicze widzenia. Dziewica wierzyła w nie równie jak w Boga. Kazano jéj, aby swą wiarę pod rozwagę Kościoła poddała. „Kocham Kościół, i chciałabym go wspierać z całéj siły; ale z dobrych dzieł, które spełniłam, winnam tylko zdać rachunek Bogu, który mię posłał. Bóg a Kościół to jedno.“— Natenczas powiedziano jéj, że trzeba rozróżnić: że jest Kościół *tryumfujący w niebie*, to jest Bóg, święci i dusze zbawione i Kościół *wojujący na ziemi*, to jest papież, duchowieństwo i dobrzy chrześcianie, i że temu to ostatniemu poddać się powinna. „Wierzę, odpowiedziała, że święty nasz Ojciec, biskupi, i inni mężowie Kościoła, postawieni są od Boga stróżami wiary chrześciańskiéj, i że powinni karać tych, co przeciw niéj grzeszą. Ale ja nie zachwiałam się nigdy w téj wierze. Przyszłam do króla Francyi od Boga, od Najświętszéj Maryi Panny, od świętych Pańskich, od Kościoła tryumfującego, i temu Kościołowi poddaję siebie i wszystko, co uczyniłam, albo jeszcze uczynię.“—„A Kościołowi wojującemu?“—„Nic na to nie odpowiém więcéj, nad to, co już powiedziałam.“—I te to wzbranianie się Dziewicy, poczytano jéj za największą zbrodnię, za dostateczny dowód herezyi; a przecież, był to tylko skutek najczarniejszego podstępu jéj wrogów, skutek jéj najniewinniejszéj prostoty. Jeden z sędziów, zausznik Cauchona, ksiądz Mikołaj l'Oiseleur, pod maską duchownego jéj ojca, przychodząc niby skrycie do więzienia, potrafił wkraść się w jéj ufność, i wmówił w nią, że poddać się Kościołowi, jest to uznać nad sobą prawo sądu, który ją sądził. Tenże l'Oiseleur stał się po tém jéj spowiednikiem, i w całym ciągu processu, same jéj tylko zgubne odpowiedzi doradzał. Podczas zaś gdy z nią rozmawiał, ukryci po za drzwiami Biskup z Beauvais i Hr. Warwick, jeden z pierwszych lordów angielskich, chcieli spisywać wszystkie jéj słowa; tylko że przywiedzeni razem notaryusze, okazali się szlachetniejszemi od nich

i odmówili upadlającéj posługi. Ale przecież i w gronie sędziów znaleźli się nakoniec ludzie, których litość i sumienie ruszyło. Trzéj z nich udali się do jéj więzienia, i starali się jéj wytłómaczyć prawdziwe znaczenie wojującego Kościoła; że go składają właściwie papież i święte sobory, i że im śmiało poddać się i zaufać może. Jeden z nich nawet, brat Isambert, nie lękał się radzić jéj publicznie przed sądem, aby się odwołała do powszechnego koncylium w Bazylei.—„Co to jest koncylium?“ spytała.—„Jest to ogólne zebranie Kościoła, odpowiedział Isambert, gdzie będzie tyluż kapłanów z twojéj strony, co i ze strony Anglików.“—„O! kiedy tak, to się chętnie poddaję.“—„Milcz do stu tysięcy djabłów!“ wrzasnął na Isamberta rozgniewany Cauchon, i odpowiedzi Dziewicy do protokułu wpisać zabronił. „Niestety! rzekła łagodnie—„wpisujecie przeciw mnie wszystko; a odrzucacie wszystko, co może bydź za mną. Wszakże niech będzie wola Boska nie moja.“—Zacny Isambert i towarzysze jego, zagrożeni przez Anglików, że ich do Sekwany wrzucić rozkażą, usunęli się z grona sędziów; inni też, korzystając z pozoru, zaczęli uciekać tłumnie od tego dzieła nieprawości, tak, że ze stu zasiadających z początku, trzydziestu ledwie w końcu zostało. Ale i tym nie dowierzał Cauchon. Sam, z kilku tylko zaufanémi, ułożył akt oskarżenia, którego drugim głównym artykułem, było noszenie przez nią męzkiego ubioru. Pytana o przyczynę,o dpowiedziała, że czyni to za radą swych *głosów*; widocznem jednak było, że miała i inne powody, których jéj wstyd dziewiczy nie dozwalał wymienić, a sędziowie zgadnąć nie chcieli. Wystawiona na samowolność rozbestwionego żołnierstwa, z których trzech stało ciągle w jéj izbie; strój ten był dla niéj jedyną rękojmią, bezpieczeństwa. Jeden nawet z młodych lordów angielskich, zapewne z dozwolenia starszych, usiłował ją gwałtem znieważyć, i nie mogąc, uderzył w policzek. Skromność nie dozwoliła jéj nawet uskarżać się na tę zbrodnię przed sądem, i tylko ją przed śmiercią na spowiedzi odkryła. Cauchon omylony w nadziei uczestnictwa ogółu sędziów, szukał upoważnienia swych kroków w zdaniu prawników świeckich, których rady

niby zasięgał. Najznakomitszy z nich, Jan Lohier, nie wahał się oświadczyć, że cały process, tak w zasadzie jak w formach, jest całkiem zły i nieprawny, i że należy naprzód dodać obwinionéj obrońcę. Dawca téj rady musiał ujść aż do Rzymu przed zawziętością Anglików. Cauchon zwrócił się więc do Uniwersytetu w Paryżu i do kilku biskupów utrzymujących stronę angielską, i przesłał im fałszywy swój akt oskarżenia. Tą razą otrzymał co żądał. Wszyscy uznali Dziewicę winną herezyi i odszczepieństwa. Zguba jéj była już pewną; gdy zaś w tym czasie zapadła niebezpiecznie na zdrowiu, użyto wszelkich środków, aby ją uleczyć [1]). „Za skarby świata“ mówił hr. Warwick, „Król nie chciałby aby umarła śmiercią naturalną; nie na to zapłacił zą nią tak drogo.“—Ozdrowiała, i wyrok zapadł; wyrok wyłączający ją z grona wiernych i z pod opieki Kościoła, i przekazujący ją władzy świeckiéj, dla wymierzenia zasłużonéj kary. Ale trzeba było jeszcze Anglikom, ażeby wprzód sama niejako sprawiedliwość tego sądu uznała. Udano się więc znowu do podstępu, i przygotowano straszliwą scenę, aby zatrwożyć obwinioną, a przynajmniéj publiczność omamić. Dnia 24 Maja, 1431 r., na placu przed kościołem Ś. Owena, wzniesiono dwa rusztowania; na jedném zasiadł Kardynał Winchester, Cauchon, i pozostali sędziowie; na drugie wprowadzono Joannę. U stóp jego stał wózek kata, mający ją niby odwieść na spalenie na stosie. Jeden z doktorów w długiém kazaniu nakłaniał ją do uległości. Dziewica słuchała cierpliwie. Ale gdy wspomniał króla Karola VII i nazwał go heretykiem: „Nie prawda!“ przerwała z żywością „Mów o mnie, a nie o królu. Mogę przysiądz pod karą śmierci, że król jest najlepszym chrześcianinem, kochającym

---

[1]) Podczas téj choroby, czując się blizką zgonu, prosiła aby ją po śmierci ubrano w suknie niewieście; a kiedy ją pytano o przyczynę téj prośby, dodała za całą odpowiedź: „Błagam tylko, aby ta suknia była bardzo długa.“

najbardziéj wiarę i Kościół, a nie takim, jak go nazywasz!“— „Każ milczeć téj djablicy!“ krzyknął zapamiętały Cauchon. Po kazaniu mówca oświadczył jéj, że musi podpisać *abjuracyą*. „Co to jest *abjuracya?*“ spytała. Wytłómaczono jéj, iż to jest akt poddania się Kościołowi. „Jeżeli tak, to podpiszę,“ rzekła. Ale nie o to chodziło. To, czego od niéj żądano, było uznanie sprawiedliwości wyroku. Lecz w tém Dziewica była nieugiętą. Anglicy zebrani na placu, sądząc, że ją chcą zbawić, zaczęli krzyczeć i ciskać kamieniami; Cauchon groził jéj torturami i ogniem; L'Oiseleur, jako spowiednik, namawiał; inni szczerze poruszeni jéj losem, błagali prawie ze łzami, ażeby się zgodziła podpisać, obiecując, że będzie uwolniona z więzienia Anglików i przejdzie pod dozór duchowny. Przeczytano jéj krótką formułę w kilku wierszach, w któréj to tylko było wyrażono, że widzenia swoje i czyny poddaje pod zdanie Kościoła, a siebie pod pokutę kościelną, i że wyrzeka się męzkiéj odzieży. Nieszczęśliwa uległa nakoniec. Natychmiast podano jéj inny papier, zawierający długie wyznanie, że wszystko co mówiła, było kłamliwém, oraz prośbę o przebaczenie jéj zbrodni. Jeden z sekretarzy królewskich ujął jéj rękę i podpisał znak krzyża u spodu, Naówczas Cauchon odczytał przygotowany już wyrok, skazujący ją „na chleb boleści i na wodę pokuty,“ i w brew poprzedniéj obietnicy, do dawnego więzienia odesłał. Anglicy, i sam Hr. Warwick, obwiniali Cauchona o zdradę. „Nie bójcie się, rzekł im z uśmiechom, wkrótce zła piemy ją znowu.“

Jakoż zajęto się niezwłocznie wynalezieniem powodu, aby wznowić poprzedni wyrok. Zostawiono umyślnie ubiór męzki w więzieniu, azali go przywdziać nie zechce. W tymże czasie podwojono srogość i brutalstwo, zakuto w cięższe łańcuchy, i nie zaniedbano niczego, aby ją przywieść do rozpaczy. Widząc wreście, że się nie daje pojmać w zastawione sidła, zabrano jéj podczas snu suknie niewieście, i zostawiono tylko strój męzki. „Panowie! rzekła budząc się do żołnierzy; ja tego odzienia nie włożę; wiécie, że mnie to zabroniono.“ Sprzeczka trwała aż do południa; nakoniec, po daremnych błaga-

niach, musiała wstać i odziać się czém mogła. Anglicy na to tylko czekali. „Złapana!“ wołał uradowany Warwick. Cauchon pośpieszył do więzienia, i wyrzucając jéj odpadnienie w herezyą, zapytał z urąganiem, zali nie słyszała znowu swych *głosów*. „Tak jest, zawołała z zapałem, i Bóg oznajmił mi przez nie, że to był żal, dla ocalenia życia podpisywać waszą abjuracyą. Uczyniłam to przez bojaźń ognia; ale wolę sto razy umrzeć, niźli kiedykolwiek odwołać, że *głosy* me były od Boga.“— W tych słowach był wyrok jéj śmierci.

Dnia 30 Maja, w tydzień po owém podpisaniu abjuracyi, wstąpiła na stos męczeński. Kapłan, który ją wyspowiadał w więzieniu, i zacny ów brat Isambert, szli obok przy wózku katowskim, na którym ją w szatach niewieścich na plac exekucyi wieziono. Ośmiuset Anglików w pełnéj zbroi, otaczało ją w koło. W drodze modliła się tak rzewnie, i żaliła się tak łagodnie, że wszyscy Francuzi płakali. Sam nawet l'Oiseleur, ów fałszywy spowiednik, przedarł się przez tłum do wózka, wyznał swój grzech i błagał o przebaczenie. Anglicy chcieli zabić go za to.

Na wielkim rynku przed ratuszem, wzniesiono znowu dwie galerye: na jednéj był kardynał i biskupi, sędziowie świeccy i duchowni na drugiéj. Joannę stawiono przed nimi. W głębi placu wznosił się stos, przerażający swą wysokością, a to w tym celu, aby dłużéj cierpiała. Po wysłuchaniu wyroku śmierci, Dziewica upadła na kolana, i w rzewnych słowach polecała swą duszę Bogu, Najświętszéj Pannie i Świętym, przebaczając wszystkim i prosząc o przebaczenie; nadewszystko zaś błagając księży, aby odprawili mszę za jéj duszę. Głos jéj tak był przenikający, że nikt od łez wstrzymać się nie mógł. Tymczasem zgromadzeni Anglicy niecierpliwili się tą zwłoką; wściekłe okrzyki wzniosły się na placu. Słudzy sądowi sprowadzili ją na dół. Natychmiast rozjuszone żołnierstwo porwało ją i wlokło do stosu. Widok ten był tak przerażający, że biskup z Noyon i wielu sędziów, porwali się z miejsc swoich, i łkając głośno, zbiegli z rusztowania i schronili się do

domów. Ona wszakże, krzyż przyciskając do piersi, i nie przestając się modlić, szła na śmierć spokojnie i cicho; żaden wyraz rozpaczy ni skargi nie wyrwał się z jéj serca. Wstąpiwszy na wierzch stosu, i przywiązana do pala, nad którym był napis w języku francuzkim: „*heretique, relapse, apostate idolatre,*“ poglądając na miasto zawołała: „Ach! Rouen, Rouen. boję się abyś za śmierć moją nie ucierpiało!“—Ujrzawszy w téj chwili Cauchona, który się śmiał zbliżyć do stosu, rzekła doń głosem łagodnym: „Biskupie! umieram przez ciebie! Gdybyś mnie zamknął w więzieniu duchownem, nie byłoby to nastąpiło. Appelluję od ciebie do Boga, do wielkiego sędziego krzywd i niesprawiedliwości, które nademną spełniono.“—W téj chwili kat podłożył ogień.—„Jezus!“ krzyknęła z przestrachem i prosiła o wodę święconą. Spowiednik jéj jeszcze był przy niéj. Bojąc się oń, zmusiła go aby zstąpił natychmiast. „Ale stój blizko na dole, rzekła, i podnieś krucyfiks wysoko, abym go mogła widzieć do końca.“ Gdy już płomienie gorzały, zawołała donośnym głosem: „Tak jest, *głosy* moje były od Boga; wszystko uczyniłam przez Boga! I gdy już ją ogień ogarnął, słyszano jeszcze głos jéj modlitwy, i ostatnie jéj słowa były: „Jezus Jezus, Jezus!“—

Jęki i łkania rozległy się na placu; niektórzy tylko Anglicy przymuszali się do uśmiechu. Jeden z nich, w zapamiętaniu, przysiągł był, że własną swą ręką głownie do jéj stosu dorzuci. Jakoż spełnił swą obietnicę; lecz w téjże chwili padł twarzą na ziemię i zemdlał. Było to właśnie, gdy Dziewica konała. Przywrócony do zmysłów, przysiągł publicznie, i tegoż dnia na spowiedzi wyznał przed bratem Isambertem, iż widział z ostatniém tchnieniem wylatującą z ust jéj białą gołębicę. Inni widzieli imie Jezus, napisane ogniem nad stosem. Kat także, z wielkim przestrachem, spowiadał się tegoż wieczora, rozpaczając o przebaczeniu Bożém. Jeden z sekretarzy angielskiego króla, nie lękał się zawołać głośno: „Wszystko stracone! spaliliśmy świętą!“—„Tak jest—woła w uniesieniu historyk francuzki Michelet—w obliczu religii, w obliczu ojczyzny, Joanna d'Arc była świętą!“—Papież Pius II, zowie ją

w pismach swoich natchnioną duchem Bożym, (*afflata spiritu divino*). — W kilka lat późniéj, oprócz miasta Calais, noga angielska nie postała na ziemi francuzkiéj [1]).

Taką była Joanna d'Arc w historyi; rzecz naturalna, że nie mogła pozostać obojętną dla sztuki: będąc najwyższą poezyą ludzkości, uosobieniem najwyższych światowych i religijnych ideałów średniego wieku: Dziewica, Rycerka, Natchniona i Męczennica. Stos jéj téż, można powiedzieć, był zarazem pogrzebnym stosem i ostatnim zabłyskiem poetyckich idei wieków średnich; od ostygłych jego popiołów, zaczynają się wieki nowożytne. Blask jego w historyi, będzie zawsze sygnałem, wołającym na drogę wiary dusze błądzące w mroku wątpliwości lub w labiryntach ziemskiego rozumu. Czuł to zapewne Wolter, i bojąc się potęgi tego niezaprzeczonego świadectwa wyższych objawień, w obec własnego narodu, który chciał omamić: obrócił przeciw niemu broń bluźnierczego szyderstwa i śmieszności. Inni poeci francuzcy, Chapelain, Astezano, i t. p. nie dorównali talentem wysokość przedmiotu. Szekspir, w stronniczéj dzikości, w tragedyi swéj „Henryk VI“ wystawia Joanny jak czarownicę. Dopiéro Robert Southey, usiłował naprawić krzywdę poprzednika, i poświęcił na cześć jéj całe poema bohaterskie. Nikt wszakże nieoddał jéj piękniejszego hołdu jak Szyller. Odstąpił on wprawdzie od szczegółów historycznych, zewnętrznych, ale nigdzie od prawdy duchowéj faktu. Joanna w sztuce jego jest taką, jaką była w istocie. Celem poety była nie sama tylko osobista historya Joanny, ale téż razem historya natchnionego ducha w człowieku, we wszystkich swych najważniejszych epokach. Epoki te w sztuce jego są: *Powołanie*: światło Łaski zstępujące z wysoka; siła ducha gromadząca się wewnątrz; wyrzeczenie się

---

[1])Wszystkie powyższe szczegóły i słowa Joanny, wzięte są z Historyi Książąt Burgundzkich, przez Baranta, i z Historyi Francuzkiéj, przez Micheleta, którzy je czerpali z akt jéj processu i dwukrotnéj jego rewizyi w latach następnych.

ziemi dla Nieba. *Działanie*: moc cudowna nad wypadkami i ludźmi; pokorna bierność woli i natury ludzkiéj. *Doświadczenie*: pokusa (Czarny Rycerz), ułomność serca bez uczestnictwa woli; żal i pokuta. *Zlitowanie*: powrót Łaski i mocy, jak rzeczywiście w Joannie przed męką; — i nakoniec *Ofiara*, potwierdzająca Prawdę; i nagroda wszystkiego — po krótkiéj boleści na ziemi, wiekuista radość w Niebiesiech.

OSOBY.

Karol VII, Król Francuzki.
Królowa Izabella, jego matka.
Agnieszka Sorel.
Filip, zwany Dobrym, Książę Burgundyi.
Hrabia Dunois, poboczny syn Księcia Orleanu.
La Hire.
Du Chatel.
Arcybiskup z Reims.
Chatillon, Rycerz Burgundzki.
Raoul, Rycerz z Lotaryngii.
Talbot, Wódz naczelny Anglików.
Lionel, Fastolf } Wodzowie Angielscy.
Montgomery, Rycerz z Walii.
Radzcy miejscy z Orleanu.
Herold Angielski.
Teobald d'Arc, zamożny wieśniak z Dom-Remi.
Anna, Aniela, Joanna } jego córki.
Stefan, Klaudyan, Rajmund } młodzi pasterze z Dom-Remi.
Bertrand, wieśniak.
Rycerz Czarny.
Węglarz i jego Żona.
Żołnierze — Lud — Służba Królewska — Księża — Marszałkowie — Członkowie Magistratu — Dworzanie, i orszak koronacyjny.

(Rzecz dzieje się w latach 1429—1431).

PROLOG.

Teatr wystawia wiejską okolicę, w blizkości wsi Dom-Remi.— Na prawo widać obraz Najświętszéj Panny, w małéj murowanéj kaplicy; na lewo stary i wysoki dąb.

SCENA I.

TEOBALD d'ARC, ANNA, ANIELA, JOANNA;
(ostatnia zbiera kwiaty i wiąże je w wieniec);
STEFAN, KLAUDYAN, RAJMUND.

TEOBALD.

Tak jest, sąsiedzi! dziś jeszcze się zwiemy
Synami wolnéj, francuzkiéj ojczyzny;
Dziś jeszcze swoim nazywać możemy
Kraj ten, krwią ojców i znojem ich żyzny.
Ale któż zgadnie, jakich jutro panów
Znosić nam przyjdzie?— Zewsząd od Loary,

Tratując końmi plony naszych łanów,
Anglik zwycięzkie potrząsa sztandary.
Niewierny Paryż czci go śród swych progów,
I Dagoberta, dotąd nieskażoną,
Świętą, odwieczną, rycerską koroną
Wieńczy niemowlę z pokolenia wrogów.
A król nasz prawy—o! hańbo i wstydzie!
Wnuk królów naszych, Pański pomazaniec,
Lud swój o wsparcie próżno błagać idzie,
W państwach swych własnych błądzi jak wygnaniec.
A przeciw niemu, wpośród krwi i gruzów,
Najbliższy z krewnych, najpiérwszy z Francuzów,
Ha! własna matka—potwór pełen zgrozy!
Nieprzyjacielskie prowadzi obozy.
Wioski i miasta jedną wielką łuną
Świecą ich drodze; a dym i popioły,
Kłębiąc się nakształt czarnéj chmury suną,
Ćmiąc kirem niebo i kraj nasz wesoły.—
A więc, sąsiedzi! zgodnie z wolą Nieba,
Dziś zabezpieczyć chcę i przedsięwziąłem
Los córek moich; bo dziś to im trzeba
Męża obrońcy; a dzielona społem
Miłość, pomaga znieść wspólną niedolę.

(Do piérwszego z pasterzy)

Zbliż się, Stefanie!—wiém, że kochasz Annę.
Z pastwiskiem mojém graniczy twe pole;
Wzrośliście razem:—przywiązanie ranne
Szczęśliwe wróży stadło.

(Do drugiego)

Klaudyanie!—

Cóż to? drżysz cały — i mojéj Anieli
Twarz, widzę, zbladła. — Zkąd to nieufanie?
Zaliż myślicie, że ojciec rozdzieli,
Co Bóg połączył: dla tego, że łanu,
Że skarbu nie masz równego jéj wianu? —
Któż dziś ma skarby? — Dom, stodoła, trzody,
Są pastwą ognia, lub piérwszego wroga;
Ale dłoń męża, śmiała na przygody,
Ale pierś męża, co nie zna co trwoga,
To skarb, co żadnéj nie boi się szkody,
To puklerz lepszy niż zamki i grody!

ANIELA.

Ojcze!

KLAUDYAN.

Anielo!

ANIELA (*ściskając Joannę*),

Siostro moja droga!

TEOBALD,

Każdéj z nich daję tyle, com zostawił
Pola sam sobie, i trzodę w wyprawie;
Dom i zagrodę. — Bóg mnie błogosławił,
Z Bogiem, jak ojciec, ja was błogosławię.

ANNA (*do Joanny*).

Czyż i ty ojca nie zechcesz pocieszyć?
Młodsza, z sióstr starszych niechby przykład brała.

TEOBALD.

Idźcie!—ślub jutro—potrzeba się śpieszyć.
Gościem na godach będzie wioska cała.
(Obie pary biorą się za ręce i odchodzą).

SCENA II.

TEOBALD, RAJMUND, JOANNA.

TEOBALD.

Joanno! czemu nie idziesz ich torem?
Widok ich szczęścia cieszy starość moję;
Ty, ty mię tylko trapisz swym uporem.

RAJMUND.

Dość, ojcze! przestań martwić dziecię swoje.

TEOBALD *(wskazując na Rajmunda).*

Oto jest młodzian, ozdoba wsi całéj,
Pilny, poczciwy!—już to trzecie żniwo,
Jak tając boleść, pokorny a stały,
W sercu ku tobie żywi miłość tkliwą.
A ty, ty zimna, zasklepiona w sobie,
Ulżyć mu nawet nie umiesz cierpienia;
Ani widziałem, by kto inny w tobie
Obudził tkliwsze czucia lub wzruszenia.
A jednak widzę, że piękność dziewicza
Zewsząd ku tobie ciągnie serca ludzi;
Anielska słodycz twojego oblicza,
Blask twego oka podziwienie budzi.

Bóg cię obsypał, jako drzewo kwiatem,
Dary swojemi; lecz czyliż dożyję,
Że miłość kiedyś, jako słońce latem,
Szczęścia twojego owoc z nich wywije?
Bo serce zimne, nieczułe za młodu,
Lub znaczy ciężką pomyłkę natury,
Lub wbrew jéj woli popełnia grzech, który
Zwarzy je samo tchem własnego chłodu.

RAJMUND.

Krzywdzisz ją, ojcze! — Miłość twéj Joanny,
Nie jest to owoc powszedniego drzewa.
Szybko, jak rozkwitł, przemija kwiat ranny,
Co ma trwać wiecznie — powoli dojrzewa.
Myśl jéj dziś jeszcze, jak ptak na swobodzie,
Buja po świecie, po wysokiém niebie,
Bojąc się zniżyć ku wiejskiéj zagrodzie,
Gdzie mieszka Troska, myśląca o chlebie.
Widzę ją nieraz, gdy na wzniosłych górach
Idzie za trzodą; lub na skał urwisku,
Na wpół ukryta w mgły porannéj chmurach,
Duma, podobna wietrznemu zjawisku.
Jest coś w jéj twarzy, w postaci, w jéj ruchach,
Co mimowolną cześć i trwogę budzi,
I mimowolna myśl o wyższych duchach
Łączy ją z niemi, i wznosi nad ludzi.

TEOBALD.

I toć to właśnie, co mię trwoży o nię.
Obca śród swoich; smutna, gdzie się śmieją:

Posępne lasy, odludne ustronie,
To jéj zabawa. Nim kury zapieją,
Zrywa się z łoża, i w strasznéj godzinie,
Gdy każdy człowiek rad szuka człowieka,
Cóż ją tak ciągnie w najdziksze pustynie,
Że jak ptak nocny od ludzi ucieka?
I wiém, że nieraz na rozstajnych drogach
Rozmawia z echem, czy z wiatru powiewem;
I niepamiętna o ojca przestrogach,
Godziny trawi pod tém zgubném drzewem,

(wskazuje na dąb)

Gdzie przed wiekami swe krwawe ofiary
Święcił Druida: a dziś nikt z sąsiadów,
Za skarby świata nie siadłby w mrok szary.
Bo któż nie słyszał od ojców i dziadów
Strasznych powieści i podań?—kto nie wie,
Jakie tu szatan widziadła i mary
Wywodził nieraz; lub jakie na drzewie
Słyszano głosy?—Mógłbym nie dać wiary:
Lecz sam—pamiętam—gdym był jeszcze młody,
Wracając tędy—ja, ja sam widziałem,
Widmo-niewiastę—olbrzymiéj urody,
Cała okryta jakby płótnem białém,
Stała pod drzewem, i skinieniem dłoni
Zwała mię k'sobie;—lecz ufałem w Bogu,
Szybko, nie patrząc, przebiegłem koło niéj,
I napół martwy padłem na mym progu.

RAJMUND *(wskazując na kaplicę).*

Lecz zkąd wiész, ojcze! że ów obraz święty,
Źródło niebieskiéj łaski i otuchy,
Nie ma dla córki twéj większéj ponęty,
Niż to złowrogie drzewo z swemi duchy?

TEOBALD.

Nie, nie! niestety!—długo tak mniemałem,
Lecz sen mi odkrył prawdę tajemnicy.—
Trzykroć się zdało, że ją w Reims widziałem
Zasiadającą na królów stolicy.
Siedm gwiazd jéj skronie otaczało kołem,
A z berła w ręku, trzy lilije białe,
Jak z pnia żywego wykwitały społem.
Biskupi, wodze, wojsko zda się całe,
Ja—sam król nawet, bili przed nią czołem,
A okrzyk ludu ogłaszał jéj chwałę.
Zkądże to?—czyliż spodziewać się mogę,
By w méj lepiance taki blask się zjawił?—
Nie!—Bóg to we śnie zesłał mi przestrogę,
W widzeniu pychę myśli jéj objawił.
Wstyd jéj nizkiego stanu poniewierki,
I że zbyt wiele wzięła z ręki Pana,
Że się zna wyższą nad inne pasterki,
Nie chce znać granic duma rozigrana.
A grzech to przecież, co Aniołów chóry
Potrącił w przepaść; i najpiérwszych ludzi
Wygnał z bram Raju; i aż do téj pory,
Przezeń to szatan najłatwiéj nas łudzi.

RAJMUND.

Mylisz się, ojcze!—bo w czémże jéj pycha?
Kto jéj tu równy?—a przecież, znajdź drugą,
Coby tak skromna, pokorna i cicha,
Zdała się wszystkich najuboższych sługą!
Kto z nas ją widział, by w pracy leniwa,
Od powinności zraziła się trudem?
Czyż pod jéj ręką twe trzody i żniwa,
Jakby widocznym nie mnożą się cudem?—
W każdym jéj czynie znać wpływ łaski Bożéj,
Co na nią zlewa szczęście niepojęte.

TEOBALD.

Tak, niepojęte!—i toć to mię trwoży.
Nie wszystko bowiem nadludzkie, jest święte.—
Lecz dosyć o tém!—Chciałżebym oskarżać,
Ojciec swe dziecię?—lecz milczeć nie mogę.
Nie!—jedno zawsze będę ci powtarzać:
Pomnij na Boga, na ojca przestrogę!
Nie chodź tu sama ni we dnie, ni w nocy,
Nie błądź po polach przy księżyca blasku;
Nie zbieraj nocnych ziół, nie śledź ich mocy,
Ani kréśl znaków na wietrze, ni piasku!—
Bo wiedz, o! córko! że ducha jaskini,
Każda występna myśl nasza ośmiela.
Nie stroń od ludzi!—pomnij, że w pustyni
Szatan śmiał nawet kusić Zbawiciela.

SCENA III.

CIŻ I BERTRAND.

(wchodzi, trzymając hełm w ręku

RAJMUND.

Patrz! Bertrand wraca!—Cóż to? z hełmem w dłoni?

BERTRAND.

Dziwno wam, widzę, że wracam tak zbrojny.

TEOBALD.

Zkąd masz ten szyszak?—W spokojnéj ustroni,
Znakiem złéj wróżby zda się godło wojny.

(JOANNA, która dotąd milcząc z obojętnością stała na stronie, zbliża się nagle i słucha z uwagą).

BERTRAND.

Słuchajcie! jest w tém jakby trochę cudu.
Byłem w Vaucouleurs.—W mieście, na ulicy,
Na rynku, wszędzie tłum i ciżba ludu:—
Orleans bowiem napadli Anglicy,
I kto mógł ztamtąd ucieka w te strony.
Patrząc więc na nich, idę zamyślony;
Aż na zakręcie, zjawia się przede mną
Jakaś cyganka; urody z olbrzyma,
Czarna, okryta jakąś płachtą ciemną,
Idzie wprost do mnie, a hełm w ręku trzyma.

I wzrok swój we mnie wlepiwszy, powiada:
„Wiém, szukasz hełmu;—masz! za tanio przedam.“—
—„A mnież to na co?—rzekłem—co mi nada?
„Jam, Bogu dzięki, nie żołnierz;—nic nie dam.“—
A ona znowu: „Bracie! czas wojenny;
„Hełm dziś pewniejszą ochroną dla głowy,
„Niż dach miedziany, albo mur kamienny!“—
I krok w krok za mną, z podobnemi słowy,
Idzie przez miasto, i hełm swój podaje.
Zniecierpliwiła mię w końcu:—więc staję,
Biorę go w ręce: myśląc, że jak zganię,
Da mi już pokój;—lecz patrzę, robota
Cudna, i kruszec, i droga pozłota—
Rycerz go mógłby użyć za ubranie.
Gdy go więc ważę i probuję dźwięku,
Coś mi się nagle migło przed oczyma—
Spójrzę—cyganki przede mną już nié ma;
Szukam—napróżno!—hełm został w mych ręku.

JOANNA *(przystępując szybko)*.

Daj mi go!

BERTRAND.

Na co?—Blask wojennéj stali
Dziko odbija na dziewiczém czole.

JOANNA *(wyrywając hełm)*.

Daj mi go! mówię.—Dla mnie go przysłali!

TEOBALD.

Co téj dziewczynie?

Rajmund.

Zostaw jéj swą wolę!
Strój ten rycerski przystoi dziewicy,
W któréj też piersiach tchnie serce rycerza.—
Któż nie pamięta w naszéj okolicy,
Jak dzieckiem prawie pokonała zwierza,
Wilka-hyenę, który tak bezkarnie
Pustoszył nasze trzody i owczarnie?
Z rąk młodzi naszéj wypadała dzida
Na widok jego; pierzchali—a ona,
Jakby w nią z góry wstąpił duch Dawida:
Dziewica, sama, lecz nieustraszona,
Z pasterską tylko laską w słabéj ręce,
Puszcza się w pogoń za mordercą trzody,
I młode jagnię, co już niósł w paszczęce,
Beczącéj matce powraca bez szkody!—
O! czyjekolwiek hełm ten zdobił skronie,
Godniejszych nie mógł!

Teobald (*do Bertranda*).

Cóż opowiadali
Ci z Orleanu? Gdzie król? w jakiéj stronie
Jest wojsko nasze?

Bertrand.

Bóg się niech użali
Ziemi francuzkiéj! bo dłoń Jego kary
Cięży nad nami.—Znowuśmy przegrali
Dwie krwawe bitwy.—Anglik wzdłuż Loary

Stanął obozem—rabuje i pali,
I obległ zewsząd mury Orleanu.

TEOBALD.

Boże! strzeż króla!

BERTRAND.

Mówią, co widzieli,
Że jak szarańcza, gdy padnie śród łanu,
Jak pszczoły w ulu—rój nieprzyjacieli,
Nieprzeliczony—jak oko zasięga,
Zaczernił wkoło równiny i wzgórza.
Cała Burgunda zebrana potęga,
Od gór Szwajcarskich do zimnego morza;
Ludzie różnego narodu i stanu,
Różnych języków, zgromadzeni razem,
Przysięgli, mówią, zgubę Orleanu,
I chcą go zniszczyć ogniem i żelazem.

TEOBALD.

O! straszne czasy! gdy się brat krew brata,
Ziomek krew ziomka przelewać ośmiela!—
Mściwy Burgundzie!

BERTRAND.

Gorszy wzór dla świata!
Matka królewska, dumna Izabella,
Jest też z Filipem.—Konno, w pełnéj zbroi,
Przejeżdża szyki; błaga i zaklina
Wszystkich o pomstę—niby krzywdy swojéj—
Matka! o pomstę przeciw swego syna!...

TEOBALD.

Oby skończyła jak owa, do któréj
Tak jest podobną z pychy i imienia!
Sprośna Jezabel!

BERTRAND.

Straszny Salisbury
Stoi na czele wojsk i oblężenia.
Przy nim Lionel, i tygrys niesyty
Krwi naszéj—Talbot. Trzy wysokie wieże
Wznieśli przed miastem:—na jednéj rozbity
Namiot ich wodza, z którego on strzeże
Poruszeń miasta; z dwóch drugich, dzień cały
Ogniste kule miota nakształt gromów.
Połowę miasta gruzy zasypały,
Mieszkańcy giną pod zwaliskiem domów.
Sam katedralny ów kościół wspaniały
Najświętszéj Panny, od gęstych wyłomów
Grozi upadkiem;—a prochowe miny,
Ten wymysł piekieł—podkopane wszędzie.
I nikt tam nie wié dnia ani godziny,
Gdy na sąd straszny powołany będzie.

(JOANNA *słucha z natężoną uwagą i zwolna wkłada hełm na głowę*).

TEOBALD.

Lecz gdzież są nasi waleczni obrońcy,
La Hire i Santrailles, i niezwyciężony

Dunois?—Gdzie są? że tryumfujący
Wróg tak się wdziera w nasz kraj opuszczony?
Gdzie król?—Czyż zawsze jako zimny świadek,
Patrzy na państwa, na miast swych upadek?

BERTRAND.

Król z dworem bawi w Chinon;—lecz snać nié ma
Dość wojska z sobą, by wyjść przeciw wroga.
Lecz choćby wyszedł—czyż garstka dotrzyma
Pola tysiącom: gdy strach, jak od Boga,
Jako zaraza powiał w serca ludzi,
I w najmężniejszych krew i zapał mrozi?—
Próżno głos wodzów nadzieję w nich budzi,
Ojczyzna błaga, i monarcha grozi.
Jak trzoda owiec, gdy ją zwierz napadnie,
Francuz niepomny swéj sławy od wieka,
Kupi się tylko i pierzcha bezładnie,
Lub zgiąwszy szyję, na miecz wroga czeka!—
Jeden się tylko znalazł, jak słyszałem,
Co zebrał kilka chorągwi konnicy,
I w pomoc króla, z tym małym oddziałem
Ciągnąc, po naszéj błądzi okolicy.

JOANNA *(prędko)*.

Jak imię jego?

BERĄRAND.

Baudricourt.—Lecz czyli

Zdoła się przerznąć, i pogoń omyli?...
Wątpię—bo zewsząd ściskają go wrogi.

JOANNA.

Wiész, gdzie on teraz?

BERTRAND.

O dzień ledwo drogi
Od Vaucouleur'u.

TEOBALD (*do Joanny*).

Zkąd ci to pytanie,
W rzeczach, co wcale nie tyczą się ciebie?

BERTRAND.

Że wróg tak mocny, a król nasz nie w stanie
Dać nam odsieczy, ni wsparcia w potrzebie:
W Vaucouleurs przeto dziś mają uchwalić,
Że Burgundowi poddać się należy.
Bo tak i miasto może się ocalić
Od angielskiego jarzma i łupieży,
I nam, z pod władzy pokrewnego księcia,
Łatwiéj powrócić do prawego pana,
Gdy sytych wreście wspólnego zawzięcia,
Złączy znów kiedyś zgoda pożądana.

JOANNA (*występując z zapałem*).

Żadnych układów! żadnego przymierza!
Bo przyszła chwila, że wstanie obrońca.

Pod Orleanem wróg kresu domierza,
Dzień chwały jego chyli się do końca!
Dojrzał na zgubę, jako plenna niwa,
I już żniwiarka, z krwawym sierpem w ręce,
Zbliża się—przyjdzie—i z wzgardą pozrywa
Z gwiazd, dumy jego rozwieszone wieńce!—
Nabierzcież serca, ludzie małéj wiary!
Bo nim ten księżyc dójdzie pełni swojéj,
Żaden angielski koń z nurtów Loary,
Żaden krwią naszą wróg się nie napoi!—

BERTRAND.

Minął czas cudów!

JOANNA.

Nie!—przyszedł czas cudu!
Biała gołąbka wzleci orła lotem,
Spadnie na sępów, chciwych krwi jéj ludu,
Skruszy Burgunda zdrajcę—i z Talbotem,
Bluźniercą Nieba—i z owym ponurym
Łupieżcą świątyń, dzikim Salisburym—
I z tym Fastolfem—i z temi wszystkiemi
Najezdnikami naszéj pięknéj ziemi,
Łamać się będzie—i wszystkich wyżenie,
Jako lew trzody, lub tygrys jelenie.
Bo Pan z nią będzie:—bo jak wiatr palący,
Duch Jego przed nią:—bo On jéj prawicy
Da siłę śmierci—i w słabéj dziewicy,
Okaże światu, że On wszechmogący!

Teobald.

Co za duch, przebóg! opętał dziewicę?

Rajmund.

Hełm to w niéj budzi ten zapał wojenny.—
Ale patrz, ojcze! patrz na jéj źrenice,
Co w nich za jasność! co za blask promienny!

Joanna.

(*z wzrastającym zapałem*).

Krajby nasz upadł?—kraj zwycięztw i chwały,
Raj krajów świata, wybrany od Boga?
Dzieciby jego wiecznie dźwigać miały
Hańbiące więzy zamorskiego wroga? —
Nie!—tu runęła moc poganów dzika,
Krew męczenników oblała tę ziemię;
Tu leżą prochy Świętego Ludwika,
Ztąd odzyskano grób w Jeruzalemie!...

Bertrand (*z podziwieniem*).

Któżby nie wierzył, że mówi natchniona?—
Bóg ci, sąsiedzie! dał cudowne dziecię.

Joanna.

Naszych-że królów odwieczna korona
Pójdzie w pogardę, lub zniknie na świecie?—
Gdzież są królowie, by jéj byli godni,
Prócz królów naszych?—Rolnika obrońcy,

Opiekunowie wszystkiego—prócz zbrodni;
Dawce i stróże swobód;—panujący
Z Bogiem po ludzku;—sędziowie łagodni,
Straszni rycerze—lecz nie nastający
Na właść sąsiada, ni ludu szczęśliwość!—
W cieniu ich tronu, trzy lilije białe
Rozkwitły: Wiara, Miłość, Sprawiedliwość,
A woń ich święta tchnie na państwo całe!...—
Czyliż król, obcéj wychowaniec ziemi,
Którego przodków nie tu prochy leżą,
Co dzieckiem z dziećmi nie igrał naszemi,
Młodzieńcem z naszą nie kochał młodzieżą;
Któremu słowa naszéj pięknéj mowy
Czczym tylko dźwiękiem; pamięć wielkich czynów
Przeszłości naszéj, chwały narodowéj,
Nie zabrzmi w duszy jak pieśń cherubinów:—
Będzież on ojcem swéj ojczyznie nowéj?
Lub czyż w niéj dla się znajdzie miłość synów?—

TEOBALD

Boże! zachowaj Francyą i króla!
Lecz nie nam dumać o losach mocarzy!—
Wieśniak pilnuje swéj chaty i pola,
I czeka, komu Bóg zwycięztwo zdarzy.
Bo losem bitew Boska rządzi wola,
Bo los narodów Bóg w swéj ręce waży.
Dla nas ten będzie pomazaniec Boży,
Kto w Reims koronę królów naszych włoży.—
Lecz czas do pracy!—W naszym nizkim stanie,
Dość myśleć tylko o jutrze. —Królowie.

I radzcy królów, niech myślą o zmianie
Przyszłości świata;—bo na ich to głowie
Leży świat cały.—Mniejsza nasza troska.
Co bądź się dzieje, my możem spokojnie
Patrzeć na przyszłość.—Bo ta ziemia Boska,
Co nam uprawiać kazał:—choć ją zbrojnie
Najdzie i zdepce wróg; choć dom i wioska
Ulecą z dymem:—ona znów nam hojnie
Nagrodzi stratę;—bo gdzie szczera praca,
Gdzie ufność w Bogu—szczęście prędko wraca.

(*Odchodzą wszyscy, prócz Joanny*).

SCENA IV.

JOANNA (*sama*).

Góry wy moje, wy pola rodzinne!
Joanna wiecznie, wiecznie żegna was.
Przeszły jéj lata, jéj mary dziecinne,
Swobody serca przeszedł dla niéj czas.
Z wami me były zabawy niewinne:
Tu mi z wiatrami mroczny śpiewał las;
Tu zdrój kryształy przetaczając p'ynne,
Dźwiękiem harmonik słodki zwabiał wczas.
Tu łąk tych wonnym obwiana oddechem,
Pieśnią z tych dolin rozmawiałam echem.

Kwitnijcie w ciszy i miłéj pogodzie!
Mnie tam w kraj burzy i piorunów zwą.
Trzody wy moje! igrajcie w swobodzie!
Pasterka wasza traci wolę swą.

Innéj ja teraz przewodniczyć trzodzie,
Pójdę na pola—ludzką zlane krwią!
Pchnie mię i ciągnie moc wyższego ducha,
Nie żądza sławy, nie szczęścia otucha.

Bo Ten, co niegdyś ogniem na Horebie,
W duszę Mojżesza swoję wolę tchnął,
I Izajasza pacholę, do siebie
Wzniósł, i z przyszłości chmurę przed im zdjął:
On, Wszechmogący na ziemi i niebie,
On mnie pasterkę za swą sługę wziął;
I z drzewa tego tchem wiatru rzekł do mnie:
„Idź, i na ziemi daj świadectwo o mnie!

„Uzbrój twe serce, jak twą pierś dziewiczą,
„Piersi i serce w twardą odziéj stal!
„A wzgardź miłością i ziemską słodyczą,
„Zamrzyj na ziemskie wesele i żal!
„Ani się chwałą daj unieść zwodniczą,
„Ale mnie tylko każdém dziełem chwal!
„Bo ja to będę, co sławy wojennéj
„Na skronie twoje dam wieniec promienny.

„I gdy wróg hardy moc Francyi zetrze,
„Gdy zadrżą przed nim rycerze i król;
„Ty mą chorągiew roztoczysz na wietrze,
„Ty, jak żniwiarka plony bujnych pól,
„Zmieciesz ich wojska—a strach jak powietrze
„Wejdzie w ich piersi;—pomścisz wstyd i ból

„Ojczyzny twojéj, i przez cię zbawioną,
„W Reims króla swego uwieńczysz koroną!“—

Bóg znak swéj woli miał mi zesłać w porę;
Hełm ten jest znakiem—On go zesłał mnie!
Nie ziemski ogień we krwi mojéj gore,
Nie ziemskie męztwo w piersiach moich tchnie.
Ty mi daj, Panie! stałość i pokorę,
Bym mogła godnie spełnić dzieło Twe!—
Głos trąb wojennych już słyszę w mém uchu—
Stało się! wiedź mię, tajemniczy Duchu!

(Odchodzi).

KONIEC PROLOGU.

AKT PIĖRWSZY.

(Obóz króla Karola pod Chinon).

SCENA I.

DUNOIS, DUCHATEL.

DUNOIS.

Nie! zostać dłużéj nie chcę i nie mogę,
Opuszczam króla, co się sam opuszcza.
Cóżbym tu czynił?—radę i przestrogę
Obrazą tronu zwie dworaków tłuszcza.
A we mnie serce zalewa się łzami,
Widząc jak wrogi dzielą naszą ziemię;
Jak ku nim miasta wychodzą z kluczami,
Jak lud nasz cierpi—i jak tu król drzemie!
Słyszę, że blizka zguba Orleanu—
Rzucam się na koń; z brzegów oceanu

Pędzę, przybywam—drżąc, zali już może
Król nie zwiódł bitwy; pewny, że już stoi
Na czele wojska;—a on tu, na dworze,
Z Trubadurami swoję arfę stroi!
Śpiéwa ballady—lub u stóp Agnieszki,
Wzdycha, i świetne wyprawia biesiady,
Jakby na świecie nie było zamieszki!...—
To nadto!—idę w Konetabla ślady.
Opuszczam wojsko i kraj;—ale biada,
Biada nam wszystkim!

Du Chatel.

Cicho! król na progu.

SCENA II.

CIŻ I KRÓL KAROL.

Król.

Konetabl miecz swój odesłał, i składa
Urząd swój w ręce nasze.—Dzięki Bogu!
Mniéj będzie jednym, co z całego świata
Nieradzi, wszystkim mistrzowaćby chcieli.

Dunois.

Nie tak mnie małą zda się jego strata,
Mąż taki dzisiaj wart tysiąc Minstreli.

Król.

Dunois! mówisz przez ducha przekory.
Póki był z nami, waśniłeś z nim nieraz.

Dunois.

Prawda, że lubił i rad wszczynał spory,
Nie wiedząc nigdy co wybrać;—lecz teraz,
Wybrał najlepsze—i w czas się oddala
Z miejsc, w których pobyt bez sławy i celu.

Król *(urażony, z przekąsem)*.

Dunois zawsze szlachetny!—wychwala
Tylko za oczy.—Słuchaj, Du Chatelu!
Od króla René *) przybyli posłowie,
Króla wesołych pieśni i pasterzy;
Trzeba ich przyjąć:—wszyscy trzej bardowie,
Każdemu złoty łańcuch dać należy.

(do Dunois).

Czego się śmiejesz?

Dunois.

Że łatwo królowi
Ze słów królewskich wić złote łańcuchy.

---

*) René, zwany *dobrym*, hrabia Prowancyi, z domu Adagaweńskiego (Anjou). Ojciec jego i brat byli królami neapolitańskimi, i on sam, po śmierci brata, rościł prawo do tegóż tronu, ale nie mógł dopiąć zamiaru. Wielki miłośnik staréj prowancekiéj poezyi i czasów rycerskich, usiłował w państwach swoich przywrócić jedno i drugie. Ustanowił, a raczéj przywrócił tak zwany *Trybunał Miłości* (*Cour d'Amour*), na czele którego stał najwyższy sędzia, z tytułem *Księcia Miłości* (*Prince d'Amour*), rozstrzygający ostatecznie w rzeczach miłości i rycerskiéj grzeczności dla dam. W tymże duchu romantyczności, sam z żoną przebrał się za pasterzy i wiódł zycie pasterskie.

Król *(do Du Chatela)*.

Cóż to?

Du Chatel.

Niestety! gorzką prawdę mówi.
Skarb twój, o! królu! oddawna już suchy.

Król.

To się postaraj zkąd niebądź!—Śpiewacy
Nie mogą od nas odejść nie uczczeni.
Oni nam słodzą trud królewskiéj pracy,
Ich sprawą berło laurem się zieleni.
Duch ich, sam twórca swych wietrznych pałacy,
Rządzi z nich sławą w czasie i przestrzeni.
Ztąd się wieszcz z królem równać może śmiele—
Obadwaj stoją na ludzkości czele.

Du Chatel.

Królu i panie! oszczędzałem ciebie,
Póki sam mogłem dać pomoc i radę;
Lecz dziś wzgląd musi ustąpić potrzebie.
Nie stać cię, Panie! ach! nie na biesiadę,
Nie na podarki—lecz na chleb powszedni!
Niepłatne wojsko burzy się;—nie jedni
Broń już rzucili;—ledwie wiém co ranku,
Jak dzień opatrzyć, twój i dworzan twoich.

Król.

Obmyśl więc sposób;—zastaw w jakim banku
Dochody celne, lub które z dóbr moich

Du Chatel.

Cło na trzy lata zastawione z góry.

Król.

Ziem przecięż pięknych mamy jeszcze wszędzie.

Dunois (*z przekąsem*).

Tak! póki zechce Bóg i Salisbury.
I niechno jeszcze Orleans zdobędzie—
Wtenczas ci chyba z królem René w parze,
Wziąć kijek w rękę—i grać na fujarze.

Król.

Zawsze swój dowcip ostrzysz na tym królu,
On przecież jeden pomni nas w złym czasie.

Dunois.

Mała pociecha! gdy zamiast wojsk w polu,
Nasz sprzymierzeniec sam swe owce pasie.

Król.

Jest to żart tylko, zabawa niewinna!
Nęci go urok pasterskiéj prostoty,
Ich szczera radość, ich miłość niewinna.
Chce sobie w życiu przypomnieć wiek złoty.—
Lecz co prawdziwie wielkiego zamierza,
To jest zwrót owych bohaterskich czasów,
Gdy miłość była natchnieniem rycerza,
A piękność celem i sędzią zapasów.
W tych czasach starca żyje duch młodzieńczy,
I jak je dawne pieśni przekazały,

Chciałby je wskrzesić, wznieść jak gmach wspaniały,
Z mgły przezroczystéj i kolorów tęczy.
Dwór swój uczynił tych wieków obrazem:
Gdzie rycerz musi hołdować piękności,
Gdzie piękność tkliwa i skromna zarazem,
A sąd osobny przestrzega wierności.
Sąd ten dziś właśnie, za króla rozkazem,
Szle mi dyploma na Księcia Miłości.

DUNOIS.

Któż jéj potęgę czuć może nademnie,
Com jest jéj razem dowodem i czynem?
Przez nią krew książąt płynie tylko we mnie,
I Orleańskim nazywam się synem.
Lecz w ojcu moim mam wzór, jak należy
Sarbić jéj łaski:—w ojcu moim, który,
Jak serca niewiast—na czele rycerzy
Umiał zdobywać nieprzyjaciół mury.
Jeśliż więc, królu! chcesz piastować godnie
Nowy twój urząd:—ucz się jego czynów.
Wdziej hełm na skronie, a dłoń z sercem zgodnie
Niech nam przypomną sławę paladynów!
Bo jak czytałem—nie owiec pasterze—
Jak ów król René—za Okrągłym Stołem,
Lecz w twardych zbrojach i laurach rycerze,
Z królem Arturem biesiadali społem. —
Bo kto niewiasty obronić nie zdoła,
Nie wart jéj serca!—Teraz czas, o! królu!
Potrzeba nagli, i powinność woła:
Wystąp jak rycerz, i na bitew polu,

Walcz o tron przodków, o cześć twéj ojczyzny!
A gdy ją zbawim i wroga pożyjem:
My sami wtedy twe znoje i blizny
Otrzem laurami, i mirtem okryjem.

(Paź *wchodzi*).

Król.

Cóż tam?

Paź.

Z Orleans przybyli posłowie.
Proszą o wejście.

Król.

Wprowadź! —

(Paź *odchodzi*).

Chcą pomocy.
Jakąż im damy? —

SCENA III.

CIŻ I TRZEJ RADZCY Z ORLEANU.

Król.

Witam was, Panowie!
Cóż nam niesiecie? Czy wrogów przemocy
Miasto się jeszcze opiera? czy zdoła
Oprzeć się długo?

Radzca.

Królu nasz i panie!
Miasto do ciebie o ratunek woła,
W tobie ostatnie złożyło ufanie!—
Zewnętrzne szańce runęły; załoga
Przez pół zginęła na murach, lub w mieście
Wymiera z głodu; a cała moc wroga
Bije do szturmu dzień i noc: —że wreście
Musim się poddać lub zginąć.—Wódz zatém,
Rochepierre hrabia, łącznie z Magistratem,
Weszli w umowę z wrogiem: któréj mocą,
Jeśli w przeciągu całych dni dwunastu,
Wojska nam, królu, nie przyszlesz z pomocą,
Lub zkąd żywności nie opatrzysz miastu,
Miasto się podda.

(Dunois *wzdryga się z gniewem*).

Król.

Czas krótki.

Radzca.

O! panie!
Szlą nas ku tobie bracia i ziomkowie,
By do twych uszu doszło ich wołanie,
Byś w czas nieszczęsnéj zabieżał umowie.

Dunois.

Jakże mógł Santrailles przystać na haniebną?

RADZCA.

Póki żył Santrailles, ufano w orężu.

DUNOIS (*z przerażeniem*).

Santrailles nie żyje?

RADZCA.

Legł śmiercią chwalebną
Za kraj i króla.

KRÓL.

Ach! w tym jednym mężu
Straciłem wojsko.

(RYCERZ *wchodzi i rozmawia cicho z* DUNOIS, *który porywa się z gniewem).*

DUNOIS.

Zdrajcy!

KRÓL.

Cóż się stało?

DUNOIS.

Wojsko się szkockie buntować zaczyna
O żołd zaległy, i zapowiedziało,
Że rzuci oręż.—Lord Duglas zaklina
O prędką radę.

KRÓL (*do Du Chatela*).

A więc jaka rada?

Du Chatel.

Niestety! żadnéj! —

Król.

Nie zechcąż poczekać?
Przedam, zastawię wszystko.

Du Chatel.

Nic nie nada!
Nie będą wierzyć:—bo cóż im przyrzekać?

Król.

To są najlepsze ze wszystkich wojsk moich.
Cóż poczniem bez nich?

Radzca *(na kolanach)*.

Pomnij o nas, królu!
W nas jest ostatnie przedmurze państw twoich:
Jeśli upadniem—nie oprzesz się w polu.

Król *(z rozpaczą)*.

Cóż mam uczynić? Widzicie, słyszycie!
Czyliż mi zboże wyrośnie na dłoni,
Lub wojsko z ziemi?—Mam, i oddam życie,
Lecz zkąd wziąć złota, żołnierzy i broni?

(Postrzega wchodzącą Agnieszkę Sorel, *i z otwartemi rękoma rzuca się na jéj spotkanie).*

SCENA IV.

CIŻ I AGNIESZKA SOREL (*ze szkatułą w ręku*).

KRÓL.

O! pójdź najmilsza! mój Stróżu Aniele!
Pójdź! niech twe słowa mą rozpacz ukoją!
Z tobą mi wszędzie pokój i wesele—
Nic nie stracone, pókiś ty jest moją!

AGNIESZKA (*rzucając wkoło pytającém okiem*).

Prawdaż to? mówcie!—prawdaż, co słyszałam?
Wojsko się burzy?

DU CHATEL.

Niestety!

AGNIESZKA (*do króla, z godnością i żalem*).

Karolu!
Ja tobie serce, ja siebie oddałam,
A tyś mi nie powierzył twych potrzeb i bolu!

(*do* DU CHATELA, *podając mu szkatułę*).

Masz! tu jest złoto, tu drogie kamienie —
Przedaj, stop wszystko—a zapłać żołnierzy!
Mam jeszcze zamki, mam bogate mienie,
Bierz, przedaj—śpiesz się, nim pora ubieży!

KRÓL.

I cóż wy na to, przyjaciele moi?
Jestżem ubogi, gdy takiego serca

Miłość posiadam? Czyż jéj nie przystoi
Cześć, co mam dla niéj?—Niejeden oszczerca,
Wiém, szukał dumy w jéj miłości ku mnie.
Lecz godna rodem, wyższa sama sobą,
Dość niechby tronu pożądała dumnie,
Najpotężniejszych byłaby ozdobą.
Lecz ona gardzi tronem; ziemskie dary
Nogą pomiata:—i w tém jest jéj pycha,
Że wszystkie dla mnie poniósłszy ofiary,
Wszystkie wzajemne, prócz serca, odpycha.
I teraz—patrzcie!—na obronę moję
Oddała resztę.

(*do* Dunois).
Czujesz wielkość w czynie?

Dunois.

Czuję to, żeście szaleni oboje.
Ciebie nie zbawi—sama tylko zginie.
W dom gorejący rzuca skarby swoje,
Leje w bezdenne Danaid naczynie!...

Agnieszka (*do króla*).

O! nie wierz jemu!—sto razy dla ciebie
Krew swą poświęcał: a na mnie się gniéwa,
Że ci strój błahy oddaję w potrzebie!
Chce, bym bez ciebie być mogła szczęśliwa!—
Nie, nie! Karolu!—Precz od nas blask zwodny,
Precz miękkość zbytku, w niebezpieczeństw chwili!
Daj wzór poświęceń, jeśli chcesz być godny
By się za ciebie drudzy poświęcili.

Dwór swój zmień w obóz! pierś odziej żelazem!
Znoś głód i trudy! płać życiem i zdrowiem!
Niech żołnierz widzi, że i król ich razem
Wiatr ma przykryciem, a ziemię węzgłowiem.
Wtenczas w ich piersiach znajdziesz tarcz niezłomną:
Dokażą cudów—bo siebie zapomną.

KRÓL (*z uniesieniem*).

Teraz pojmuję tajemnicze słowa,
Com z ust natchnionéj niegdyś prorokini
Słyszał w Klermoncie: że mię białogłowa
Zbawi—zwycięzcą i królem uczyni.
Wierzyłem wróżbie—lecz do jéj spełnienia
Czekałem matki, aż swój gniew rozbroi.—
Lecz tyś jest Anioł mego przeznaczenia,
Bóg mi zbawczynię dał w najmilszéj mojéj.

AGNIESZKA.

Miecz twych przyjaciół przepowiednię ziści,

KRÓL.

W niezgodzie wrogów mam także nadzieję.
Wiém, że oddawna żar skrytéj zawiści
W sercu Burgunda i Anglików tleje.
La Hira przetoż wysłałem do księcia,
Azali, pomny na krwi naszéj związki,
Nie złoży z serca mściwego zawzięcia,
I w dawne ku nam wróci obowiązki?—
Co chwila nazad oczekuję gońca.

DU CHATEL (*u okna*).

Widzę go właśnie, jak pędzi do bramy.

KRÓL.

Tém lepiéj! prędzéj dowiemy się końca,
Czego się lękać lub spodziewać mamy,

SCENA V.

CIŻ I LA HIRE.

KRÓL *(idąc naprzeciw niemu)*.

Witaj nam! jakież przynosisz nowiny?
Jestże nadzieja?

LA HIRE.

Tak! w Bogu i w broni.

KRÓL.

Co? Burgund nie chce naprawić swéj winy?
Odrzuca zgodę?—Cóż powiedział o niéj?

LA HIRE.

Przed wszystkiém inném, nim dalszéj umowie
Nakłoni ucha—chce, byś Du Chatela,
Co go zabójcą ojca swego zowie,
Wydał mu w ręce.

KRÓL.

Ja dać przyjaciela
Na zemstę wrogom!—Cóż, jeśli odmówię?

LA HIRE.

Układ zerwany.

Król.

Nazbyt się ośmiela!—
Czyżeś go wyzwał, by jako mąż z mężem,
Mimo krwi związków i stanu różnicę,
Sam spór swój ze mną rozstrzygnął orężem?

La Hire.

Złożyłem przed nim twoję rękawicę,
Mówiąc, że zstąpisz z wysokości tronu,
By kraj swój przed nim swą piersią zasłonić,
I choć niewinny ojca jego zgonu,
Czci swéj chcesz mieczem od zarzutów bronić.—
Lecz odpowiedział, że nie ma potrzeby
Wieść bojów o to, czego jest już panem.
Gdy zaś koniecznie chcesz tego, ażeby
Walczyć z nim:—znajdziesz go pod Orleanem.—
To mówiąc, usta przygryzał zawzięcie,
I z tém do innych oddalił się gości.

Król.

Żaden-że za mną w moim Parlamencie
Nie wzniósł się czystéj głos sprawiedliwości?

La Hire.

Głuszy go wściekłość stronnicza.— Parlament,
Ród twój i ciebie pozbawił korony.

Dunois.

O! biedny kraju! gdzie ufny w praw zamęt,
Gmin chce obalać i stanowić trony!

Król.

Cóż matka moja? Byłżeś u niéj?

La Hire *(po chwili namysłu).*

Panie!
Byłem w Saint-Denis, gdy przywłaszczyciela
Święcono królem.—Strojni paryżanie,
Jak w dzień godowy, z okrzykiem wesela,
Stali po drodze; a gminna chałastra,
Śród muru włóczni i puklerzy stalnych,
Ciągnęła powóz Henryka Lankastra,
Pod cieniem łuków i bram tryumfalnych.
Król-dziecko omal nie płakał z przestrachu,
Gdy lud z szalonym witał go zapałem.
Angielskie wojska, przy kościelnym gmachu,
Stały pod bronią.—Wszedłem, i widziałem,
Jak siadł na świętéj Ludwika stolicy.
Po bokach stali dumni jego stryje,
Bedford i Gloster; a u stóp lennicy,
Na klęczkach, kornie nachylając szyje,
Hołd mu składali;—Burgund na ich czele!

Król.

O! zdrajca!

La Hire.

Dziecię patrzyło nieśmiele,
I wchodząc na tron, potknęło się w kroku.
„Zły znak, zła wróżba!“—szeptano dokoła;
Śmiech nawet powstał:—gdy wtém nagle z boku

Matka twa, panie! weszła do kościoła.
I—

KRÓL.

Mów!

LA HIRE.

I w pomoc podawszy mu dłonie,
Sama go na twym posadziła tronie.

KRÓL.

O! matko! matko!

LA HIRE.

Widziałem—lud cały
Wezdrgnął się na to;—i nawet Anglicy
Spuścili oczy. Sam Burgund zuchwały
Oblał się wstydem;—a w każdéj źrenicy
Znać było zgrozę.—Zapewne dostrzegła.
Wzrok jéj zaiskrzył, i skinieniem ręki
Dając znak, groźném lud okiem przebiegła:
„Francuzi!—rzekła—mnie składajcie dzięki,
„Że w pień spróchniały waszych królów domu,
„Zaszczepiam gałąź laurowego wieńca,
„I tron wasz świetny ochraniam od sromu,
„By na nim wami rządził syn szaleńca!“

(KRÓL *zakrywa twarz i odwraca się z boleścią.* AGNIESZKA *bieży ku niemu i stara się go pocieszyć.— Wszyscy obecni okazują wzgardę i przerażenie. Chwila milczenia).*

Dunois.

Tygrzyca! potwór!—O! furyo z piekła!

Król (*po pauzie do Radzców*).

Widzicie sami w jakim rzeczy stanie.
Śpieszcie, by próżno krew ludzka nie ciekła,
Powiedzieć waszym braciom w Orleanie,
Że ich uwalniam od wierności ku mnie,
I na Burgunda, radzę, by się zdali.—
Zawzięty na mnie, postępuje dumnie,
Lecz zwą go Dobrym — on miasto ocali.

Dunois.

Jak to? czyż innych nie znajdziesz już środków?

Radzca.

Nie! słów tych, królu! nie odniesiem ziomkom.
Sławę z wierności wzięliśmy od przodków,
I nieskażoną zostawim potomkom.
Ty nam swéj tylko nie cofnij opieki,
A zginiem raczéj!

Dunois.

Nie wstyd-że ci, królu!
Że wolisz hańbą okryć się na wieki,
Niż oko w oko wrogom zajrzeć w polu?
Że poniewierasz miast Francyi perłą,
Co, jako ona, przodków twoich berło
Zdobiło z wieków?...

KRÓL.

Dość już krwi płynęło!
Bóg snać swą rękę ociężył nade mną.
We wszystkich bitwach wojsko me pierzchnęło,
Najwaleczniejsi zginęli daremno;
Parlament wyzuł mię z tronu; stolica
Z bezwstydną pompą święci tryumf wroga;
Najbliższy krewny—ha! własna rodzica,
Zguby méj pragną; lud przejęła trwoga.
Mam-liż krew jeszcze, jak próżną ofiarę,
Lać dla méj dumy?—Nie! ustąpmy raczéj.
Opór daremny!—Przejdźmy za Loarę,
Czekać i znosić, co nam Bóg przeznaczy.

AGNIESZKA.

Nie dopuść Boże! byś spełnił twe słowa,
Byś tak sam sobie i ojczyznie skłamał!—
Nie! nie z twéj duszy pochodzi ta mowa,
Sprośny czyn matki twoję stałość złamał!
Lecz wiém, że męzka wnet wróci otucha,
I znów, jak puklerz, moc twojego ducha
Zastawisz losom.

KRÓL *(ponuro)*.

Nie! dłoń przeznaczenia
Widna w tém wszystkiém.—Bóg od mego domu
Twarz swą odwrócił;—matki złorzeczenia
Wzięły swój skutek!—Pasmo klęsk i sromu
Snuje się zdawna.—Ojciec mój w szaleństwie
Wiek skończył; bracia pomarli w lat kwiecie;

A ja!—Ach! próżno, próżno ufać w męztwie!
Plemię Walezych upadło na świecie.

AGNIESZKA.

W tobie, Karolu! zakwitnie na nowo,
Wierz tylko w siebie!—O! nie bez zamiaru
Bóg cię ocalił, gdy i nad twą głową
Wisiał cień śmierci; i z Jego to daru
Dzierżysz to berło, co trzech pierworodnych
Posiąść wprzód miało.—Bo On w duszy twojéj,
W uczuciach twoich słodkich, i łagodnych,
Opatrzył balsam—co kiedyś zagoi
Rany ojczyzny, i w sercach niezgodnych
Uśmierzy gniewy i zemstę rozbroi!
Tyś jest wybrany, by w cieniu oliwy,
Dźwignąć i wsławić swój naród szczęśliwy!

KRÓL.

Ja?—nie, niestety! W téj burzliwéj toni,
Z któréj ojczyznie nie wyniść bez cudu,
Ster jéj silniejszéj potrzebuje dłoni.—
Ach! i ja może byłbym ojcem ludu,
Coby mię poznał—coby chciał mię wspierać,
I miłość płacił miłością wzajemną!—
Ale nie umiém serc mieczem otwierać,
Które nienawiść zamyka przede mną.

AGNIESZKA.

Lud dał się uwieść—namiętność go łudzi!
Ale dzień blizki, że z mlekiem wyssana,

W sercach się Franków na nowo obudzi
Dziedziczna miłość dla prawego pana.
Obudzi dawna dwóch ludów nienawiść,
Co je na wieki, jak morze rozdziela,
A dumnych wodzów niezgoda i zawiść
Musi osłabić moc nieprzyjaciela.
Wytrwaj więc tylko, i nie cofaj kroku!
Każdy ślad wrogów niech krew ich oznaczy!—
A nadewszystko, jak źrenicy w oku,
Strzeż Orle anu!—Popalić każ raczéj
Mosty i łodzie; poniszczyć przeprawy;
Niżbyś swą hańbę i żywot tułaczy
Niósł za Loarę—ten Styx twojéj sławy!

Król.

Com mógł, zrobiłem;—pojedyńczym bojem,
Rycerz z rycerzem chciałem spór mój skończyć,
Pokój okupić chciałem życiem mojém.—
Lecz mamże darmo krew mych ludów sączyć?
Mamże, jak owa nieprawdziwa matka,
Dozwolić raczéj, by wróg krwawym mieczem,
Płatał me kraje, niszczył do ostatka?—
Nie!—by je zbawić—sami się ich zrzeczem.

Dunois.

Toż mowa króla? to zapał młodzieńca?
To zamiar, który mężowi przystoi?—
Najlichszy z gminu krew, życie poświęca,
Zdaniu, miłości, nienawiści swojéj.

Strona jest wszystkiém—gdy domowéj wojny
Sztandar powionął. Starzec i niewiasta
Chwyta za oręż; rzemieślnik spokojny
Kruszy swój warsztat; kupiec pali miasta;
Rolnik swe własne zasiewy wyniszcza,
By ci zaszkodzić, lub pomódz w potrzebie;—
Nikt nie oszczędza drugich, ani siebie,
Walcząc za swoje Bogi lub Bożyszcza.
A ty! król! miałbyś z litości niemęzkiéj
Praw się swych zrzekać? odrzucać nadzieje,
By skrócić wojny nieuchronne klęski?—
Nie!—niech się wojna sama wyszaleje!
Nie tyś ją zaczął;—a że lud za króla
Krew swą lat musi:—w tém jest Niebios wola.
W tém prawo świata!—I biada narodom,
Coby swym królom, swéj czci i swobodom,
Krwi swéj lub mienia szczędziły w ofierze!

KRÓL (*do Radzców*).

Próżno czekacie! Bóg was niechaj strzeże!
Ja nic nie mogę.

DUNOIS (*z gniewem*).

Niechże Bóg zwycięztwa
Tak się na wieki odwróci od ciebie,
Jak ty od kraju w dniach niebezpieczeństwa!—
Ale pamiętaj! że gubisz sam siebie.
Że cię nie Burgund, nie moc Albionu,
Lecz własna małość strąca z ojców tronu!—
Francyi trzeba króla-bohatéra.
A ty!—Żegnam cię!

(*do Radzców*).

Król się was wypiera—
Lecz ja, w téj ojca mojego dziedzinie,
Idę się z wami zagrzebać w ruinie.

(*Chce odchodzić*, AGNIESZKA *go zatrzymuje*).

AGNIESZKA (*do Króla*).

O! nie dopuszczaj, aby odszedł w gniewie!—
Zbyt ostry w słowach—prawda! lecz któż nie wie,
Jakim jest w sercu? jak w każdéj potrzebie
Ostatnią kroplę krwi odda za ciebie?—
Pójdź, pójdź, Dunois! wyznaj, że w zapale
Nadtoś powiedział!—a ty mu wspaniale
Przebacz z prędkości niemyślane słowo!—
O! pójdźcie, pójdźcie! niech złączę na nowo
Dłonie i serca wasze!—nim zawzięty
Gniew je zajątrzy, i drobną dziś szparę
Zamieni w przepaść!

(DUNOIS *pogląda na* KRÓLA, *zdając się oczekiwać na odpowiedź jego*).

KRÓL (*do* DU CHATELA).

Każ mój dwór i sprzęty
Przenieść na łodzie!—Idziem za Loarę.

DUNOIS (*do* AGNIESZKI).

Żegnaj!

(*Odwraca się i odchodzi śpiesznie; za nim Radzcy*).

Agnieszka (*załamuje ręce*).

O! teraz, tośmy pozostali
Jedni prawdziwie!—On był nam podporą.—
Idź, śpiesz, La Hirze! błagaj go, azali
Nie da się zmiękczyć?—i wróć go nam skoro.

(La Hire *odchodzi*).

SCENA VI.

KAROL, AGNIESZKA, DU CHATEL.

Król.

Także to wielkiém dobrem jest korona,
Iż by ją tylko utrzymać na czole,
Znieść miałbym raczéj, by nieokrócona
Duma mi czyjaś krępowała wolę?
Zdać się na łaskę zuchwałych wassali,
By żyć, czuć, myśleć, gwoli ich skinieniu?—
O! to jest boleść, co rdzeń duszy pali,
To ciężéj, niżli uledz przeznaczeniu!

(*do* Du Chatela).

Czyń, com rozkazał!

Du Chatel (*padając na kolana*).

Panie!

Król.

Przedsięwzięcia
Mego nie zmienię;—ogłoś to na dworze.

Du Chatel.

Królu! przejednaj Burgundzkiego księcia!
To jeszcze jedno, co cię zbawić może.

Król.

Ty mi to radzisz? a on twojéj głowy
Żąda za pieczęć do naszéj umowy

Du Chatel.

Masz ją, o! królu!—Krew mą nie dopiero
Jam ci poświęcił;—i zarówno z chlubą,
Pod mieczem wroga, czy kata siekierą,
Umrę za ciebie:—byleś moją zgubą
Ukoił księcia; bylebym w spuściznie
Zostawił pokój—tobie i ojczyznie.

Król *(z goryczą)*.

Do tegóż przyszło? że ci, co mą duszę
Znają najbliżéj—że ci hańby drogę
Śmią mi wskazywać? i mówią, że muszę
Iść nią—i myślą, że zechcę i mogę?—
O! teraz czuję, że wszystko stracone,
Gdy i mój honor ufność ludzi stracił!

Du Chatel.

Rozważ!

Król.

Dość o tém!—za świata koronę
Krwiąbym przyjaciół moich nie zapłacił! —

Idź, spełń com kazał! — Niech się niemieszkanie
Gotują w podróż!

DU CHATEL.

Wola twoja, Panie!

(Powstaje i odchodzi. — AGNIESZKA *płacze rzewnie).*

SCENA VII.

KAROL I AGNIESZKA.

KRÓL.

Nie płacz, o! luba! wszak i tam za rzeką
Francya jeszcze! — i milsze daleko
Niebo i ziemia! — Tam na łonie twojém
Odetchnę znowu szczęściem i pokojem.

AGNIESZKA.

O! dniu nieszczęsny! dniu żalu i sromu!
Król z państwa swego ucieka przed wrogiem;
Syn nie śmie bronić ojców swoich domu,
Lub pod rodzinnnym zagrzebać się progiem!... —
Stało się! — idźmy na życie tułacze! —
Francyo moja! — już cię nie zobaczę!

SCENA VIII.

CIŻ I LA HIRE.

AGNIESZKA.

Wracasz sam jeden? — nie dał się więc użyć?

(wpatrując się w niego).

Lecz cóż to?—przebóg! La Hirze! co znaczy
Ten wzrok twój dziwny?—Mów, co z niego wróżyć?
Nowe nieszczęście?...

La Hire (*z zapałem*).

Koniec nieszczęść raczéj!
Minęła burza—słońce zajaśniało!

Agnieszka.

Co? jak? mów! błagam.

La Hire (*do* Króla).

Każ, by się wrócili
Posłowie Orleańscy!—

Król.

Cóż się stało?

La Hire (*z uniesieniem*).

Stoczono bitwę—myśmy zwyciężyli!

Agnieszka.

My?—O! niebieska muzyko téj wieści!

Król.

La Hire! Czyż prawda?—Czy nie czcza ułuda?—
Powtórz!—bo nie śmiem wierzyć twéj powieści.

La Hire.

O! w większe wkrótce uwierzycie cuda!

(*postrzegając wchodzącego* Arcybiskupa).

Lecz Arcybiskup sam ci o nich, Panie!
Opowie lepiéj;—z nim na pojednanie
Dunois wraca.

Agnieszka.

O! piękne zarody
Zwycięztwa! z których tak rychło dostajem
Owoców Nieba: pokoju i zgody!

SCENA IX.

Ciż, Arcybiskup z Reims, Dunois, Du Chatel, i Raul (*Rycerz we zbroi*).

Arcybiskup.

(*łącząc ręce* Dunois *i* Króla).

Zgoda, ksiażęta! podajcie dłoń wzajem!
Nie dziś czas pomnieć o ziemskiéj rozterce,
Gdy Bóg nad wami czyni cuda swoje.

Król.

Odmęt słów waszych pochłania me serce,
Chciałbym uwierzyć—i wierzyć się boję.
Co? jak się stało?—w krótkiéj, jasnéj mowie,
Powiedzcie!—błagam, każę.

Arcybiskup (*wskazując na* Raula).

On opowie.

RAUL *(wysiępując przed* KRÓLA).

Było nas wszystkich chorągwi szesnaście,
Które szlachetny Baudricourt zgromadził,
I odpierając angielskie napaście,
Ku tobie, królu! na odsiecz prowadził.
Lecz gdy przeszedłszy Vermatońskie wzgórza,
Schodzim w dolinę, gdzie się kręci Yonna,
Patrzym—przed nami z lasu się wynurza
Kolumna wrogów piesza, potém konna.
Chcemy się cofnąć—aż widzim, za nami,
Drugie ich wojsko już wzgórza osiadło.
Tak między dwóma zamknięci ogniami,
Najodważniejszym z nas serce upadło.
Chcą złożyć oręż:—i daremnie wodze
Szukają jeszcze rady, któréj nié ma.
Gdy wtém—w powszechnym nieładzie i trwodze,
Cud się nam dziwny jawi przed oczyma!
Z gaju, wprost ku nam, wychodzi Dziewica,
W błyszczącym hełmie, jak Bogini wojny,
Piękna jak Anioł—choć groźne jéj lica
Tchnęły postrachem, a wzrok, acz spokojny,
Gorzał jak ogniem;—wiatr włosy rozwiewał,
A blask poziomy zachodniego słońca
Dziwną jasnością jéj postać odziewał.—
Szła ku nam, nakształt niebieskiego gońca,
I głosem, który wskróś wszystkich przeniknął:
„Francuzi!—rzekła—próżno się boicie!
„Dość już wróg wami pomiatać nawyknął,
„Dziś jest kres jego!—wierzcie, a ujrzycie!

„Nic to, że okrył doliny i wzgórza:
„Bóg cud obiecał, i cud wam uczyni!
„Niech będzie silny, jako fale morza,
„Niech będzie liczny, jak piaski w pustyni —
„Na przód! dziś z wami jest Bóg i Dziewica!
„Duch Jego za was uzbroił jéj ramię.
„Za mną, Francuzi!“ — to rzekłszy, pochwyca
Z rąk chorążego rozwinięte znamię,
I z niém najpiérwsza bieży w stronę wroga. —
Co krwi w nas było, zawrzała płomieniem.
Wszyscy, jak jeden, za posłanką Boga
Lecim z orężem; — a wróg z podziwieniem
Patrzy się na nas, stojąc nieruchomy.
Lecz w tém — jak gdyby głos trąb ostatecznych
Posłyszał nagle: jakby niewidomy
Anioł swym mieczem zmiótł wszystkich walecznych:
Zachwiał się — widzim — mięsza się i pierzcha,
Broń i rynsztunek miecąc po za siebie;
Jedni na wzgórza, by dosiądz ich wierzcha,
Drudzy ku rzece; — a my ku potrzebie
Sprawiwszy hufce, tu i tam za niemi! —
Rzeź się prawdziwa, nie bitwa zaczęła.
Tysiąc ich z górą poległo na ziemi,
Nie licząc tego, co rzeka połknęła.
Z nas ani jeden nie zginął. —

KRÓL.

Cud Boski!

AGNIESZKA *(do* RAULA).

I cud ten, mówisz, stał się przez dziewicę? —
Któż? zkąd jest ona?

RAUL.

Różne czynią wnioski.
Lecz ona sama swoję tajemnicę,
Rzekła, że tylko królowi objawi.
Natchnioną z Nieba zowie sama siebie,
I zapowiada, że Orleans zbawi,
Wprzód nim się księżyc odmieni na niebie. —
Wojsko, lud cały, wierzy w nią, i wszędzie
Rwie się do broni.

(Słychać za sceną dzwony, trąby, i szczęk oręża).

KRÓL.

Cóż to? trąby? dzwony?

RAUL.

To ona z wojskiem! Za chwilę tu będzie. —
Lud jéj jak świętéj oddaje pokłony.

KRÓL *(do* DU CHATELA).

Każ ją wnet przyjąć!

(do ARCYBISKUPA).

Ty mię ucz, kapłanie!
Co myśleć o tém?—Bóg swój cud okazał,
Gdy cud już tylko zbawić nas był w stanie.
Tegoby żaden człowiek nie dokazał!
Lecz mogęż wierzyć, że dla mnie to czyni?

(Głosy za sceną).

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyni!

KRÓL.

To ona!

(do DUNOIS).

Usiądź na miejscu królewskiém!
Obaczym zali prorokować umie.
Jeśli jest duchem natchniona niebieskim,
Pozna nieprawdę, i znajdzie mię w tłumie.

DUNOIS siada, KRÓL *staje przy nim po prawéj ręce; obok Króla,* AGNIESZKA SOREL; *daléj* ARCYBISKUP, *i inni szykują się po obu stronach, tak, że środek sceny zostaje próżny).*

SCENA X.

CIŻ I JOANNA,

(w towarzystwie RADZCÓW *i wielu* RYCERZY, *którzy napełniają głąb sceny, ze szlachetną powagą postępuje naprzód, i przegląda stojących wokoło).*

DUNOIS.

(po długiém uroczystém milczeniu).

Tyś to, cudowna?...

JOANNA

(przerywa mu, z wyniosłością patrząc na niego).

Synu Orleana!
Doświadczasz Boga!—Nie to miejsce twoje!
Jam jest do tego wyższego posłana.

(Idzie pewnym krokiem do KRÓLA, *ugina przed nim kolano i powstaje natychmiast. Wszyscy obecni okazują największe zdumienie.* DUNOIS *opuszcza krzesło).*

KRÓL.

Zkąd mię znasz? piérwszy raz widzisz twarz moję.

JOANNA.

Widziałam ciebie, gdy cię nikt, prócz Boga,
Nie widział więcéj.—Pomnisz, przeszłéj nocy,
Gdy wiatr trząsł domem, a rozpacz i trwoga
Walczyła w tobie z nadzieją pomocy:
Upadłeś krzyżem, i w pokorze ducha
Błagałeś Boga—a łez twych strumienie
Zlały podłogę.—Każ, niech nikt nie słucha,
A treść ci twojéj modlitwy wymienię.

KRÓL.

Co zwierzam Bogu, przed ludźmi nie kryję.
Wymień!

JOANNA.

Trojakie były twoje modły.
Naprzód:—jeżeli dawne winy czyje,
Królów czy ludu, na ten kraj przywiodły
Zgubną tę wojnę:—ty, gdy tego trzeba,
Oddać się za nie chciałeś na ofiarę,
I o to tylko błagałeś u Nieba,
By twéj ojczyznie odpuściło karę.

KRÓL.

(*cofając się z przerażeniem*).

Kto? zkąd ty jesteś? Istoto cudowna!

JOANNA.

Druga twa była modlitwa:—jeżeli
Tak już chce Niebios wola nieodzowna,
Abyś utracił tron, i co dzierżeli
Przodkowie twoi:—prosiłeś ziszczenia
Trzech tylko życzeń, trzech dóbr na tym świecie.
Za piérwsze kładłeś spokojność sumienia;
Za drugie, szczerość przyjaciół; za trzecie,
Miłość Agnieszki.

(KRÓL *zakrywa twarz, łkając gwałtownie. Największe poruszenie między obecnymi*).

JOANNA (*po pauzie*).

Mamże mówić daléj?

KRÓL.

Dość, dość! już wierzę.—Tyś z Boga natchniona!

ARCYBISKUP.

Lecz kto? zkąd jesteś?—mów, niedocieczona!
Kto są szczęśliwi, co ci życie dali?

JOANNA (*do* ARCYBISKUPA).

Wielebny ojcze! zowią mię Joanną.
Ojciec mój, z włości królewskiéj Dom-Remi,
Ubogi wieśniak, pracą nieustanną
Uprawia z Bogiem własny kawał ziemi.
Tam ja z dzieciństwa pasąc jego trzody,
Słyszałam nieraz, jak opowiadali

O tych wyspiarzach, co przyszli z za wody,
I kraj nasz cichy mieczem najechali.
I jak ich nasza przyjęła stolica,
Jak król ich naszą okrył się koroną,
Jak królów naszych prawego dziedzica
Chcą wygnać z kraju:—To gdy mi mówiono,
Nieraz w skrytości padłszy na kolana,
I płacząc głośno, wołałam do Boga,
By nam obcego nie narzucał pana,
By nas uchronił od niewoli wroga.
A niedaleko od wrót naszéj wioski,
Stoi na wzgórzu niewielka kaplica,
A w niéj cudowny obraz Matki Boskiéj,
Gdzie trzykroć w roku, cała okolica
Idzie pielgrzymką i składa ofiary.
A tuż naprzeciw rośnie dąb sędziwy,
O którym różnie i młody i stary,
A wszyscy różne powiadają dziwy.
Pod cieniem jego, sama nie wiém czemu,
Tak mi swobodnie, tak rozkosznie było,
Że serce gwałtem ciągnęło ku niemu.
I ile razy czasem się zdarzyło
Stracić gdzie w górach jagnię albo owcę:
Jak skoro przyszłam spocząć w jego cieniu,
Wnet mi sen między najdziksze manowce,
Gdzie je mam znaleźć, wskazywał w widzeniu.
Jednego razu, gdy późno w noc ciemną,
Siedząc tak pod nim, marzyłam na jawie:
Bogarodzica stanęła przede mną—
Z chorągwią w ręku i z mieczem, lecz prawie

Z kształtu i stroju podobna pasterce,
I rzekła głosem, co mi poszedł w serce:
„Jam jest, Joanno!—powstań, rzuć swą trzodę!
„Pan cię upatrzył za narzędzie cudu!
„Sztandar ten wzniesiesz za kraju swobodę,
„Mieczem tym pomścisz krzywdy twego ludu;
„Pokonasz wrogów, i przez cię zbawioną,
„W Reims, króla swego uwieńczysz koroną!“—
Ja wszakże rzekłam: Cóż ja zdziałać mogę,
Słaba pasterka, bez sił do oręża?—
A Ona na to: „Uspokój tę trwogę!
„W czystości serca jest moc, co zwycięża
„Bramy piekielne.—Tę tylko przestrogę
„Pamiętaj: chroń się przed miłością męża!
„Zresztą miéj wiarę, i idź prostą drogą!—
„Wszak i ja byłam pasterką ubogą!“—
To rzekłszy, dłonią dotknęła mych oczu,
I kiedy za nią spójrzałam do góry,
Ujrzałam w Niebios błękitném przezroczu
Nieprzeliczone Serafinów chóry,
A każdy w ręku miał liliję białą,
A dziwne echo na powietrzu brzmiało.—
Noc w noc trzy razy, przed jutrzenką ranną,
Miałam toż samo Najświętszéj widzenie.
Zchodziła z Niebios, wołając: „Joanno!
„Idź! zbaw twój naród! spełń twe przeznaczenie!“—
Lecz gdy raz trzeci stanęła przy drzewie,
Wzrok jéj był groźny, i rzekła mi w gniewie:
„Wiedz, posłuszeństwo jest wyrok niewieści!
„Cierpieć tu musi i być sługą wszędzie.

„Ale się serce oczyszcza w boleści:
„Kto się tu korzy, tam podwyższon będzie!“—
I gdy ostatnie domawiała słowa,
Z ramion jéj spadło pasterskie odzienie,
I w całym blasku, jak Niebios Królowa
Stała przede mną:—błyskawic promienie
Skroń jéj wieńczyły;—i chociaż surowa,
Litośne ku mnie zwróciła wejrzenie,
I na złocistym wzniesiona obłoku,
W krainie chwały znikła memu oku.

(*Wszyscy mocno wzruszeni.* Agnieszka, *łkając, ukrywa twarz na piersiach króla*).

Arcybiskup (*po długiém milczeniu*).

Przed niepojętą wolą przeznaczenia,
Rozum się ludzki uniża i korzy.
Czyn jéj już dowiódł prawdy objawienia —
Zdziałać go przez nią mógł tylko duch Boży.

Król (*wznosząc oczy i ręce ku Niebu*).

Panie! jam grzesznik! jaż mogłem zasłużyć
Na dar tak wielki, co z Twéj ręki biorę?...
Uczże mię teraz, jak mam łask twych użyć!
Wszystkowidzący! ty znasz mą pokorę.

Joanna.

Pokora serca prowadzi do Boga,
Z wiarą w moc Jego, człek piekło przemoże.

Król.

A więc mi wróżysz, że zwyciężym wroga?

Joanna.

Francyą całą pod twe stopy złożę.

Król.

Orleans, mówisz, nie będzie stracony?

Joanna.

Loara piérwéj cofnie się do źródła.

Król.

I w Reims dostąpię mych przodków korony?

Joanna.

Przez tysiąc przeszkód, ja cię będę wiodła.

(*Wszyscy obecni Rycerze wstrząsają z łoskotem włócznie i tarcze, i okazują znaki zapału i odwagi*).

Dunois (*do* Króla).

Postaw Dziewicę wodzem wojsku twemu!
Wzrok jéj nam w trudach i bitew zapędzie,
Jak gwiazda Królom do Jeruzalemu,
Do Reims i zwycięztw przewodniczyć będzie.

La Hire.

Wróg nie zaufa mocy tego świata,
Gdy moc niebieską obaczy widomie.
Jéj zwierz twe wojsko! a trwoga skrzydlata
Uprzedzać będzie pogrom po pogromie.

(*Wszyscy Rycerze uderzają tarczę o tarczę, i postępują naprzód przed* Króla).

Król.

Tak jest! ty, Święta! ty wiedź wojska moje!
Książę i Rycerz niech twéj słucha woli!—

(biorąc w ręce miecz Konetabla).

Oto miecz, którym od wieków na boje
Hetmanił Frankom namiestnik ich króli.
Dziś go Konetabl odrzucił od siebie,
Odtąd, Natchniona! ty go dźwigaj w polu!
I niech się szerzéj rozsławi przez ciebie
Mocą niebieską!

JOANNA.

Nie! Panie i Królu!
Nie tém my ziemskiéj wielkości narzędziem,
Tak jak nie ziemską potęgą i siłą,
Lecz innym mieczem tryumfować będziem,
Jak mi widzenie ducha objawiło.

KRÓL.

Gdzież on jest?

JOANNA.

Poszlij do miasta Firboi!
Tam pod kościołem Świętéj Katarzyny,
Jest sklep, gdzie stosy oręża i zbroi
Leżą z lat dawnych;—tam jest ów jedyny
Miecz, w którym siła tajemna się mieści.
Poznać go łatwo, bo na rękojeści
Ma trzy lilije nabijane złotem.

KRÓL *(do* DU CHATELA).

Śpiesz! i niech goniec orlim pędzi lotem!

JOANNA.

Chorągiew także każ mi zrobić białą,
Z obrazem Niebios Królowéj w obłoku,
Z dzieckiem Jezusem;—a dziecię by miało
Świat w swojéj dłoni, a bóstwo we wzroku.
A całe Niebo aby się zdawało
Jak z głów Aniołów, skupionych w natłoku.
Bo taki obraz jaśniał na znamieniu,
Które Najświętsza trzymała w widzeniu.

KRÓL.

Wszystko się stanie.

JOANNA (*do* ARCYBISKUPA).

Teraz ty mnie, Ojcze!
Błogosławieństwo daj w imię Kościoła!
Dziewica, idę na dzieło zabójcze,
Litość wstrzymuje—lecz Powinność woła.
Ono w téj walce będzie duch mój wspierać.

(*Uklęka przed nim*.

ARCYBISKUP.

Córko! tyś przyszła dawać, nie odbierać
Błogosławieństwa!—W kim jest Pańska siła,
Nie potrzebuje pomocy grzeszników.

(*Kładzie rękę na jéj czole*. JOANNA *powstaje*).

PAŻ (*wchodzi*).

Herold przysłany z obozu Anglików
Chce wnijść.

JOANNA.

Niech wnijdzie! Bóg go tu przysyła.

(KRÓL *daje znak przyzwolenia;* PAŹ *odchodzi*).

SCENA XI.

CIŻ I HEROLD ANGIELSKI.

DU CHATEL.

Z czém i od kogo przychodzisz do króla?

HEROLD.

Mów, do hrabiego Ponthieu, Karola.—
Król wasz jest w naszym obozie.

DUNOIS.

Zuchwały!
Gdyby nie miejsce i nie szata gońca,
Sprośny twój język, jak żmiję w kawały.....

KRÓL *(przerywając).*

Przestań, Dunois!

(*do* HEROLDA).

Mów, czekamy końca.

HEROLD.

Wódz nasz, żałując krwi, co nadaremnie
Płynie i płynąć musi w Orleanie,
Nim da znak szturmu—raz jeszcze przeze mnie
W spokojne z tobą chce wejść pojednanie.

KRÓL.

On ze mną?

JOANNA (*występując*).

Królu! ja na miejscu twojém
Mówić z nim będę.

KRÓL.

Mów, natchniona z góry!
Mów, i rządź sama wojną i pokojem!

JOANNA (*do* HEROLDA).

Kto mówi przez cię?

HEROLD.

Wódz nasz, Salisbury.

JOANNA.

Kłamiesz, Heroldzie! bo tylko żyjący
Mówić przez żywych może, nie umarły.

HEROLD.

O! wódz nasz żyje! i zdrowiem kwitnący
Na zgubę waszą, jako olbrzym karły
Gromi swych wrogów.

JOANNA.

Żył, kiedyś odchodził.
Lecz Pan go dotknął—olbrzym w prochu leży.
Wystrzał go z miasta dziś rano ugodził,
Gdy je z swéj średniéj przepatrywał wieży.

Ty się uśmiéchasz, że ci oddalone
Rzeczy obwieszczam;—nie żądam twéj wiary.
Lecz wspomnij o mnie, gdy z pompą niesione
Spotkasz w obozie pogrzebowe mary!—
Teraz zdaj sprawę z polecenia twego.

HEROLD.

Jeśli tak wszystko przenikasz—bez tego
Wiedzieć je musisz.

JOANNA.

Nawet nie chcę wiedzieć!
Ale ty słuchaj, co ja mam powiedzieć!
Słuchaj! i w wiernéj rzecz powtórz osnowie
Tym, coć przysłali:—bo do nich to mówię.
Królu angielski! książęta Bedfordu
I Glocesteru! Bóg się upomina
Rachunku od was z naszéj krwi i mordu.
Bóg sąd swój zaczął:—bo przyszła godzina!
Przyszła Dziewica, któréj Pan poruczy
Moc swą nad wami!—Ona do was mówi:
Zrzeczcie się naszéj korony, i kluczy
Miast, i ziem naszych, i pokój ludowi
Naszemu dajcie—a idźcie w pokoju!
Albowiem biada, biada wam, wodzowie!
I ludom waszym biada! gdy do boju
Stanie Dziewica!—Bo ja to wam mówię:
Że Pan nie dla was Francyą przeznaczył,
Ani nas stworzył do wiecznéj niewoli!

(*wskazując na* KRÓLA).

Lecz on—on dziedzic, on wnuk naszych króli,
Co go Bóg w probach poznał i doświadczył,
On siądzie z chwałą na ojców stolicy!—
Idź, i te słowa odnieś twemu panu!
Lecz nim pośpieszysz—już sztandar Dziewicy
Powiewać będzie z murów Orleanu.

(*Odchodzi, za nią wszyscy.— Zasłona spada*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

(Okolica otoczona skałami).

SCENA I.

TALBOT i LIONEL, Wodzowie Angielscy. FILIP, Książę Burgundyi. FASTOLF, CHATILLON, z wojskiem i chorągwiami.

TALBOT.

Tu w skał tych cieniu stańmy, i warowny
Zatoczmy obóz;—azali nie zbierzem
Wojsk, które popłoch, jako wiatr gwałtowny,
Rozproszył wczoraj.
(*do* FASTOLFA).
Idź, osadź żołnierzem
Szczyt i wąwozy skał!—Choć w téj ustroni,
W téj ciemnéj nocy—jeśli chyba skrzydeł
Wróg mieć nie będzie—żartuję z pogoni:

Przecież ostrożność!—Strach nie zna wędzideł,
I lada powód, ima zwyciężonych.
(Fastolf *z żołnierzami odchodzi*).

Lionel.

Dość o tém, wodzu! Krew się pali we mnie
Słysząc to słowo.—Po tylu wsławionych
Zwycięztwach naszych, pierzchnąć tak nikczemnie!
O! Orleanie! Orleanie! w tobie
Grób chwały naszéj!—Lecz czyż przyszłe wieki
Uwierzyć zechcą? Kto wystawi sobie,
Aby zwycięzcy pod Azincourt, Crequi,
Pierzchli—i przed kim?—przed jedną niewiastą!—
Nie! musim zdobyć to przeklęte miasto!

Filip.

To nas niech cieszy, że nie ludzka siła,
Ale nas szatan przemógł z ludźmi w zmowie.

Talbot.

Tak! szatan głupstwa!—Czyżby i wodzowie
Dzielili wiarę, co gmin omamiła?—
Nie!—przesąd nadto jest błahą pokrywą
Tchórstwa wojsk twoich!—to bitwę przegrało.

Filip.

Popłoch był wszędzie.

Talbot.

Nie, nie! jako żywo!

AKT DRUGI.

(Okolica otoczona skałami).

SCENA I.

TALBOT i LIONEL, Wodzowie Angielscy. FILIP, Książę Burgundyi. FASTOLF, CHATILLON, z wojskiem i chorągwiami.

TALBOT.

Tu w skał tych cieniu stańmy, i warowny
Zatoczmy obóz;—azali nie zbierzem
Wojsk, które popłoch, jako wiatr gwałtowny,
Rozproszył wczoraj.
(*do* FASTOLFA).
Idź, osadź żołnierzem
Szczyt i wąwozy skał!—Choć w téj ustroni,
W téj ciemnéj nocy—jeśli chyba skrzydeł
Wróg mieć nie będzie—żartuję z pogoni:

Przecież ostrożność!—Strach nie zna wędzideł,
I lada powód, ima zwyciężonych.

(Fastolf *z żołnierzami odchodzi*).

Lionel.

Dość o tém, wodzu! Krew się pali we mnie
Słysząc to słowo.—Po tylu wsławionych
Zwycięztwach naszych, pierzchnąć tak nikczemnie!
O! Orleanie! Orleanie! w tobie
Grób chwały naszéj!—Lecz czyż przyszłe wieki
Uwierzyć zechcą? Kto wystawi sobie,
Aby zwyciężcy pod Azincourt, Crequi,
Pierzchli—i przed kim?—przed jedną niewiastą!—
Nie! musim zdobyć to przeklęte miasto!

Filip.

To nas niech cieszy, że nie ludzka siła,
Ale nas szatan przemógł z ludźmi w zmowie.

Talbot.

Tak! szatan głupstwa!—Czyżby i wodzowie
Dzielili wiarę, co gmin omamiła?—
Nie!—przesąd nadto jest błahą pokrywą
Tchórstwa wojsk twoich!—to bitwę przegrało.

Filip.

Popłoch był wszędzie.

Talbot.

Nie, nie! jako żywo!

Wojsko twe naprzód zgubny przykład dało.
Wpadliście do nas, wołając, że piekło,
Że sam Lucyper przeciw nam się wiąże.
To nas zmięszało.

LIONEL (*do* FILIPA).

Jużciż wyznaj, Książę!
Że skrzydło twoje najpiérwéj uciekło,

FILIP.

Bo na nie naprzód uderzyli wrogi.

TALBOT.

Wiedzieli dobrze kto im nie dostoi,
I drugim jeszcze da przyczynę trwogi.

FILIP.

Co? więc przegrana ma być z winy mojéj?

LIONEL.

Gdybyśmy swoje tylko wojska mieli,
Orleans naszéj nie widziałby klęski.

FILIP (*z goryczą*).

Tak! gdyż wybyście jego nie widzieli!—
Kto wam w głąb' kraju otwarł wstęp zwycięzki?
Kto zjednał serca Franków, i w Paryżu
Króla waszego osadził na tronie?—
Jako Bóg żywy! gdyby nie te dłonie
Wwiodły was tutaj: niktby z was w pobliżu
Nie widział dymu z francuzkich kominów!

LIONEL.

Gdyby dość było wielkich słów, nie czynów,
Burgund sam jeden byłby panem świata.

FILIP.

Boli was, widzę, Orleanu strata,
Lecz z czyjéj winy?—Gdy mieszkańcy chcieli
Mnie poddać miasto—kto z lichéj zawiści
Zerwał układy?

TALBOT.

Chciałżbyś, byśmy leli
Krew ludów naszych, dla twojéj korzyści?

FILIP.

Gdybymże odszedł—coby z wami było?

LIONEL.

O! nic gorszego jak pod Azinkurem!
Gdzie wojsko nasze samo poradziło
Z całém francuzko-burgundzkiém—nad którém
Tyś sam przewodził.

FILIP.

Jednak me przymierze
Snać wam potrzebne było, gdy mi za nie,
Rejent wasz tyle poświęcił w ofierze.

TALBOT.

Ha! nawet naszą cześć przy Orleanie!

Filip (*wybuchając*).

To już za wiele! Lordzie! to za wiele!
Rozmowa taka—zostanie pamiętną.—
Na tożem rzucił swoich, i na czele
Mém nieskażoném wyrył zdrady piętno:
By mi wróg w obec urągać mógł śmiele,
A jam to znosił duszą obojętną?...—
Nie, nie! Lordowie!—toć gdy los przeznaczył,
Bym zawsze tylko służył niewdzięcznemu;
Toć lepiéj żeby brat bratu przebaczył,
Bym wrócił służyć królowi mojemu.

Tałlot.

O! rzecz nie nową powiadasz nam, Książę!
Wiémy żeś zaczął z La Hirem układy,
Że skryty spisek przeciw nam się wiąże:—
Lecz mamy sposób ustrzedz się od zdrady.

Filip.

Ha! śmierć i piekło!—Idź, śpiesz, Chatillonie!
Dziś jeszcze idziem ku naszéj granicy.
Każ zwijać obóz!—Niech ludzie i konie
Stają do szyku!—Żegnam was, Anglicy!
(Chatillon *odchodzi*).

Lionel.

Szczęśliwa droga!—Nigdy miecz Anglików
Nie słynął szerzéj, jak kiedy w potrzebie,
Bez pomocników i bez przewodników,
Sami w swéj sprawie walczyli za siebie.

Bo na co kłamać zgodę przyjacielską,
Gdy nas wstręt wieczny rozdziela, jak morze?
Gdy czujem, że krew francuzka z angielską,
Z ran chyba w bitwach połączyć się może?—

SCENA II.

CIŻ I KRÓLOWA IZABELLA.

IZABELLA.

Cóż to ja słyszę? co za wpływ złowrogi
Gwiazdy nieszczęsnéj pomięszał wam zmysły?—
Toż czas do swarów? gdy zwycięzkie wrogi
Jak grom spaść mogą na nas: a od ścisłéj
Jedności waszéj, śród powszechnéj trwogi,
Jedyne wojska nadzieje zawisły?...

(*do* FILIPA).

Nie! książę! cofnij porywcze rozkazy!
A ty, Talbocie! nie wstydź się przebłagać
Gniew przyjaciela!

(*do* LIONELA).

Pójdź mi dopomagać,
Przywrócić zgodę i zatrzeć urazy!

LIONEL.

Ja?—nie! Milady!—mnie to obojętnie,
Czy się to zgodą, czy niezgodą skończy.
Owszem, co z sobą trzyma się niechętnie,
Najlepiéj zrobi, kiedy się rozłączy.

Izabella.

Ha! teraz widzę, że piekielne czary,
Jak w bitwie na nas, i tu się sprzysięgły.—
Kto wszczął najpiérwszy te szalone swary?
Zkąd się te żmije w sercach wam wylęgły? —

(*do* Talbota).

Tyżbyś to, wodzu! niepomny korzyści,
Co kraj twój jego powinien przymierzu,
Chciał wzniecać iskrę dawnéj nienawiści,
I serce Franka oburzał w Rycerzu?—
Lecz cóż poczniecie bez jego ramienia?—
On tron wasz dźwignął—i on w każdéj porze,
Samą potęgą swojego imienia,
Byleby zechciał, obalić go może.
Albowiem wiedzcie! niech Anglia cała
Falami morza na Francyą biegnie:
Francya zgodna, dostoi jak skała,
I sama siebie chyba w jarzmo zegnie.

Talbot.

Któżby prawdziwéj nie cenił przyjaźni?
Lecz przed fałszywą strzedz się rozum każe.

Filip.

Temu, w kim wdzięczność dumę tylko drażni,
Nie trudno kłamać bezwstydne potwarze.

Izabella.

Co? książę! tyżbyś twój rozum i serce
Mógł tak poniżyć? tak zbyć uczuć syna?

Byś ojca twego uściskał mordercę,
Byś się powierzył przyjaźni Delfina?—
Aza ci, myślisz, przebaczy w swéj dumie,
Żeś go był wtrącił i dźwignął z przepaści?
Aza nie będzie obmyślał, jak umie,
By ci na przyszłość uszczuplić téj właści?—
Nie, nie! Filipie! bądź księciem i synem,
A będziesz wyższym od obrazy lichéj!

Filip.

Nigdym nie myślał o zgodzie z Delfinem,
Ale nie ścierpię cudzoziemców pychy.

Izabella.

O! pójdź! zapomnij niebacznego słowa!
Wczorajsza klęska serce wodza boli,
A gorycz myśli łatwo zdradzi mowa;
Niesprawiedliwym być łatwo w niedoli.—
Ale dość o tém!—czas zgasić w iskierce
Zgubny ów pożar, nim go wiatr rozdmucha.

Talbot.

Co mówisz? książę!—Gdzie jest prawe serce,
Tam rozum chętnie zdrowéj rady słucha.—
Królowa mądrze dla nas obu radzi.

(*podając rękę*).

A więc masz! zgoda zależy od ciebie.
Uznanie błędu niechaj błąd zagładzi,

Filip (*podając dłoń wzajem*).

Niech i tak będzie!—ulegam potrzebie.

Izabella.

Zgoda! wodzowie! i niech uścisk bratni
Świętszém niż dotąd spoi was ogniwem,
By spór ten zgubny był odtąd ostatni!

(Filip i Talbot *ściskają się*).

Lionel (*patrząc na nich; na stronie*).

Nietrwała zgoda za Furyi wpływem!

Izabella.

Los bitwy wprawdzie ostał się przy wrogu,
Lecz niech nas męzka pokrzepi otucha!
Naprożno Delfin, nieufny snać w Bogu,
Przyzywa w pomoc przeklętego ducha.
Straci swą duszę, jak swój kraj i władzę.—
Niewiasta stoi na wojsk jego czele;
Chcecie?– ja wasze wojska poprowadzę,
I wzorem lepiéj, niż czarem ośmielę.

Lionel.

O! nie, nie! raczéj wracaj do Paryża!
Anglik w broń ufa, nie w sztuki niewieście.

Talbot.

Tak, wracaj!—W wojsku przesąd się rozszérza,
Że nam twa bytność przyniosła nieszczęście.

Filip.

Widok twój tutaj osłabia żołnierza,
I dla cię saméj przyzwoiciéj w mieście.

Izabella (*patrząc na nich z podziwieniem*).

Cóż się to znaczy? Co te słowa wróżą?
I ty, Burgundzie! przeciw mnie, jak oni?

Filip.

Tak! żołnierz nie śmie ufać w pomoc Bożą,
Póki rozumie, że twéj sprawy broni.

Izabella.

Czyście szaleni?—Ledwom między wami
Zgodę zawarła—łączycie się na mnie.

Talbot.

Jedź pani z Bogiem! Gdy zostaniem sami,
Czarta się lękać nie będziem przynamnie.

Izabella.

Czyliż nie jestem przyjaciółką waszą?
Czyż sprawa wasza nie jest także moją?

Talbot.

Tak!—ale sprawa twoja nie jest naszą!—
My toczym wojnę za ojczyznę swoją.

Filip.

Ojciec mój poległ z naprawy Delfina,
Synowska czułość moję zemstę budzi.

Talbot.

Lecz twoja, Pani! zawziętość na syna,
Obraża Boga i oburza ludzi.

Izabella.

Syna?—przeklęty niech będzie na wieki!
On śmiał mię sądzić!

Filip.

Mścił się ojca swego.

Izabella.

On mię potępił! wygnał w kraj daleki!

Talbot

Prawo i naród domagał się tego.

Izabella.

Ha! teraz skutku przekleństw mych doświadczy!
I niżbym miała wyrzec przebaczenie,
Niżby miał posiąść tron swych ojców!—raczéj..

Lionel *(przerywając)*.

Wolisz poświęcić swą cześć i zbawienie!

Izabella.

Wy, słabe dusze! wy czuć nie możecie
Co jest za siła w matki nienawiści!—
Co mi cześć świata?—Mój cel na tym świecie,
Jest: niech się nad nim zemsta moja ziści!

Lecz wy—wy drudzy, co go wojujecie!
Co, prócz łakomstwa, dumy i zawiści,
Dało wam oręż przeciw mego syna?—
Zkąd prawo wasze? W czém jest jego wina
Przeciw bądźkomu, prócz mnie?—Obłudnicy!
Chcecie świat mamić słowy barwionemi.
Lecz czyż świat nie wié, że jak rozbójnicy
Przyszliście dzielić łupy cudzéj ziemi,
Lać krew dla zysku?—Ha! a tenże książę,
Co sobie imię Dobrego wyłamał!
Z wrogiem na własną ojczyznę się wiąże,
Ziomkom, królowi, Bogu wiarę złamał,
Przez co?—Przez zemstę?—Nieprawda!—Przez chci-
[wość,
Przez zazdrość tylko!—A słuchać was przecie:
Co trzecie słowo w ustach Sprawiedliwość,
Choć czyn wasz każdy woła, że kłamiecie!—
Ja—ja przynajmniéj obłudą się brzydzę,
I gardzę wami!—Lubię wolność moję.
Mam krew, mam serce; kocham, nienawidzę—
Lecz jaką jestem, wyznać się nie boję.

TALBOT.

Téj sławy, Pani! nikt ci nie zaprzeczy.

IZABELLA.

I nie przed wami będę się tłómaczyć!
Uczucie dla was, jest słowem bez rzeczy.—
Żegnam was!—oby nigdy nie zobaczyć!—

(Odchodzi).

SCENA III.

TALBOT, FILIP, LIONEL.

TALBOT (*patrząc za odchodzącą*).

To mi niewiasta!

LIONEL.

A teraz, czas drogi!
Radźcie, co czynić, co przedsięwziąć mamy?
Cofać się?—czyli ochłonąwszy z trwogi,
Iść wstecz, wczorajszéj powetować plamy?

FILIP.

Nadtośmy słabi, popłoch nazbyt świeży!

TALBOT.

Popłoch ten powstał z płonnéj wyobraźni;
Lecz niech się z widmem oko w oko zmierzy,
Żołnierz przesądnéj wnet zbędzie bojaźni.
Moja więc rada—dodawszy odwagi,
Zgromadzić wojsko, i wieść do rozprawy.

FILIP.

Rozważcie tylko! —

LIONEL.

Co tu do rozwagi?
Gdy trzeba umrzeć, lub pomścić niesławy.

TALBOT.

Tak jest—stanęło!—Z piérwszych kurów pianiem
Wrócim za rzekę, na spotkanie wroga.
Ja sam najpiérwszy, z tém widmem szataniém
Zmierzyć się muszę;—i z pomocą Boga,
Czy się mnie czekać odważy szalona:
Ufam, że skończy swe gusła i czary;
Czy pierzchać będzie: wojsko się przekona
Jak zabobonnéj ulękło się mary.

LIONEL.

Nie, nie!—mnie, wodzu! zostaw bój ten łatwy!
A ja ci ręczę—bez dobycia broni,
W obec wojsk obu, ten postrach dla dziatwy,
Jak lalkę, żywcem uniosę w méj dłoni.

FILIP.

Wieleś obiecał!

TALBOT.

Ze mną pojedynek.
Nie tak łagodne wróży jéj uściski.—
Lecz czas, wodzowie! czas pójść na spoczynek!
O świcie w drogę—a świt już jest bliski.

(Odchodzą).

SCENA IV.

(JOANNA z chorągwią i z mieczem w ręku, w hełmie i pancerzu, z resztą po niewieściemu ubrana. DUNOIS, LA HIRE,

RYCERZE i wojsko, ukazują się na wierzchołku skał; zstępują zwolna i coraz przybywają na scenę).

JOANNA.

(*do Rycerzy, którzy ją otaczają*).

Skały przebyte! — tu są ich obozy.
Na nic nam teraz noc i tajemnica!
Niech z trąb i z piersi, głos śmierci i zgrozy
Zbudzi ich! — Hasłem, jest: Bóg i Dziewica!

WSZYSCY (*uderzając mieczami o tarcze*).

Bóg i Dziewica!

(*Trąby i kotły*).

STRAŻE (*za sceną*).

Do broni! do broni!

JOANNA.

A teraz ognia! zapalić namioty!
Przy blasku łuny, gdy ich strach rozgoni,
Wpadną nam oślep na miecze i groty.
Za mną!

DUNOIS (*zatrzymując ją*).

Joanno! uczyniłaś swoje!
Przewiodłaś wojsko niedeptanym szlakiem.
Nam teraz zostaw krwawe kończyć boje.

LA HIRE.

Przodkuj przed nami ze zwycięztwa znakiem,
Lecz nie bierz sama zabójczego miecza!

Los wojny ślepy i modłów nie słucha.
Dość nas, gdzie siła wystarczy człowiecza.

JOANNA.

Kto mi śmie radzić? kto wstrzymywać ducha,
Co mnie prowadzi?—W nim wasze zwycięztwo!
Strzała tam leci, gdzie ją wypuszczono:
Ja tam iść muszę, gdzie niebezpieczeństwo!—
Nie tu, nie dziś mi zginąć przeznaczono!
Póki wróg w kraju, a król nie na tronie,
Ten, co mię posłał, walczy w méj obronie.

(*Odchodzi; za nią Rycerze i wojsko*).

LA HIRE (*odchodząc, do* DUNOIS).

Dunois! bądźmy blizko ku odsieczy
I puklerz dla niéj złóżmy z naszych mieczy.

SCENA V.

ANGIELSCY ŻOŁNIERZE (uciekają przez scenę), potém TALBOT.

ŻOŁNIERZ PIÉRWSZY.

Śmierć, śmierć nam wszystkim! Dziewica w obozie!

ŻOŁNIERZ DRUGI.

To niepodobna!—Śród skał? o téj porze?...

ŻOŁNIERZ TRZECI.

Z obłoków spadła na ognistym wozie.

Żołnierz Piérwszy.

Nie walczyć z djabłem!

Inni Żołnierze (*wbiegają krzycząc*).

Ratuj się, kto może!

(*Wszyscy uciekają*).

Talbot (*wbiegając z mieczem w ręku*).

Stójcie!—Nie słyszą!—Strach pozbył wędzidła.
Stargany urok czci i posłuszeństwa!
Jak gdyby piekło swe wszystkie straszydła
Rzuciło w pogoń: jeden wir szaleństwa
Ogarnął wszystkich;—mężny i nikczemny
Pierzcha zarówno;—z nizkąd do oręża
Garstki nie zebrać;—głos wodzów daremny.
Wróg bez oporu pali i zwycięża!—
Jaż tylko jeden pomiędzy wszystkimi
Zdrowe mam zmysły? Mnież jednego pali
Wstyd za ich wszystkich?—Uciekać przed tymi,
Cośmy w dwudziestu bitwach pokonali!...
I któż jest ona? nietknięta żelazem,
Niezwyciężona! na czyj wzrok Gorgony,
Najśmielsi nasi kamienieją głazem,
A lwią odwagą tchnie Frank ośmielony?—
Kuglarkaż cudów kłamanych obrazem
Wydrze mi z ręku tylu zwycięztw plony?
Moc bohaterów złamie czarownica?..

Żołnierz (*wpadając zadyszany*).

Dziewica!— Wodzu! ratuj się! Dziewica!

Talbot (*przebija go*).

Ha! nikczemniku! masz za twą przestrogę!

(*wstrząsając mieczem do góry*).

I śmierć każdemu, co roznosi trwogę!

(*Odchodzi*).

SCENA IV.

Teatr wystawia rozległy widok; widać obóz angielski w płomieniach.—Głos trąb—ucieczka i pogoń.

Montgomery (*wbiega z przestrachem*).

Gdzież się udam? nieszczęsny! jak ujdę pogoni?
Tu wódz zapamiętały, z krwawym mieczem w dłoni,
Grozi swoim, i gwałtem zwraca na miecz wroga
Tam Ona! Niepożyta, jak mór i pożoga,
Szerzy śmierć!—O! ja nędzny! o! na cóż mi było
Iść za burzliwe morze!—Serce mię łudziło
Nadzieją łatwéj sławy na francuzkiéj wojnie.
A teraz!—O! czemużem nie został spokojnie
W domu moim rodzinnym! gdzie mię matka tkliwa
Płacząc zatrzymać chciała; gdzie mię próżno wzywa
Marya moja!...

Joanna (*ukazuje się w oddaleniu*).

Przebóg! to ona!—Z płomieni,

Na tle czerwonéj łuny, wznosi się śród cieni,
Jak z gorejących piekieł czarne widmo nocy!—
Zajrzała mię!—w méj duszy czuję wzrok jéj mocy.
Biada mi!—Nogi moje w pętach jéj uroku
Wikłają się i mdleją; wzrok mój w jéj widoku
Utkwił zaczarowany.—O! straszne katusze!
Bać się śmierci, i wiedzieć, że ją ponieść muszę!—

(Joanna *postępuje nieco ku niemu i zatrzymuje się*).

Zbliża się!—Precz odemnie nieszczęśliwa broni!
Miecz mój jéj nie pożyje, tarcz mię nie zasłoni;
Moc piekieł walczy przez nią!—Lecz przecież ma du-
[szę,
Jest niewiastą:—w jéj sercu może litość wzruszę.

(Rzuca na ziemię miecz i tarczę i chce iść na spotkanie. Joanna *szybko zbliża się ku niemu).*

SCENA VII.

JOANNA, MONTGOMERY.

Joanna.

Zginąłeś! krew angielska w żyłach twoich płynie.

Montgomery (*padając na kolana*).

Wstrzymaj się!—jam bezbronny!—u nóg twych jedy-
[nie
Chcę błagać ocalenia.—Widzisz młodość moję,
Ulituj się!—Raz piérwszy wyszedłem na boje,
Czcza chwała mię uwiodła.—Przebacz méj młodości!

Weź mię jeńcem!—Mój ojciec, pan bogatych włości,
W pięknym Walii kraju, nad brzegiem Sawerny,
Da złota ile zechcesz, da okup niezmierny,
Gdy się dowié, że żywy uszedłem pogromu.—
Jam syn jego jedyny, ostatni szczep domu!

JOANNA.

Nieszczęsny! zły twój Anioł dał cię w moje ręce!
Prędzéjbyś w krokodyléj ocalał paszczęce,
W szponach tygrysich; litość wyżebrał u lwicy,
Dzieci jéj wprzód zabiwszy!—Lecz kto miecz Dziewicy
Ujrzał—ten zginąć musi.—Próżna twa otucha!
Jam nie jest z tego świata;—wyższa wola ducha
Rządzi mną, nieugięta;—nie może ujść żywy,
Kogo mi raz w moc poda wojny Bóg straszliwy.

MONTGOMERY.

Dzika jest mowa twoja—lecz słodycz oblicza
Pociąga mię ku tobie; piękność twa dziewicza
Nie wróży okrucieństwa.—Przez litość płci twojéj,
Zbaw mię, miej miłosierdzie!

JOANNA.

Nie wzywaj płci mojéj,
Nie myśl, żem jest niewiastą!—Jam jest duch bez ciała.
Ślepe narzędzie woli, co mi iść kazała
Krew przelewać na ziemi.—Żadna płeć nie moją!—
Gotuj się umrzeć!—serca nie ma pod tą zbroją.

MONTGOMERY.

O! przez świętéj miłości wszechmogące prawo,
Które Bóg wlał w nas wszystkich—cofnij dłoń twą [krwawą!
Jam zaręczony w kraju!—W piérwszéj wiośnie życia,
Piękna, jak ty, Anielska! mojego przybycia
Czeka w domu kochanka.—O! jeśliś już może
Doznała co jest miłość; jeżeli, jak wróżę,
Pragniesz szczęścia przez miłość:—nie rozdzielaj srogo
Dwójga serc, co bez siebie wzajem żyć nie mogą!

JOANNA.

Obcych mi wzywasz bożyszcz, których ja świętości
Nie znam, ani potęgi.—Nie w imię miłości
Ubłagasz mię;—jéj ogień byłby zbrodnią we mnie.—
Walcz jak mąż, i umieraj!—bo żebrzesz daremnie.

MONTGOMERY.

A więc w imię rodziców! zlituj się nad memi!
W opustoszałym domu, laty sędziwemi
Schyleni, tęsknią po mnie.—Ach! tyś sama pewnie
Zostawiła rodziców, co cię płaczą rzewnie.

JOANNA.

Nieszczęsny! przypomniałeś, ile u nas matek
Pozostało bez dzieci; ile małych dziatek
Sierotami bez ojców; ile wdów strapionych,
Ile łez nieotartych i serc zakrwawionych
Miecz wasz u nas uczynił!—Ha! teraz doświadczą

Żony wasze i matki, z jaką my rozpaczą
Płakałyśmy nad krajem i braćmi naszemi!

MONTGOMERY.

O! jak ciężko umierać nie na swojéj ziemi!

JOANNA.

Któż was wezwał na cudzą? by jéj bujne łany
Kopytami tratować? by pod dach słomiany
Nizkiéj chaty rolnika, i w zamożne grody
Nieść ogień i żelazo? i z naszéj swobody
Urągać się? i swoich narzucać nam króli?—
Myśléliście, zuchwali! że jarzmo niewoli
Zegnie nas i poniży; że kraj dawnéj sławy,
Przywiążecie jak łódkę do swéj hardéj nawy!
Nie wiedzieliście, głupi! że nasz herb królewski
Tkwi u stóp tronu Boga; że wprzód sklep niebieski
Z gwiazd wam obrać, niżeli jeden zagon żyzny,
Jedną wioskę od naszéj oderwać ojczyzny!—
Ale przyszedł dzień zemsty!—Żaden z was przez
[wodę
Wielkiego morza— które, jak wieczną przegrodę
Bóg między nas położył, a wyście złamali—
Żaden żywy nie wróci!— Broń się! muszę daléj.

MONTGOMERY.

Teraz czuję że umrę;—błagać cię daremnie!

JOANNA *(łagodnie)*.

Tak! lecz umrzyj jak rycerz! Po co drżeć nikczemnie
Przed śmiercią, przed konieczną?—Los nasz w ręku
[Boga.

Patrz na mnie! któż ja jestem? Pasterka uboga,
Słaba dziewica;—dłoń ma nienawykła broni.
Przecież z cichego domu, z samotnéj ustroni
Wyrwana—z łona ojca, z sióstr kochanych grona,
Muszę tutaj—nie swoją wolą prowadzona,
Wam na zgubę, i sobie nie na radość—muszę,
Być jak widmem postrachu; zatwardzić mą duszę,
Brodzić we krwi, i w końcu nie ujść śmierci grotu.
Bo nie błyśnie i dla mnie miły dzień powrótu
Do méj strzechy rodzinnéj!—Wiele jeszcze, wiele,
Wdów na mnie płakać będzie; wielu z was uś ielę
Łoże w zimnéj mogile:—lecz i mnie dosięże
Dłoń mego przeznaczenia.—Bierz więc swe oręże,
Broń się! walcz!—Nie unikniesz, co ci Bóg przeznacza.
Lecz biada nędznikowi, co drży i rozpacza!—

MONTGOMERY *(porywając się z ziemi)*.

Ha! gdyś i ty śmiertelna, gdy cię dłoń człowiecza
Dosiądz może:—obaczym, czy dla mego miecza
Bóg nie przeznaczył chwały posłać cię do piekła!—
Ja teraz pragnę boju!—ja, Furyo wściekła!
Ja! i Bóg mi jest wsparciem!—W Nim moja otucha!—
Ty broń się, i zwij w pomoc piekielnego ducha!

(Porywa miecz i tarczę. Walczą.—Montgomery upada).

SCENA VIII.

JOANNA *(sama)*.

Stało się! Przeznaczenie, nie jam go zabiła!

(Oddala się od niego i stoi w zamyśleniu. Po pauzie).

Duchu! jakżeś ty straszny! jak twa dziwna siła
Potężnie działa we mnie!—W dłoni méj, tyś męztwo;
W sumieniu, tyś powinność; w sercu, okrucieństwo!—
Dusza płacze z litości—dłoń drży, jakby miała
Burzyć ołtarz w świątyni: gdy ze krwi i z ciała
Stanie przed nią przeciwnik: a wiém, że upadnie,
Że krew lunie mu z piersi, że twarz śmiercią zbladnie!—
Sam błysk miecza mię trwoży, jak łyskanie nieba,
Poprzednicze piorunu;—a jednak, gdy trzeba,
Czuję w sobie moc cudzą, i w méj dłoni drżącéj,
Miecz zabija sam przez się, jakby duch żyjący.

SCENA IX.

JOANNA I RYCERZ (ze spuszczoną przyłbicą).

RYCERZ.

Ha! tużeś wreście, posłanko szatana!
Tu kres twych guseł, i próżna ich siła!
Broń się, przeklęta! i do swego pana
Idź po zapłatę, za złe, coś zbroiła.

JOANNA.

Szaleńcze! na śmierć idziesz w moje ręce.—
Lecz tyś nie Anglik! tyś syn naszéj ziemi!
Burgundzkie barwy i herby książęce!...
Ostrz mego miecza schyla się przed niemi.

RYCERZ.

Ty mi pochlebiasz, piekielna Megero!
Broń się!—Choć czuję, że za twe zaklęcia,

Umrzeć ci raczéj pod kata siekierą,
A nie pod mieczem Burgundzkiego księcia.

JOANNA.

Tyś więc ów książę?

RYCERZ (*podnosząc przyłbicę*).

Jam jest, na twą zgubę.—
Gmin dotąd pierzchał przed twoim orężem,
Lecz nie mnie zwiodą twoje kłamstwa grube—
Mąż jest przed tobą!

SCENA X.

CIŻ, DUNOIS I LA HIRE (wpadając nagle).

DUNOIS.

Mąż niech walczy z mężem,
Nie z niewiastami!

LA HIRE.

Nim świętéj Dziewicy
Skroni dosięgniesz, nas wprzód zabić trzeba.

FILIP.

Nie ja się zlęknę guseł czarownicy.
Ni was, co dla niéj zrzekliście się Nieba! —
Lecz wstyd ci wieczny, synu Orleana!
Wstyd ci, La Hirze! że swój miecz zwycięzki
Czynicie tarczą sprośnych sztuk szatana,
A z siebie giermków wiedmy czarnoksięzkiéj!

Pogardzam wami, i czekam.—Do broni!
Z kim Bóg, ten w czarta nie będzie jassyrze.

(*Wszyscy gotują się do walki.* JOANNA *staje w pośrodku*).

JOANNA.

Stójcie!

FILIP.

Ha! nędzna! strach ci mojéj dłoni!

(*naciera na* DUNOIS)

Broń się, bo zginiesz!

JOANNA.

Rozłącz ich, La Hirze!
Dość już z obu stron bratniéj krwi przelano,
Dość!—lecz nie oręż tę walkę rozstrzygnie.
Inaczéj o tém w gwiazdach napisano!
I biada temu, kto go piérwszy dźwignie!
Kto nie uwierzy, i kto nie usłucha
Z ust moich głosu wszechmocnego ducha!

DUNOIS.

Po co wstrzymujesz cios mój sprawiedliwy?
Krew niechaj zdrajcy wstyd Francyi zmaże!

JOANNA

(*rozłączając ich, staje znowu w pośrodku*).

Złóżcie broń! mówię,—Bóg, Pan litościwy,
Nie chce krwi waszéj—mnie z nim mówić każe.

(*do* Filipa).

Co chcesz? Filipie! zważ, i przeciw komu
Stoisz z orężem w bratobójczéj dłoni?—
On, jak ty, książę francuzkiego domu,
On jest twój ziomek, i towarzysz broni!
Jam téż nie obca—córka jednéj ziemi.
Wszyscy, na których następujesz głowę,
Twoi są.—Powróć, stań pomiędzy niemi,
A poznasz wszystkich!—Serca ich gotowe
Kochać cię; ręce uściskać; kolana
Zgiąć się przed tobą;—bo nawet w potrzebie,
Święta nam w tobie krew naszego Pana,
Oręż nasz ostrza mieć nie śmie dla ciebie!—
O! pójdź! wróć do nas!—Czyż dla cię bez ceny
Są cześć i miłość—serc najdroższe dary?—

Filip.

Dość, dość, obłudna! Śpiew zdradnéj Syreny
Insze w głąb piekła niech wabi ofiary!
Mnie nie ułudzą szatańskie mamidła,
Przezorny rozum zatkał moje uszy;
I oczu twoich zalotnicze sidła,
Jak z gładkiéj zbroi, zemkną się z méj duszy!—
Teraz my z sobą!—Dunois! do broni!
Mąż z mężem walczy żelazem, nie słowy.

Dunois.

Złą snać ma sprawę, kto się prawdy chroni.
Wysłuchaj piérwéj!—Jam zawsze gotowy.

JOANNA.

Patrz wkoło, Książę! i sądź, czy nas trwoga,
Czy nas potrzeba u stóp twoich zgina?
Jedném płomieniem gore obóz wroga,
Trupem się jego zasłała równina;
Głos trąb wojenych, jako piorun Boga.
Rozprasza resztę:—naszą jest godzina!
Jako zwycięzcy, sławą i weselem
Chcemy się z dawnym dzielić przyjacielem.—
O! wracaj do nas! Dość mściwéj niechęci!
Z nami jest słuszność i błogosławieństwo.
Wy nie widzicie—lecz Duchowie święci
Walczą za nami!—Bóg nam dał zwycięztwo!
Bóg ci przezemnie swą wolę ogłasza,
Przezemnie'é Jego chce dźwignąć prawica.—
Jako ten nasz sztandar, biała sprawa nasza;
Godłem i hasłem jéj—Bóg i Dziewica!

FILIP *(na stronie)*.

Umiem znać kłamstwa mamiące wykręty,
Ale jéj mowa prosta jest jak dziecka!—
Czyżby i pozór niewinności święty
Wykłamać mogła piekieł moc zdradziecka?—
Nie słucham więcéj!—Dunois! do broni!
Ucho me, czuję, jest słabsze od dłoni.

JOANNA.

Zwiesz mię szatanką! Szatańskież to dzieło,
Rozbrajać zemstę, koić serc trucizny?

Piekłoż chce zgody? Onoż mię natchnęło
Żądzą pokoju, miłością ojczyzny?—
Lub się więc zmienił porządek natury,
Że dobrą sprawę wspierać muszą piekła:
Albo—jeżeli jest prawdą, com rzekła,—
Zkąd me natchnienie, jeżeli nie z góry?
Kto zstąpił ku mnie, ku biednéj pasterce,
I męztwo w piersiach dziewicy rozniecił?
Nadludzki zamiar tchnął w dziecinne serce,
I duszę światłem nadziemskiém oświecił?—
Jam nie wzrastała przed królów obliczem,
Obca mym ustom sztuka słów mamiąca;
Przecież gdy trzeba—gdy tchem tajemniczym
Duch mię owionie:—jakby w blasku słońca
Widzę przed sobą cały świat widomy,
Wiém wszystkie rzeczy:—czuję mimowoli
Przeszłość i przyszłość narodów i króli—
A słowa moje wstrząsają jak gromy.

Filip.

Co mi się dzieje? co za dziwna zmiana!
Moc-że to czarów to wzruszenie budzi?—
Nie!—ta mię postać, ten mię wzrok nie łudzi!
Serce mi mówi:—Tyś z Nieba zesłana!

Joanną.

On już wzruszony! stało się! wzruszony!—
Twoja w tém, Panie! a nie moja siła!—

Chmura się gniewu we łzy roztopiła,
Pogodą serca świeci wzrok natchniony!—
Precz z tym orężem!—łączmy łzy ze łzami!
On płacze!— Boże! dzięki Ci!— On z nami!

(*Miecz i chorągiew wypadają z jéj dłoni; bieży do Księcia i ściska go.* Dunois *i* Lą Hire *rzucają również miecze, i śpieszą uściskać Księcia*).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

(*Obóz królewski w Chalons nad Marną*).

SCENA I.

DUNOIS, LA HIRE.

DUNOIS.

Jesteśmy bracia, towarzysze broni:
Tyleśmy razem wspólnéj krwi przeleli,
Nierozerwani w złéj i dobréj toni —
Nas-że dziś miłość kobiéty rozdzieli?

LA HIRE.

Posłuchaj, Książę!

DUNOIS.

Wiém, kochasz Dziewicę,
Idziesz twą miłość objawić królowi,
Prosić go o nię.—Król ci nie odmówi;

Król zna twą wierność, twą dzielną prawicę.
Lecz ja—wiedz o tém!—wprzód niźli ją cudzą
Ujrzę, La Hirze!...

La Hire.

Wysłuchaj mię, Książę!

Dunois.

Nie wdzięki lica oczy moje łudzą,
Nie płochy urok serce moje wiąże.
Serce to w bojach zdziczałe od młodu,
Ze strzał miłości urąga pod zbroją.
Lecz ta cudowna zbawczyni narodu,
Ta bohaterka — ta być musi moją!
Przysiągłem sobie przed obliczem Nieba.
Bo siłę tylko zdoła pojąć siła;
A w duszy mojéj czuję, że jéj trzeba
Współczucia drugiéj—coby równą była.

La Hire.

Któżby twych zasług był tak nieświadomy,
Iżby śmiał z tobą stawać do zawodu? —
Ale zważ, Książę! czy stan jéj poziomy
Godzien jest twego imienia i rodu?

Dunois.

Mojego rodu? Ona jest dziecięciem
Boskiéj natury, śród ziemskich padołów!
Onażby równać nie śmiała się z księciem,
Oblubienica niebieskich Aniołów?

Którą nad wszystkie ziemskich koron blaski,
Otacza jaśniéj święty promień Łaski;
Co wszelką wielkość, wszelką jasność ziemi,
Widzi poziomą pod stopami swemi?—
O! tam, gdzie ona, na niedoścignionéj
Swéj wysokości, świeci śród gwiazd koła,
Tam—weź za szczeble wszystkie świata trony,
Dójść nie potrafisz—bez skrzydeł Anioła!

La Hire.

Król więc rozstrzygnie.

Dunois.

Nie! jéj własna wola.—
Ona, co wolność wróciła krajowi,
O losie swoim niech sama stanowi!—

SCENA II.

CIŻ, KRÓL, ARCYBISKUP, AGNIESZKA SOREL, DU CHATEL, CHATILLON.

Król (*do Chatillona*).

Sam więc przybędzie uznać mię za króla?
Hołd mi swój złożyć?

Chatillon.

Dziś jeszcze tu stanie.
Wysłał mię przodem, ażebym ci, Panie!
Niósł jego lenną cześć i pozdrowienie.

AGNIESZKA.

O! piękne słońce dnia! co nam przynosi
Pokój i zgodę, i krzywd przebaczenie!

CHATILLON.

Dwiestu rycerzy składa orszak księcia,
Z nimi przed tobą kolano uniży.
Rozumie jednak, że gdy się już zbliży,
Ty jak brat brata przyjmiesz go w objęcia.

KRÓL.

Niczego w życiu nie pragnę goręcéj.

CHATILLON.

Książę też prosi, by o tém, co było,
Teraz i nigdy nie wspominać więcéj.

KRÓL.

Serce mu moje wszystko przebaczyło.

CHATILLON.

Przebaczyć równie raczysz wszystkim, którzy
Z nim przeciw tobie śmieli podnieść bronie.

KRÓL.

Francya wszystkim serce swe otworzy,
Wszystkich jak dzieci przytuli na łonie.

CHATILLON.

Z matką też twoją, jeśli żądać będzie,
Przyzwolić, Panie! zechcesz na ugodę.

KRÓL.

Oby chęć syna mieć chciała na względzie!
Ona to ze mną, nie ja z nią spór wiodę.

CHATILLON.

Dwunastu świadków z piérwszych mężów kraju,
Z obu stron wspólne zaręczą przymierze.

KRÓL.

Niech i tak będzie.

CHATILLON.

A podług zwyczaju,
Gdy Arcybiskup, przy świętéj ofierze,
Między was jedną hostyą rozdzieli,
Sami przysięgą stwierdzicie układy.

KRÓL.

Niech mi tak święci pomogą Anieli,
Jak w sercu mojém nie ma cienia zdrady! —
Cóż jeszcze książę żąda po mnie?

CHATILLON.

Panie!
Widzę tu męża, którego spotkanie
Mogłoby zatruć piérwszych wzruszeń chwile.

KRÓL.

Rozumiem.

(*do* Du Chatela).

Musisz odejść, Du Chatelu!

(Du Chatel *oddala się w milczeniu.* Król *przeprowadza go oczyma, nakoniec śpieszy za nim i ściska go*).

Nie miej mi za złe!—Ach! ty mi nie tyle
Poświęcić chciałeś, wierny przyjacielu!

(Du Chatel *odchodzi*).

(Chatillon *podając zwój pargaminowy*).

Resztę warunków ten pargamin mieści.

Król.

Przyjmuję wszystkie, nie badając treści.
Zwrót przyjaciela cóż godnie opłaci?—

(*do* Dunois i La Hire).

Wy ze stem jeźdźców idźcie spotkać braci!
Hełmy swe kwieciem niech stroją żołnierze,
A miasto postać godową przybierze:
Podczas gdy święty głos dzwonów ogłosi,
Że Burgund pokój Francyi przynosi! —

(*Głos trąb za sceną.* Paź *wchodzi*).

Cóż to jest?

Paź.

Książę Burgundzki przybywa.

Dunois.

Śpieszmy go spotkać!

(*Odchodzi z* Lą Hirem i Chatillonem).

AGNIESZKA.

O! chwilo szczęśliwa!

KRÓL.

Ty płaczesz, luba!—Ach! i we mnie serce
Ściska się, myśląc, ile krwi rodzinnéj,
Ile łez przelać musiał lud niewinny,
Nim on kres bratniéj położył rozterce.—
Lecz nie dziś o tém!—Dzień po nocy błyska,
Po burzy słońce i nam zajaśnieje.

ARCYBISKUP (*patrząc przez okno*).

Co za tłum!—Orszak ledwo się przeciska.—
Otóż i Filip!—Lud nakształt mrowiska
Kupi się w koło—z radości szaleje.
Klęczą przed koniem, podnoszą ramiona—
Ha! cóż to?—z konia porwali na ręce!
Niosą w tryumfie!—a kwiaty i wieńce
Zaćmiły niebo jak chmura zielona.

KRÓL.

Dobry lud! jakże prędko zapomina
Krzywd swych i kraju; krwi ojców i dzieci!
Miłość się jego, jak gniew, ogniem nieci,
Wszystkiém dla niego obecna godzina!—

(*do* AGNIESZKI).

Dość łez, najmilsza! uzbrój serce w stałość,
Wróć pokój twarzy!—bo wszystko w téj porze,
Zbyteczna radość, jak zbyteczna żałość,
Równie go zdraźnić lub zawstydzić może.

SCENA III.

CIŻ, FILIP, DUNOIS, LA HIRE, CHATILLON, i dwaj inni Rycerze z orszaku Księcia.

(FILIP *zatrzymuje się w miejscu;* KRÓL *porusza się ku niemu, ale go Książę uprzedza, i w chwili, gdy chce ugiąć przed nim kolano,* KRÓL *przyjmuje go w swe objęcia*).

KRÓL.

Pośpiech twój tylko uprzedził nas, Książę!
Chciałem cię spotkać;—lecz szybkie masz konie.

FILIP.

Nie dziw! do mojéj powinności dążę.

(*ściska i całuje w czoło* AGNIESZKĘ).

Wybacz, kuzynko! ale w mojéj stronie,
Jest to obyczaj, któremu bez sporu
Piękność ulega.

KRÓL.

Podług naszych wieści,
Na dworze twoim szukać trzeba wzoru
Wdzięcznéj godności i krasy niewieściéj.

FILIP.

Ze wszystkich skarbów Burgundzkiéj krainy,
To jest najdroższe, czém ją Niebo darzy.

Król.

Lecz ty sam, Książę! przyznaj się do winy,
Albo się musisz oczyścić z potwarzy:
Że lekce ważąc miłość i jéj wiarę,
Nie wierzysz w wierność.

Filip.

Najcięższą swą karę
Ma samo w sobie każde odszczepieństwo!—
Błogo ci, Królu! żeś się w tém z natchnienia
Pięknego serca, ustrzegł doświadczenia!

(Postrzegając Arcybiskupa).

Witaj, Pasterzu! twe błogosławieństwo
Niech stwierdzi węzły braterskiego związku!—
Dawnom cię widział:—bo chcąc spotkać ciebie,
Trzeba iść, widzę, drogą obowiązku.

Arcybiskup.

O! dniu radośny! teraz mię do siebie
Pan niech powoła!—Cóżbym więcéj żądał
Widzieć na ziemi, gdym ten dzień oglądał?—

Filip (*do* Agnieszki).

Mówią, kuzynko! żeś swe dyamenty
Przedać kazała, by mię ścigać zbrojnie.—
O! nie wiedziałem, że duch tak zawzięty
Mieszka w twém sercu'—Lecz już koniec wojnie!
Wraca się wszystko, co było stracone:
Pociechy serca, i ozdoby stroju.—
Patrz! twe klejnoty są téż znalezione!...

(bierze z rąk Dworzanina szkatułkę i podaje ją Agnieszce*).*

Na wojnę ze mną były przeznaczone,
Przyjm je odemnie za godło pokoju!—

(Agnieszka *waha się, poglądając na* Króla).

Król.

Przyjm! jest to zakład podwójnéj świętości:
Braterskiéj zgody, i szczeréj miłości.

(Agnieszka *płacząc usuwa się na stronę;* Król *i wszyscy mocno wzruszeni).*

Filip.

(Spójrzawszy po kolei na wszystkich, rzuca się w objęcia Króla).

Królu mój!

(W tejże chwili trzej Burgundzcy rycerze ściskają się z Arcybiskupem, Dunois i La Hirem. Król *i* Filip *pozostają przez czas niejaki we wzajemnych uściskach).*

Filip *(po pauzie).*

Jaż cię mogłem nienawidzieć?
Ja wroga twoją uwieńczyć koroną?...

Król *(przerywając).*

Dość!

Filip.

Nie!—Występek powinien się wstydzić.

Król.

Dość!—Wszystko przeszło—wszystko przebaczono!—
Był to błąd losu—wpływ gwiazdy złowrogiéj.

Filip.

Naprawię wszystko, wierzaj mi, naprawię!
Francyą całą złożę pod twe nogi:
Żadnéj wsi, żadnéj lepianki ubogiéj
Nie będzie braknąć twych przodków dzierżawie! —

Król.

Gdyśmy złączeni, któż nas zachwiać zdoła? —

Filip.

Ah! nie wiész, Królu! jak ciężkie zgryzoty
Truły mi duszę śród twych wrogów koła!

(*wskazując na* Agnieszkę).

Czemuś mi tego nie przysłał Anioła?
Samby jéj widok wrócił mię do cnoty. —
Lecz teraz, teraz—żaden podstęp wroga,
Żadna moc piekieł—nic nas nie rozdwoi!
Tutaj się kończy moich błędów droga,
Pokój mój, czuję, jest na piersi twojéj! —

Arcybiskup (*stając pomiędzy nimi*).

A więc, Książęta! pokój między wami!
Francya znowu, jak feniks z popiołu,
Wzniesie się—blizny zakryje laurami:
Praca, i ziemia bogata darami,
Wrócą zamożność i miastu, i siołu.

Lecz ci, co przez was i dla was zginęli,
Tysiące ziomków, czyż z mogił swych wstaną?
Lecz łzy, co przez was i dla was wylano,
Któż je powróci tym, co je wyleli?—
Zakwitnie może przyszłe pokolenie,
Lecz przeszłe przez was było łupem zbójców;
Pomyślność synów, nie wskrzesi ich ojców,
Krew ich na wasze opadła sumienie! —
Obyż z niéj przecie wyszła wam przestroga,
By nim spór kiedy zaczniecie orężny,
Pomnieli naprzód na ludzi i Boga!
Bo wojnę łatwo rozkiełzna Potężny.
Lecz wojna nie jest jako sokół, który,
Pojmawszy zdobycz, posłusznemi pióry
Wraca do łowca na dzwonek mosiężny.
Nie! sęp to dziki, co się krwią rozjada,
I gardzi głosem człowieka; —i biada
Tym, co go puszczą! — A nie zawsze z Nieba
Cudowna pomoc zstępuje, gdy trzeba.

Filip.

Tak, Królu! Anioł walczy przy twym boku! —
Lecz gdzież jest ona?

Król (*do otaczających*).

Kędy jest Dziewica?
Czyżby się szczęścia chroniła widoku,
Co nam jéj własna zjednała prawica? —

ARCYBISKUP.

Nie dla niéj, Panie! zgiełk dworskiéj zabawy.
Gdy ją powinność nie woła na bitwy,
Gdy nic nie może dla Francyi sławy,
W ustroniu za nią przesyła modlitwy.
I w Bogu tylko, przez Boga natchniona,
Żyje dla Boga.

DUNOIS.

Lecz otóż i ona.

SCENA IV.

CIŻ I JOANNA.

(w pancerzu, ale bez hełmu, i z wieńcem we włosach).

KRÓL.

Pójdź, pójdź, kapłanko! w tym świątecznym stroju,
Pójdź stwierdzić związek spojony przez ciebie!—

FILIP.

Onaż to? niegdyś tak groźna w potrzebie,
Tak dziś łagodna, jak Aniół pokoju!

(do JOANNY)

Widzisz, spełniłem, com obiecał tobie.
Nie wart-żem dzięków?

JOANNA.

O! dziękuj sam sobie!
O! dziękuj Panu! że dziś gwiazdą jasną

Jaśniejesz przed Nim; ty, coś wczoraj jeszcze,
Groźny kometa, nad ojczyzną własną
Rozsiewał światło krwawe i złowieszcze.

(*patrząc dokoła*).

Wszyscy tu, widzę, radzi i weseli,
A tam smutnego spotkałam w przedsieniu,
Co się kryć musi, i szczęścia nie dzieli!

FILIP.

Któż jest tak winnym, że się nie ośmieli
Dziś nawet w naszém ufać przebaczeniu? —

JOANNA.

Możeż on ufać?—O! powiedz, że może!
I niech się w pełni twa zasługa ziści!
Bo gdy chcesz godnie spełnić dzieło Boże,
Pełń je do końca!—Kropla nienawiści
Sam zdrój zbawienia zamienia w truciznę.
Zdaj Miłosierdziu twéj zemsty spuściznę! —

FILIP.

Teraz rozumiem.

JOANNA.

I przebaczysz, Książę? —
Tak, tak! przebaczysz!—Pójdź tu, Du Chatelu!

(*Otwiera drzwi i wprowadza* DU CHATELA, *który zatrzymuje się opodal*).

(*do* FILIPA).

Kto tu odpuścił winowajcom wielu,
Z wielu go grzechów Pan w Niebie rozwiąże.

Filip.

Joanno! wszystko uczynię dla ciebie,
Ale ty nie wiész, jakiéj chcesz ofiary!

Joanna.

Wiém, że jak słońce dla wszystkich na Niebie:
Jak rosa z Nieba: jak wszystkie swe dary
Niebo zarówno dla wszystkich swych dzieci:
Tak Miłosierdzie, które jest od Boga,
Na wszystkich spada, i dla wszystkich świeci.
Wiém, że przebaczyć i miłować wroga,
Jest to zwycięztwo nad wszystkie zwycięztwa,
Natchnienie Łaski, Boskość człowieczeństwa!

Filip.

O! Niepojęta! zkąd ci moc nade mną?
(*do* Du Chatela).
Zbliż się!—Przebaczam!—Duchu mego ojca!
Przebacz mi równie, że twój wróg zabójca
Ściska dłoń syna, co cię pomścić miała!—
A wy, Bogowie śmierci! których ramię
Sięga szeroko; niech wasz gniew nie pała,
Że wam złożony ślub méj zemsty łamię! —
W waszych tam państwach, gdzie serce nie bije,
Wszystko niezmienne, niezachwiane, wieczne:
Lecz póki człowiek tu czuje i żyje,
Wpływ chwili musi rodzić czucia sprzeczne.

Król (*do* Joanny).

Com ci nie winien? posłanniczko Boga!
Tyś zawróciła koło méj fortuny;

Ty mi powracasz brata; ty z rąk wroga
Wydzierasz berło; ty wojny pioruny
Gasisz nad nami!—Któryż z ziemskich króli,
Tyle dobrodziejstw, jak warte, odpłaci?

JOANNA.

Bądź ludzkim w szczęściu, jakeś był w niedoli!
Boga za ojca—bliźnich miéj za braci!—
Najuboższemu z pośród twego ludu
Czyń sprawiedliwość; strzeż praw i swobody;
A nie pogardzaj nizkim!—bo od trzody
Bóg tobie zesłał spełnicielkę cudu!—
Francya tobie ukorzy się cała,
I będziesz ojcem królów pokolenia;
I wielka będzie ich moc i ich chwała:
Dopóki pycha serca i myślenia
Nie zbluźni Bogu, i ludem nie wzgardzi.
Bo wtenczas!—wtenczas, i Bóg się zatwardzi,
I zkąd ci pomoc—z pod wieśniaczéj strzechy,
Wyzwie mścicieli za mocarzów grzechy!

FILIP.

Gdy ci otwarte przeznaczenia księgi,
Czytaj z nich, Święta! przyszłość mego domu!

JOANNA.

Obok królewskich tron jego potęgi;
Chce wznieść się wyżéj:—nie lęka się gromu
Boga, ni ludzi.—Grom przecież uderzy,
Grom przeznaczenia!—Lecz się nie bój zbytnie!

Dom twój nie upadł!—Nie z miecza rycerzy,
Z łona dziewicy szczep jego odkwitnie,
I na dwóch tronach, w pełni majestatu,
Króluje, widzę, znajomemu światu,
Ha! i nowemu! który wola Boża
Kryje dziś jeszcze za zasłoną morza!

KRÓL.

O! mów! czy węzeł, co nas dzisiaj wiąże,
W przyszłe też wieki, dwa bratnie narody
Połączać będzie?

JOANNA.

O! Królu! o! Książę!
Mocarze ziemi! strzeżcie się niezgody!
Nie budźcie Jędzy! niech w swych lochach drzemie!
Bo raz zbudzoną, kto zdoła powstrzymać?
Z jadu jéj smocze rozrodzi się plemię,
Z pożaru pożar będzie się rozdymać!—
Dość!—Obłok stanął u przyszłości progu.—
Cieszcie się z dzisiaj, jutro zwierzcie Bogu!

AGNIESZKA.

Święta Dziewico! ty wiész myśli moje,
Powiedz, co przyszłe rokują mi lata?

JOANNA.

Duch widzi tylko wielkie dzieje świata,
Własnym twym losem rządzi serce twoje.

DUNOIS.

Lecz jakież szczęście, jakie ziemskie blaski,
Jaka nagroda będzie godną ciebie?
Ty! coś nam zlała zdrój niebieskiéj łaski!

JOANNA.

Szczęście prawdziwe mieszka z Ojcem w Niebie.

KRÓL.

Lecz dać ci ziemskie, należy do króla.
On cię uczyni celem czci narodu,
On!—I wnet jego dopełni się wola.—
Klęknij, Joanno!

(JOANNA przyklęka, KRÓL dobywa miecza, i uderza ją nim zlekka po ramieniu).

I z nizkości rodu
Wstań!—Ja król, ciebie, i twój ród, i w grobie
Prochy twych przodków, uszlachcam zarazem!
Lilije białe będą herbem tobie,
Jak są cnót twoich godłem i obrazem.
A nikt z rycerzy, ni książąt, przed tobą,
Nikt, prócz krwi królów, nie ma mieć pierwszeństwa
Związek twój będzie najwyższych ozdobą,
A mnie, królowi, zdaj swadźbę małżeństwa!

DUNOIS *(występując).*

Serce ją moje wybrało już wprzódy,
Nimeś ją, Panie! w blask twéj łaski odział.
I jeślim godzien tak wielkiéj nagrody,
By los mój z ręką chciała przyjąć w podział:
Was samych, Królu! i ty mężu Boży!
Wzywam na świadków méj szczeréj przysiędze.

KRÓL (*do Joanny*).

Cuda po cudach Bóg nam w tobie mnoży!
Cóż niepodobném będzie twéj potędze,
Gdy nawet jego—miłości szydercę,
Zhołdować mogłaś?

LA HIRE (*występując*).

Znam Dziewicy serce,
Piérwszą jéj cnotą jest pokora święta.
I jakbądź warta czci, którą odbiera—
Nie ją ułudzi wielkości ponęta,
Nie od niéj wzgardy dozna miłość szczera.
Więc chociam prosty rycerz—wybacz, Książę!
Wybór jéj serca niech nasz los rozwiąże.

KRÓL.

I ty, La Hirze?—Dziewico! dla Boga!
Ledwieś pomogła przejednać mi wroga,
Chcesz-że poróżnić przyjaciół mych?—Oba
Godni są ciebie;—dla obudwóch jedna
Życzliwość moja.—Po co długa proba?
Mów, kto szczęśliwy, co twe serce zjedna?

AGNIESZKA.

Nagłość twa, Królu! przeraża Dziewicę,
Rumieniec wstydu widzę na jéj czole.
Daj czas, niech sama zbada tajemnicę
Serca swojego!—Ani ją w tém kole
Wyjawić może.—Zostawcie nas same!
Siostrze przed siostrą powróci swoboda,
Ufność przemoże nieśmiałości tamę.
Wyrok jéj serca, ja ogłoszę.

Król.

Zgoda!
(Chce odchodzić).

Joanna.

Nie, Królu! zostań! Nie rumieniec sromu,
Nie żar miłości czoło moje pali.
Nic do zwierzenia nie mam tu nikomu,
Cobym nie rada, by drudzy słuchali.
Umiem czuć wdzięcznie cześć, co mię spotkała:
Alem nie na to wzięła miecz śmiertelny,
Bym krwią mych bliźnich, sobie kupić miała
Książęcą mitrę, albo mirt weselny.
O! nie! mój Królu!—Wielkie dzieło Boże,
Co mi na ziemi spełnić przeznaczono,
Czysta dziewica tylko spełnić może.—
Żadnemu z mężów nie mogę być żoną.

Arcybiskup.

Azaliż nie wiész, że na ulgę troski
Piérwszemu z mężów, Bóg niewiastę stworzył? —
W głosie natury, jest głos woli Boskiéj.
Gdy dójdziesz celu, co ci Bóg założył,
Rychło, odwykłszy od miecza i zbroi,
Piękniejszy zawód obaczysz przed sobą:
Byś cnót niewieścich dała wzór płci twojéj,
Jak byłaś mężom wzorem i ozdobą.

Joanna.

Ojcze! któż zgadnie przyszłą wolę ducha?
Lecz gdy czsa przyjdzie, a poznam, co trzeba:

Serce go moje z pokorą usłucha.—
Tymczasem spełńmy piérwszą wolę Nieba!
Król nie jest jeszcze pomazańcem Boga,
Olej mu święty nie namaścił czoła;
Do Reims nam drogę zaszło wojsko wroga —
Tam, bracia! za mną! tam powinność woła!—

Król.

Jedna myśl, widzę, rządzi sercem twojém,
Miłość się przed nią ozwać nie ośmiela.
Lecz gdy kraj cały zakwitnie pokojem,
A w serca ludzi wróci duch wesela:
Wierz mi, że wtenczas twe serce niewieście
Wzbudzi też w sobie uczucia dziś śpiące;
I coś zaczęła zbawiając tysiące,
Szczęściem jednego zakończysz nareście.

Joanna.

Delfinie! takżeś syt już Bożéj łaski,
Że chcesz w proch ziemski rzucić jéj narzędzie?
Tak-że cię rażą wyższych światów blaski,
Że ziemię tylko mieć umiesz na względzie?—
O! ślepe serca! ludzie małéj wiary!
Niebo przed wami działa na odkryte;
Cuda po cudach świadczą jego dary,
A wy w tém tylko widzicie—kobiétę!—
Gdzież jest kobiéta? gdzie jest ziemska siła,
Aby uczynić, co Pan przez mię czyni? —
Biadaż mi, biada! gdybym się ważyła
Myśleć o sobie:—i cudu sprawczyni,

Ziemskim rozumem mierzyć moje życie!
Biada wam wszystkim, którzy mię kusicie!
Lecz Pan jest ze mną! On mię wziął w opiekę!...

(urywa nagle — i po chwili woła w natchnieniu):

Słyszę głos Jego!—Do broni, mój Królu!

SCENA V.

CIŻ I RYCERZ.

(wpadając z pośpiechem).

KRÓL.

Cóż nam przynosisz?

RYCERZ.

Wróg przeszedł przez rzekę,
I szyk bojowy rozwija na polu.

JOANNA.

Do broni! mówię.—Dziś kres jego pysze!
Sami na oślep idą w nasze ręce.
Za mną, kto Francuz!

(Wybiega).

KRÓL.

Idźmy, towarzysze!
Niech mą koronę zwycięztwem uświęcę!—
Sam jako żołnierz chcę walczyć na czele.

(do AGNIESZKI).

Bądź zdrowa, luba! nie płacz!

Agnieszka.

O! nie płaczę,
Nie drżę o ciebie!—Bóg nazbyt już wiele
Uczynił dla nas, by tylko rozpacze
Zsyłać miał w końcu!—Jemu ufam śmiele,
Że cię w Reims dzisiaj zwycięzcą zobaczę.

(Wszyscy odchodzą).

(Słychać głos trąb wojennych, który podczas przemiany dekoracyi, coraz w większą wrzawę przechodzi, naśladując zgiełk i zamięszanie bitwy. Orkiestra łączy się z nim przy otwartéj scenie, wraz z odgłosem wojennych instrumentów za sceną).

SCENA VI.

(Teatr zamienia się w obszerne, otwarte pole, otoczone drzewami. Podczas muzyki widać w głębi szybko przebiegających żołnierzy).

TALBOT wsparty, wsparty na FASTOLFIE i otoczony żołnierzami; wkrótce potém LIONEL.

Talbot.

Dość!—pod tém drzewem złóż mię, przyjacielu!
Wracaj na bitwę!—Nic mi już nie trzeba,
A umrzeć umiem.

Lionel *(wchodząc)*.

Co widzę?—o! Nieba!

Fastolf.

Na smutny widok trafiasz, Lionelu!
Wódz nasz umiera.

LIONEL.

Nie daj tego Boże!

(do TALBOTA).

Dziś nam najbardziéj potrzebna twa siła.
Wstań, wodzu! doświadcz, co moc woli może!
Powstań! i rozkaż naturze, by żyła!

TAŁBOT.

Próżno! nie zmienić, co zły los przeznaczył! —
Tron nasz, dźwigniony tylu prac ogromem,
Wali się w gruzy;—próżno bój rozpaczy
Wiodłem do końca:—patrz! rażony gromem
Leżę, bym nie wstał.—Reims jest już stracony,
Brońcie Paryża!

LIONEL.

Paryż sprzymierzony
Z Delfinem;—właśnie odebrałem gońca.

TALBOT *(odrywając zawiązki ran).*

A więc krwi moja, upływaj do końca!
Bo już mi ś viatło obrzydło słoneczne.

LIONEL *(do* FASTOLFA).

Śpiesz unieść wodza na miejsce bezpieczne!
Wróg z całą na nas następuje siłą.

TALBOT.

O! głupstwo gminu! tyś mię zwyciężyło!
Ty!—i nie ludziom walczyć z mocą twoją,
Przed którą same Bogi nie dostoją! —

Lecz ty, rozumie! światło Niebios tronu!
Ty sprawco świata! ty bóstwo człowiecze!
I cóż ty jesteś? gdy szał zabobonu
Porwie cię z sobą, i w przepaść zawlecze?—
Przeklęstwo temu! co w krainie myśli
Szuka wielkości: trwoni moc i lata,
I wierzy planom, gdy je mądrze skréśli! —
Bo szał i głupstwo—to są władzcy świata!

LIONEL.

Przestań, Milordzie! Krótkie są twe chwile.
Myśl o wieczności! pojednaj się z Bogiem!

TALBOT.

Gdybyż przynajmniéj męzkiéj uledz sile,
Upaść w zapasach z godnym siebie wrogiem!... —
Lecz stać się pastwą głupstwa i obłudy—
O! to dotkliwsze od śmierci tysiąca!—
Czyż wszystkie nasze ofiary i trudy
Nie były warte—choć lepszego końca?—

LIONEL

(podając mu rękę).

Żegnaj, Milordzie!—Hołd łez i modlitwy
Złożę ci w czasie, gdy mię los ocali.
Teraz powinność zwie mię na plac bitwy,
Gdzie los ojczyzny waży się na szali.
Żegnaj, Talbocie!—Tak! do powitania
Na lepszym świecie, gdzie nie ma rozstania!

(Odchodzi).

TALBOT.

Stało się! trzeba spłacić dług natury,
Oddać żywiołom, to co z nich powstało!—
Chwila nie minie—a z Talbota. który,
Swiat niegdyś cały napełniał swą chwałą,
Zostanie tylko—proch!—Tak kończy człowiek!
A cała korzyść światła, co dziedziczym,
Jest—że ze wzgardą, przed zawarciem powiek,
Widzim, że wszystko było tylko - niczém!

SCENA VII.

CIZ, KRÓL, FILIP, DUNOIS, DU CHATEL,
i Żołnierze francuzcy.

FILIP.

Zwycięztwo nasze!

KRÓL.

(postrzegając TALBOTA*).*

Patrzcie! ktoś umiera!
Śpieszcie dać pomoc! gdy już nie daremnie.

(Żołnierze francuzcy zbliżają się do umierającego).

FASTOLF

(zastępując im drogę).

Precz ztąd! szanujcie zwłoki bohatera,
Przed którym w życiu drżeliście nikczemnie!

FILIP *(zbliżając się).*

Co widzę? Talbot!

FASTOLF.

Oddal się, Filipie!
Niech zgonu męża wzrok zdrajcy nie brudzi!

(TALBOT *wlepia wzrok w* FILIPA *i kona*).

DUNOIS.

Toż ten, tak uiny w męztwie i dowcipie,
Że za nic ważył i Boga i ludzi?—
Straszny Talbocie! jak ci teraz mało
Ziemi potrzeba!—a dziś jeszcze rano,
Francyi całéj nie dosyć się zdało!—

(*do* KRÓLA).

Teraz cię królem witać mogę śmiało!
Bo szczęście zawsze groziło odmianą,
Póki duch żywy poruszał to ciało.

KRÓL.

Nie my, moc wyższa zmogła cię, rycerzu!
Na ziemi Franków, jak na swym puklerzu,
Coś i konając nie chciał puścić z dłoni,
Ległeś, byś spoczął!—I ona cię przyjmie
Do swego łona.—Tu, gdzie kres twéj broni,
Tu grób ci wzniesiem;—a samo twe imię,
Sam ten grób, w środku państw naszych dzierżawy,
Stanie za pomnik twych czynów i sławy.

FASTOLF

(*zbliża się i oddaje miecz*).

Przyjm, Panie!—jestem twym jeńcem.

KRÓL *(nie przyjmując).*

Nie, wcale!
Świętą powinność umiem czcić i w wojnie.

(do Żołnierzy angielskich).

Idźcie, i wierni wodza swego chwale,
Cześć mu ostatnią oddajcie spokojnie!—

(FASTOLF *z Żołnierzami odchodzi).*

Ty, Du Chatelu! śpiesz, nie tracąc chwili,
Śpiesz do Agnieszki!—uspokój jéj trwogę!
Powiedz, że żyjem; żeśmy zwyciężyli;
Że ją w Reims czekam.—Ty jéj wskażesz drogę.

(DU CHATEL *odchodzi).*

SCENA VIII.

CIŻ I LA HIRE.

DUNOIS *(do wchodzącego).*

Gdzież jest Dziewica?

LA HIRE.

Właśnie pytać chciałem.
Przy tobie była w pośród bitwy pola.

DUNOIS.

W twojéj ją straży zostawić mniemałem,
Gdym z jazdą poszedł na obronę króla.

Filip.

Przed chwilą jeszcze śród zastępów wroga,
Widziałem zdala jéj chorągiew białą.

Dunois.

Biada nam! gdzież jest?—Jakaś myśl złowroga
Trwoży mię o nię;—drżę, by nazbyt śmiało
Nie wpadła w tłumy, gdy nikt nie był przy niéj.

Król.

Do broni! śpieszmy na odsiecz zbawczyni!

(Odchodzą).

SCENA IX.

(Inna pusta okolica bitwy. W oddaleniu widać wieże miasta Reims, oświecone słońcem).

(Rycerz *w czarnéj zbroi, ze spuszczoną przyłbicą, wchodzi cofając się.* Joanna *ściga za nim aż na przodek sceny, gdzie on staje i czeka na nią).*

Joanna.

Ha! nędzny! teraz doszłam twych podstępów!
Chciałeś ocalić resztę twoich braci,
Uwieść mię zdala od waszych zastępów.—
Lecz krew mi twoja tę zdradę zapłaci!

Czarny rycerz.

Po cóż mię ścigasz?—Po coś tak, jak widzę,
Zawzięta na mnie?—

JOANNA.

Bo cię nienawidzę.
Bo jak noc piekieł, któréj nosisz barwę,
Sama twa postać wściekłość budzi we mnie. —
Zedrzyj z twéj twarzy tę szatańską larwę,
Co cię mym oczom chce ukryć daremnie!
Mów, ktoś jest?—Gdybym nie widziała w boju,
Jak tuż przedemną, choć nie moim grotem,
Legł mężny Talbot:—z postaci i stroju
Mogłabym wnosić, żeś ty jest Talbotem.

CZARNY RYCERZ.

Nie-że ci wewnątrz nie mówi głos ducha?

JOANNA.

Ha! zkąd wiész o tém, że mi złém zagraża?—
Lecz duch mój tylko głosu Boga słucha!
Groźba złych duchów, czystych nie przeraża.

CZARNY RYCERZ.

Joanno! słuchaj!—Duch ci prawdę wróży.
Oto Reims!—Nie wchódź!—złóż oręż przed bramą!
Szczęście nikomu do końca nie służy —
Puść je od siebie—nim odbiegnie samo!—

JOANNA.

I któż ty jesteś, co mi na pół drogi
Radzisz opuścić nieskończone dzieło?
Mnież to rozumiesz zachwiać widmem trwogi,
Mnie, którą Niebo swém męztwem natchnęło? —

Czarny rycerz.

Siła się tobie nie oprze człowiecza,
Lecz jest moc wyższa, co i tobą władnie.

Joanna.

Żadna, prócz Boskiéj!—i nie złożę miecza,
Aż tron Lankastra w proch się nie rozpadnie.

Czarny rycerz.

Złóż broń! powtarzam—ostrzegam raz jeszcze.
Nie wchódź do miasta!

Joanna.

Milcz, widmo piekielne!
Mów, kto ci natchnął te groźby złowieszcze?
Mów, lub giń!

(podnosi miecz jak do cięcia).

Czarny rycerz

(dotyka ręką Joannę, która staje nieruchoma).

Zabij to, co jest śmiertelne!—

(Nagła ciemność—uderzenie piorunu—Rycerz znika).

Joanna *(z przerażeniem).*

To nie był człowiek!—Zwodna mara piekła
Wyszła z przepaści, by mi zachwiać serce,
Bym się méj świętéj powinności zrzekła!—
Lecz mnież to—Boga mojego rycerce,
Mnież to wszechmocnéj nie ufać potędze?—
O! niech się cała moc piekieł sprzysięże,

Pan mój jest ze mną!—wierna méj przysiędze,
W Nim ufać będę, i przezeń zwyciężę!

(Chce odchodzić).

SCENA X.

LIONEL I JOANNA,

LIONEL *(wchodząc).*

Przeklęta! broń się!—bo jedno z nas obu
Zginąć tu musi.—Krew tysiąca braci,
Szlachetny Talbot z przedwczesnego grobu
Woła o pomstę;—miecz ci mój odpłaci!—
I byś wiedziała, zwodzicielko podła!
Że mię nie splątasz w gusel twoich matni:
Jam jest Lionel—wojska wódz ostatni!—
Walcz! i klnij chwilę, co cię ze mną zwiodła!

(Walczą.—Po krótkiéj chwili JOANNA *wytrąca mu miecz z ręki).*

Niewierne szczęście!

(Pasuje się z nią).

JOANNĄ.

(porywa go lewą ręką za pióro od hełmu i zdziera mu hełm z głowy, tak, że twarz jego odsłania; w prawéj ręce podnosi miecz jak do ciosu).

Miej więc, czegoś żądał!

(W téj chwili spogląda mu w oczy; wzrok jego mięsza ją nagle i jakby przeraża. Staje nieporuszona, i powoli opuszcza rękę).

LIONEL.

Uderz, przeklęta!—Próżno będziesz czekać;
Nie przyjdzie nigdy dzień, coby oglądał
Pokorę moję.—Uderz!

(JOANNA *daje mu znak ręką, aby się oddalił*).

Mam uciekać?
Przed tobą?—Nigdy!—Stokroć umrzeć raczéj!

JOANNA

(*z odwróconą twarzą*).

Nie chcę pamiętać, żeś był w mojéj mocy.

LIONEL.

Nie!—Gardzę tobą! nie chcę twéj pomocy!—

JOANNA.

Zabij mię, a uciekaj!

LIONEL.

Cóż to znaczy?

JOANNA.

(*zakrywa twarz rękoma*).

Biada mi!

LIONEL.

Mówią, że każdego jeńca
Zabijać zwykłaś.—Czemuż mię jednego
Ocalasz?

JOANNA.

(*w gwałtownem poruszeniu podnosi miecz, ale spójrzawszy mu w oczy, znowu go opuszcza*).

Boże! wspieraj mię!

LIONEL.

Jakiego
Smiesz wzywać Boga?—Nasz Bóg nie uświęca
Czarów piekielnych!—

JOANNA
(w najgwałtowniejszéj boleści).

Cóżem uczyniła!—
Ślub mój złamany!—

(załamuje ręce z rozpaczą).

LIONEL
(spogląda na nią z politowaniem, i zbliża się do niéj).

Co się dzieje e mną?—
Ty płaczesz!—Jakaś niepojęta siła
Gniew mój rozbraja!—Czuję, że daremno
Chcę nienawidzieć!—Ktoś ty, Tajemnicza?

JOANNA.

Uciekaj! —

LIONEL.

Piękność twojego oblicza
Chwyta mi serce.—Chcę cię zbawić—muszę!
Pójdź ze mną!—zerwij piekielne sojusze!
Rzuć ten miecz!—

JOANNA *(z przerażeniem).*

Ja mam iść z tobą?

LIONEL.

Czas drogi!
Nie trać go!—idźmy!

(pokazując rękojeść swego miecza).

Na to znamię krzyża!
Zaklinam—każę—rzuć ten miecz złowrogi!
Idźmy!

(porywa ją za rękę).

JOANNA.

Co widzę?— Dunois się zbliża!—
Uchodź, nieszczęsny! Czuję, że twéj zguby
Przeżyć nie zdołam.

LIONEL.

Jestżem ci więc luby?

JOANNA.

Święci niebiescy!

LIONEL.

Spotkamyż się jeszcze?

JOANNA.

Nie!—nigdy, nigdy!

LIONEL.

Spotkamy się!—ręczę.
Przeczucia serca nie mylą mię wieszcze.—
Twój miecz na zakład!

(wydziera jéj miecz).

JOANNA.

Co czynisz? szaleńcze!

LIONEL.

Kocham cię! — Ufaj rycerskiemu słowu:
Będę cię szukał — spotkamy się znowu! —

(Odchodzi).

SCENA XI.

LA HIRE, DUNOIS, JOANNA.

LA HIRE.

To ona! — żyje!

DUNOIS.

Wszędzie cię szukamy.

LA HIRE.

(patrząc w stronę gdzie odszedł LIONEL*).*

Któż to uchodzi? — Ha! znam go zdaleka,
To jest Lionel!

DUNOIS.

Mniejsza! niech ucieka!

(do JOANNY*)*

Zwycięztwo nasze! Reims otwiera bramy.
Lud cały tłumnie, z radości wyrazem,
Spotyka króla! — Pójdź z nami, Joanno!

(Podaje jéj rękę. JOANNA *chwieje się i ma upaść).*

La Hire (*podchwytując ją*).

Cóż to jest?—Przebóg! Dziewica jest ranną!
Krew jéj upływa!

Joanna.

Oby z życiem razem!

(*Upada zemdlona na ręce* La Hira).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

(Scena w Reims).

SCENA I.

(Wspaniale ozdobiona sala; kolumny otoczone girlandami. Za sceną słychać oboje i flety).

JOANNA *(sama).*

Umilkł szczęk broni, przeszła groza wojny,
Po krwawych znojach wraca pokój miły.
Do świątyń Pańskich lud tłoczy się strojny,
Ganki i ołtarz kwieciem się okryły.
Wszędzie wesołość, albo wczas spokojny,
Nęcą po mieście lud zdala przybyły;
Reims nie ogarnie niezliczonych gości,
Na wielkie święto chwały i radości.

A wszystkie serca jedném czuciem gorą,
A z wszystkich oczu bije blask wesela.
Co gniew i zemsta dzieliły przed porą,
Razem dziś szczęście i radość podziela.

Frank, co drżał tylko i cierpiał z pokorą,
Olbrzymem wzniósł się nad nieprzyjaciela.
Francya, krusząc pęta swéj niewoli,
Wita na tronie potomka swych króli!

A ja!—ja jedna!—ja, com to zdziałała!
Mnie jednéj szczęście tych wszystkich nie wzrusza!—
Moc potężniejsza serce mi wyrwała,
W obozie wrogów uwięzła ma dusza!—
W proch mię poniża dawana mi chwała,
Hołdem jéj zgryzot jątrzy się katusza.
Stronię od braci, uciekam z ich koła,
By ukryć rozpacz, i wstyd mego czoła!—

Kto? ja? w piersi méj dziewiczéj
Nosić obraz męża?—Ja?—
Światłoż Łaski tajemniczéj
W ziemskiém czuciu zgasnąć ma?—
Ja ludu mego pasterka,
Ja Boga mego rycerka,
Ja goreć miłością wroga?...—
I nie ściągnęż Niebios gromu?
I nie spłonęż ogniem sromu,
Przed okiem ludzi i Boga?—

(Muzyka przechodzi zwolna w miękką, rzewną melodyą).

Biada, biada! co za tony!
Dźwięk ich, czuję, urzekł mnie.
W każdym, zda się, ulubiony
Głos z wiatrami ku mnie tchnie!—

Oby mię porwał szał wojny człowieczéj!
Oby usłyszeć świst strzał i szczęk mieczy!
Śród nichby może nanowo ożyła
Duszy méj siła!

Lecz te dźwięki! lecz te nóty!
Myśl ich echem tylko brzmi.
Dusza mdleje od tęsknoty,
Serce taje w żalu łzy!—

(po pauzie, z żywością).

Miałażem zabić? mogłażem go zabić,
Widząc te oczy, ten wyraz oblicza?...
O! wprzódbym na się cios wolała zwabić! —
Zbrodniąż jest ludzkość i litość dziewicza?—
Ha! ludzkość, litość! Czułażeś je wprzódy,
Gdy cię posłano nieść mord na morderce?
Czułażeś litość, gdy Walijczyk młody
Błagał cię o nię?—Milcz, milcz, podłe serce!
Nie kłam przed Bogiem!—On zna prawdy skrytość.
Nie kłam nikczemnie!—To nie była litość! —

Na cóż mi było patrzeć w jego lice?—
Bóg chce mieć ślepe woli swéj narzędzia.
Jam śmiała spójrzeć!—Przeklęte źrenice!
Z Ojca i Stróża, został tylko—Sędzia!

(Głos fletów odzywa się znowu. Joanna *w smutném pogrążona dumaniu.—Po pauzie).*

Obym cię nigdy, lasko pastusza,
Nie zamieniała na miecz wojowniczy!

Czemuż cię, czemu, prosta moja dusza
Słuchać musiała, dębie tajemniczy?!—
Królowo Niebios! oby twój przeczysty
Nigdy przedemną nie zjawiał się blask!—
Odbierz go, odbierz twój wieniec gwiazdzisty!
Jam jest grzesznica niegodna twych łask.

Jam widziała śmiertelnemi,
Chwałę Niebios, oczyma;
Przecież cel mój jest na ziemi,
W Niebie dla mnie go nié m[illegible]!—

Ciężkie, ciężkie powołanie,
O! Wszechmocny! na mnieś włożył! —
Jaż zatwardzić jestem w stanie
Serce, któreś tkliwém stworzył?—

Chcesz okazać moc twą światu,
Masz twe duchy, masz Anioły!
Ich, z twéj chwały majestatu,
Na śmiertelne szlij padoły!
Im, zleć woli twojéj czyny!
Im wybranym — co bez winy,
Co bez serca—nieskalani,
Nieśmiertelni, niezachwiani
Ziemską trwogą, ni rozpaczą,
Ani czują, ani płaczą!
Nie dziewicy, nie pasterce,
Kładź ten ciężar na jéj serce! —

Co mi do losów krajów i króli?
Co mi do ludów niezgody?—
Swobodna, rada z ubogiéj doli,
Wesoło pasłam me trzody.

Tyś mię wyrwał z pod méj strzechy,
Ty na krwawy popchnął bój! —
Mojeż za to będą grzechy?... —
Ach! to nie był wybór mój!—

SCENA II.

AGNIESZKA SOREL, JOANNA.

AGNIESZKA

(wbiega w najwyższém poruszeniu, i postrzegając JOANNĘ *rzuca się jéj na szyję; lecz w téjże chwili cofa się, i upada na kolana przed nią).*

Nie, nie tak!—W prochu...

JOANNA.

Co czynisz?

AGNIESZKA.

Wesele,
Zbytek wesela przepełnił mą duszę.
Szukam cię—z Bogiem podzielić je muszę,
Niewidomego czczę w tobie, Aniele!—
Pójdź, skończ twe dzieło! ty sprawczyni cudu!
Król, pan mój, Karol, śród swych Parów koła,

Wodzowie, wojsko, tłum radośny ludu,
Czekają na cię, by iść do kościoła. —
Ja to widziałam!—ja słyszałam zdala
Okrzyk tryumfu narodu i miasta!—
O! zbytek szczęścia tłoczy mię, przywala!...
Ratuj mię, wśpieraj! bom słaba niewiasta.

(Joanna *podnosi ją zwolna w milczeniu.* Agnieszka *wpatruje się w nią z podziwieniem, i po chwili).*

Aleś ty smutna?—Szczęścia, coś nam dała,
Nie dzielisz sama?—Nie dziw! twoja dusza,
Co nieśmiertelny blask Niebios widziała,
Ziemską się naszą radością nie wzrusza.

(Joanna *ujmuje ją za rękę, ale wnet ją znowu opuszcza).*

O! gdybyś chciała czuć sercem kobiety!...—
Lecz precz ten oręż! precz hełm z twego czoła!
Nie gardź słodszemi płci twojéj zalety!—
Miłość się zbliżyć nie śmie i nie zdoła,
Póki w twych ręku lśni miecz Archanioła.

Joanna.

Czego chcesz po mnie?

Agnieszka.

Złóż oręż i zbroję,
Daj się miłości z twém sercem oswoić!
Stań się niewiastą!—

Joanna.

Ja mam się rozbroić?—
Teraz?—O! wiedź mię na mordy i boje,
Na groty wrogów!—tam ja się rozbroję,

Tam!—Ale teraz!—murem nie żelazem
Kryć mi się od was—i od siebie razem!

AGNIESZKA.

Dunois kocha ciebie.—Ach! czyż szczera
Miłość serc takich ma goreć daremnie?—
Pięknie jest zyskać miłość bohatera,
Lecz piękniéj stokroć kochać go wzajemnie!

(JOANNA *odwraca się ze wstrętem*).

Wzdrygasz się? Cóż to?—Miałażbyś się brzydzić
Hołdem rycerza?—Nie!—Możesz odrzucić,
Możesz nie kochać:—lecz go nienawidzieć!...
Nie! nigdy, nigdy!—Nienawiść ocucić
Może ten tylko, co nam chce wydzierać
Cel uczuć naszych.—Ty go jeszcze nie masz—
Lecz z najgodniejszych, chciej, możesz wybierać.

JOANNA.

Żałuj mię!—jestem biedniejsza niż mniemasz.

AGNIESZKA.

Ty?—i cóż jeszcze braknie szczęściu twemu?—
Stargałaś kraju niewolnicze pęta,
Król przez cię stoi zwycięzcą śród Remu,
Tyś jest Boginią twéj ojczyzny święta!
Milion serc dla cię jedném czuciem płonie.—
Król w całym blasku swego majestatu,
Nie jest tak wielkim, jak ty, któréj skronie
Bóg opromienił swą Łaską tajemną!

JANNA.

Milcz! dość!—O! ziemio! rozstąp się pode mną!

AGNIESZKA.

Joanno! przebóg! cóż ta rozpacz dzika
Znaczy w twych ustach?—Ach! komuż z nas, komu
Czuć dzisiaj radość, gdy cię żal przenika?—
Mnie to, mnie trzeba płonąć ogniem sromu,
Mnie, com przy tobie tak nizka i mała,
Że nie śmiem śpójrzeć ku twéj wysokości!—
Bo znaj mą słabość!—Nie ojczyzny chwała,
Nie szczęście braci, nie tryumf jedności,
Nie to, nie! wzrusza duszę moję biedną!
Ni m tylko jednym i sobą zajęta,
We wszystkiém widzi, czuje tylko jedno:
On Pan tych ludów, On cel tego święta!
Jemu koronę i laurowy wianek
Zesłało Niebo!—On mój—mój kochanek!

JOANNA.

O! tyś szczęśliwa!—Szczęśliwa dziewico!
Kochasz, gdzie wszystko kocha razem z tobą.
Miłość twa nie drży przed ludzką źrenicą,
Ona ci szczęściem i razem ozdobą.
Słyszysz ten okrzyk, to radości echo,
One boleśnym nie rażą cię wstrętem;
Pociecha braci, jest twoją pociechą,
Święto narodu, jest twych uczuć świętem.
We wszystkiém tylko masz nowe ogniwo
Szczęścia twojego, z ojczyzną szczęśliwą;

A On, najwyższy, jak słońce na niebie,
Świecąc dla wszystkich—kocha tylko ciebie!

Agnieszka *(rzuca się jéj na szyję).*

Joanno! jam się myliła!—Ty czujesz,
Ty znasz co miłość! ty mnie tak pojmujesz!
Wszystkieś tajniki méj duszy przenikła.
Dotąd cię tylko czcić byłam nawykła,
Teraz cię kocham!—O! gdybyż wzajemnie!

Joanna *(wyrywając się z jéj objęć).*

Odstąp, nieszczęsna! uciekaj ode mnie!
Chroń się zabójczéj tchu mego zarazy,
Idź, bądź szczęśliwa!

Agnieszka.

Dziwne twe wyrazy!
Badać ich nie śmie dusza czcią przejęta.—
Aleś ty dla mnie zawsze niepojęta!
Nie dziw! któż z ludzi zrozumie lub zgadnie,
Co w duszy świętych ukrywa się na dnie?—

Joanna.

Świętych?—Niebaczna!—Tyś czysta, tyś święta!—
Gdybyś zajrzała w otchłań mego serca,
Każdy twój wyraz zdałby się bluźniercа!—

SCENA III.

TEŻ, DUNOIS, DU CHATEL, I LA HIRE,

(*z chorągwią* JOANNY).

DUNOIS.

Szukamy ciebie, Joanno! —Król żąda,
Byś piérwsza przed nim święte niosła znamię.
Bo jak sam czuje, chce niech świat ogląda,
Że twoje tylko zbawiło go ramię.

LA HIRE.

Oto chorągiew! Śpiesz! bo chwila droga.

JOANNA.

Ja iść przed królem?—Ja ją nieść?—

DUNOIS.

Któż inny
Śmiałby się mniemać, że jest dość niewinny,
By miał tknąć znamię posłanniczki Boga?—
Tyś z niém do zwycięztw przodkowała w boju,
Ty nam wskaż drogę szczęścia i pokoju!

(LA HIRE *chce jéj podać chorągiew.* JOANNA *odwraca się ze wstrętem.*

JOANNA.

Precz z nią! precz!

La Hire.

Cóż to? czyż ci nieznajomy
Sztandar twój własny? obraz Matki Bożéj?—

(Roztacza chorągiew).

Joanna *(poglądając na nią, z rozpaczą).*

Ach! tak!—to Ona!—patrzcie. jak się sroży!
Jak z ócz jéj biją płomieniste gromy!

Agnieszką.

Co ci jest? przebóg!—Urojeń mamidło,
Czcza jakaś mara obłąkała ciebie.—
Patrz! wszak to tylko ziemskie malowidło,
Sama Najświętsza, z Aniołami w Niebie!

Joanna *(z okiem wlepioném w chorągiew).*

Przyszła-żeś znowu, by gromić grzesznicę?—
Karz, karz! jam winna! jam cierpieć gotowa!
Ale te gniewu twego błyskawice—
Któż je wytrzyma?

Dunois.

Przebóg! co za mowa!

La Hire *(do* Du Chatela).

Cóż sądzisz o tém?

Du Chatel.

Nie śmiem rzec, co myślę,
Lecz nie od dzisiaj już mię ta myśl trwoży.

DUNOIS.

Jaka myśl?

DU CHATEL.

Sam jéj nie chcę badać ściśle.
Bóg daj! niech tylko król koronę włoży!

LA HIRE (*do* JOANNY).

Jak to? czyż powiew tajemniczéj trwogi
Z sztandaru twego, i ciebie pochłania?—
O! niechaj przed nim drżą Francyi wrogi!
Nam on jest zawsze godłem zmartwychwstania!

JOANNA.

Tak! prawdę mówisz!—tak! niechaj drżą wrogi!

(*Słychać marsz koronacyjny za sceną*).

DUNOIS.

Bierz więc chorągiew! Śpiesz! bo czas jest drogi.

(*Przymuszają ją do wzięcia chorągwi.* JOANNA *porywa ją nakoniec z gwałtownością i odchodzi; wszyscy za nią*).

SCENA IV.

(Teatr zmienia się, i wystawia otwarty plac przed kościołem katedralnym. Tłum ludu zapełnia głąb sceny; ze środka jego wychodzą BERTRAND, STEFAN i KLAUDYAN. Słychać zdaleka muzykę koronacyjnego marszu).

BERTRAND.

Słyszycie granie?—To oni!—już blizko!
Pójdźmy pod kościół!—tam najlepiéj z boku
Będziemy widzieć całe widowisko.

STEFAN.

Gdzie tam! nie sposób przecisnąć się w tłoku!
Zostańmy lepiéj gdzie stoim; toć przecie
Iztąd coś ujrzym.

KLĄUDYAN.

Jak żyję na świecie,
Nigdym nie widział tyle razem ludu.

BERTRAND.

Cóż za dziw? Któżby nie chciał widzieć cudu,
Nie święcić święta narodowéj sławy?—
A rzecz téż słuszna, aby król nasz prawy
Nie mniejszy przecież miał orszak, niżeli,
Co go w Saint-Denis królem zrobić chcieli;
I by mu każdy, w czyich piersiach bije
Serce francuzkie—krzyknął dziś: „Niech żyje!“

SCENA V.

CIŻ, ANNA I ANIELA (wychodzą z tłumu).

ANIELA.

Ach! moja Anno! będziem ją widziały!
Serce me, czuję, to raz drży, to skacze.

ANNA.

Ujrzym ją w blasku wielkości i chwały!

ANIELA.

Wiész ty co? siostro! póki nie zobaczę,
Nie mogę jakoś wierzyć w sobie szczerze,
Żeby ta, którą cały świat ogłasza,

Któréj słuchają sam król i rycerze,
Żeby to była ona—siostra nasza!

ANNA.

Wątpisz?—Za chwilę obaczymy same.

BERTRAND (*patrząc w stronę*).

Już idą! przeszli tryumfalną bramę!

SCENA VI.

MARSZ KORONACYJNY.

(MUZYCY *z obojami i fletami idą na czele orszaku.—Po nich* DZIECI, *ubrane biało, z palmami w ręku.—Za niemi* DWAJ HERALDOWIE.—*Daléj poczet* HALABARDZISTÓW.—CZŁONKOWIE MAGISTRATU *w obrzędowych togach.*—DWAJ MARSZAŁKOWIE *z laskami w ręku.*—KSIĄŻĘ BURGUNDZKI *niosący miecz koronacyjny.* DUNOIS *z berłem.*—*Inni* DYGNITARZE *z koroną, jabłkiem i laską sądową; Inni z ofiarnemi darami.*—*Za nimi* RYCERZE *w obrzędowych strojach.* CHŁOPCY CHORALNI *z kadzielnicami.*—KSIĘŻA.—DWAJ BISKUPI *ze świętą ampułką.*—ARCYBISKUP REIMSKI *z krucyfiksem w ręku.*—*Za nim* JOANNA *z chorągwią; idzie zwolna niepewnym krokiem, ze spuszczoną głową.* (SIOSTRY *na jéj widok dają sobie nawzajem znaki radości i podziwienia). Za nią* KRÓL *pod baldachimem, niesionym przez czterech* BARONÓW. *Daléj* DWORZANIE *i* ŻOŁNIERZE *zamykający orszak. Gdy wszyscy wnijdą do kościoła, muzyka ustaje).*

SCENA VII.

ANNA, ANIELA, KLAUDYAN, STEFAN, BERTRAND.

ANNA.

Widziałeś siostrę?

KLAUDYAN.

Ta, co szła we zbroi?
Z chorągwią w ręku?

ANNA.

Tak jest, tak! to ona!
Nie myśli pewno, że ją widzą swoi.

ANIELA.

Ależ, mój Boże! jaka zamyślona!
Jak cała drżąca!—jakby czuła trwogę.—
Widząc ją nawet, cieszyć się nie mogę.

ANNA.

Ktoby mógł myśleć, znając ją w Dom-Remi,
Gdy za trzodami chodziła po polu,
Że ją tak ujrzym oczyma naszemi,
W takiéj świetności, i piérwszą po królu?

ANIELA.

Pamiętasz przecie, co się ojcu śniło,
Że w Reims jéj będziem kłaniać się w kościele.—
Toż Reims—to kościół—wszystko się spełniło!
Lecz w śnie tym było i złych marzeń wiele.—
Ach! strach mię o nią, że jest tak wysoko!

BERTRAND.

Cóż tu stoimy? Trzeba wejść do środka,
Widzieć jak króla w purpurę obloką.

ANNA.

Tam może łatwiéj dójrzy nas lub spotka.

ANIELA.

Darmo! tłok taki! ludzi jak w mrowisku!—
Wracajmy raczéj!—Wszakżeśmy widziały
Siostrę;—dość na tém.

ANNA.

Jak to? bez uścisku?
Bez powitania?

ANIELA.

Czyż będziemy śmiały
Zbliżyć się do niéj w téj prostéj odzieży?—
Ach nie! już ona do nas nie należy.
Miejsce jéj teraz z królmi i panami!
Któż my jesteśmy, by się równać do niéj?—
Obcą nam była będąc jeszcze z nami.

ANNĄ.

Myślisz, że wzgardzi? że się nas zapłoni?

BERTRAND.

Wzgardzić?... Król królem, a nikim nie gardzi,
Wita się z każdym;—a onaż tém bardziéj!...
Bo niechaj będzie jak chce wywyższona,
Król przecież zawsze jest wyższy jak ona.

(*Z głębi kościoła słychać huk trąb i kotłów*).

KLAUDYAN.

Ależ się śpieszmy! bo już późno będzie.
A żal byłoby nie być na obrzędzie.

(Oddalają się w głąb sceny i gubią się w tłumie).

SCENA VIII.

TEOBALD (wchodzi, ubrany czarno). RAJMUND (idzie za nim i chce go zatrzymać.)

RAJMUND.

Nie idź tam, ojcze! zostańmy na boku,
Trudno ci będzie między taką rzeszą.
Albo wracajmy!—Z twoim smutkiem w oku,
Co tu masz czynić, gdzie się wszyscy cieszą?

TEOBALD.

Widziałeś moje nieszczęśliwe dziecię?—
Czy uważałeś?—

RAJMUND.

Dość o tém!

TEOBALD.

O! biada!
Czy uważałeś? czy widziałeś przecie
Jak drżała idąc?—jak smutna, jak blada?—
Nieszczęsna! czuje sama czego warta.—
Lecz jeszcze pora! ratować ją muszę.

(Chce iść).

RAJMUND (*zatrzymując*).

Stój! co chcesz czynić?

TEOBALD.

Skruszyć jarzmo czarta,
Gwałtem do Boga nawrócić jéj duszę!
Strącić ją z szczytu wielkości i grzechu,
Któréj swe wieczne szczęście poświęciła!...

RAJMUND.

Ach! ojcze! bój się zbytniego pośpiechu!

TEOBALD.

Mniejsza o ciało, byle dusza żyła!

(JOANNA *wybiega z kościoła bez chorągwi.* LUD *ciśnie się ku niéj; klękają przed nią, całują jéj szaty; natłok zatrzymuje ją w głębi sceny*).

TEOBALD.

To ona!—Patrzaj! ucieka z kościoła!
Trwoga ją wnętrzna z świętych miejsc wygania.
Patrz, jaka blada!—trąba Archanioła
Brzmi już w jéj duszy na sąd zmartwychwstania!

RAJMUND.

Bądź zdrów! okrutny! idziesz krzywo świadczyć.
Żal twój ma za nic przyjaciela słowo.—
Bądź zdrów!—Ach! na toż miałem ją zobaczyć,
Abym czuł tylko, że tracę nanowo!—

(*Odchodzi.* TEOBALD *usuwa się w przeciwną stronę sceny*).

SCENA IX.

JOANNA, LUD, potém ANNA I ANIELA.

JOANNA.

(wydziera się z tłumu, i postępuje szybko na przód sceny).

Nie mogłam zostać! nie!—Organ mię głuszy,
Jak huk piorunów; kościół zda się cały
Wali się na mnie;—piekło w mojéj duszy!—
O! nie mnie teraz nieść mój sztandar biały!
Tam na ołtarzu oddałam go Bogu.—
Tu jakoś lepiéj!—tu oddychać mogę;
Tu śmieléj!... O nie! nie myśleć o wrogu,
Nie!—pragnę tylko uspokoić trwogę.—
Czy mi się zdało? czy przed chwilą w tłoku
Widziałam siostry?—Byłoż to w istocie?
Czy tylko widmo pożądane oku,
Przyszło urągać, czy ulżyć tęsknocie?—
Ach! tak, tak!—po co łudzić się daremnie?
One daleko, daleko ode mnie!
Jak moje szczęście, moja młodość ranna!...

(ANNA *i* ANIELA *wchodzą*).

ANNA *(do* ANIELI).

Patrz, patrz! to ona!

ANIELA *(biegnąc ku* JOANNIE).

To nasza Joanna!

JOANNA.

To wy? O! siostry! o najmilsze moje!
Więc to nie mara?—Nie! sen mię nie łudzi!—
O! co za rozkosz spotkać serca swoje,
Śród téj pustyni nieznajomych ludzi!

ANNA.

A co? Anielo!—czy się nas wyrzeka?
Czy gardzi nami?

JOANNA.

I wy z tak daleka
Przyszłyście do mnie—com was opuściła!?

ANIELA.

Boska w tém wola, a nie twoja była.

ANNA.

Sława dzieł twoich napełnia świat cały,
Bóg cię uczynił swoich łask obrazem;
I myśmy przyszły widzieć blask twéj chwały—
I to nie same!

JOANNA (*prędko*).

Co? ojciec jest razem?—
Gdzież on?—gdzie? mówcie!—

ANNA

Nie, ojca tu nié ma.

JOANNA.

Nié ma?—Dla czego?—Czy może trwa w gniewie?
Nie chce mię widzieć przed swemi oczyma?—
Może złorzeczy?—

ANIELA.

O! nie! lecz on nie wie,
Że tu jesteśmy.

JOANNA.

Nie wie?—Cóż to znaczy?—
Wy się mięszacie?—Gdzież on jest? dla Boga!
Mówcie! czy żyje?

ANNA.

Żyje, i przebaczy
Wszystko!—Lecz odkąd poszłaś, siostro droga!
Ojciec nasz—

ANIELA *(dając znak aby milczała)*.

Anno!

ANNA.

Stał się więcéj jeszcze
Smutnym, niż dawniéj.

JOANNA.

Smutnym z winy mojéj!

ANIELA.

Znasz ojca umysł i myśli złowieszcze.
Los go twój trwoży.—Lecz się uspokoi,
Gdy mu powiemy, że jesteś szczęśliwa.

ANNA.

Bo wszakże jesteś?—Na czémże ci zbywa?

JOANNA.

O! tak! na niczém!—Niczego nie żądam,
Kiedy was widzę; gdy z ust waszych słyszę,
Że mię kochacie: i zda się, oglądam
Nasze rozkoszne, rodzinne zacisze,
Gdzie w cieniu ojca i waszéj opieki,
Chodząc za trzodą po zielonym gaju,
Byłam szczęśliwa—szczęśliwa jak w raju,
I jak już nigdy nie będę na wieki!

(*Ukrywa twarz na piersiach* ANIELI).

SCENA X.

TEŻ, STEFAN, KLAUDYAN I BERTRAND, (wchodzą i z nieśmiałością zatrzymują się zdaleka).

ANNA (*do wchodzących*).

Chodźcie tu, chodźcie! wszystko się spełniło!
Siostra nie dumna, nie ma nas za cudze.

Ci zbliżają się i chcą podać jéj rękę; JOANNA *wpatruje się w nich bystro i wpada w głębokie zamyślenie*).

JOANNĄ.

Gdzież to ja jestem? Czyż to wszystko było
Snem tylko marnym?—a teraz się budzę?—
O! tak, tak! pewnie!—Musiałam, jak nieraz,
Zasnąć pod drzewem i marzyć—a teraz!...
Lecz mówcież, mówcie! Jesteśmyż w Dom-Remi?
Was-że to widzę przed oczyma memi?—
Czyż więc te króle, te mordy, te boje,
Były snem tylko?—Ach! bo myśli moje
Dziwnie splątane!—Nic nie wiém, nie pomnę.
Dąb ten mię urzekł!—Gdzież są te ogromne
Wojska? te tłumy radośnego ludu?—
Byłoż to wszystko dziełem snu, czy cudu?—
Mnież to mówiono, że Francyą zbawię?—

ANIELĄ.

Tak! i zbawiłaś, zbawiłaś na jawie!
Przed tobą pierzchli jéj nieprzyjaciele.
To jest Reims—patrzaj! Król jest w tym kościele,
Król, co przez ciebie posiadł państwo swoje!—
To nie sen, siostro!—patrz! widzisz swą zbroję!

(JOANNA *chwyta się ręką za piersi, przychodzi do przytomności, i wzdryga się z przerażeniem*).

BERTRAND.

Jam ci hełm przyniósł—pamiętasz to przecie?

ANNA.

Nie dziw, że wszystko snem ci się być zdaje.
Bo co przez ciebie Bóg zdziałał na świecie,
Ludzkim rozumem pojąć się nie daje.

JOANNA.

Idźmy ztąd, idźmy! uciekajmy razem!

ANIELA.

Ty chcesz iść z nami?

JOANNA.

Ach! ci obcy ludzie,
Czcią swoją dla mnie, gorzéj niż żelazem
Rażą me serce:—hołd niosą ułudzie!
Ale wy moi!—wy mię lepiéj znacie!
Wyście mię znali jako słabe dziécię,
Jako pasterkę w nizkiéj, wiejskiéj chacie—
Wy mię kochacie— ale nie wielbicie!

ANNA.

Masz-że dość serca rzucić taką chwałę?

JOANNA.

O! precz ode mnie, przez te blaski liche!
Wam chcę poświęcić życie moje całe,
Służyć jak sługa; by odkupić pychę,
Co się tak bardzo nad was wynieść chciała.

(Słychać trąby i kotły).

SCENA XI.

KRÓL (wychodzi z kościoła, w ubiorze koronacyjnym). AGNIESZKA SOREL, ARCYBISKUP, FILIP, DUNOIS, LA HIRE, DU CHATEL, Rycerze, Dworzanie, Lud.

Okrzyki Ludu.

Niech żyje Karol Siódmy! Chwała! chwała!

(Trąby i kotły. Na znak Króla, *Heroldowie podnosząc laski, nakazują milczenie).*

Król.

Dzięki, mój ludu! dzięki ci!—Korona,
Którą Bóg dzisiaj dał na skronie nasze,
Twoim jest znojem i krwią okupiona,
Lecz ja ją wieńcem oliwnym opaszę.
Dzięki tym wszystkim, co praw jéj bronili,
A wrogom, łaska i krzywd zapomnienie!
Bóg nam przebaczył—i nasze w téj chwili
Piérwsze niech będzie słowo: przebaczenie!

Lud.

Niech żyje Karol łaskawy! niech żyje!

Król.

Przez łaskę tylko Bożą, a nie czyję,
Wszyscy królowie, poprzednicy moi,
Tron swój dzierżyli;—lecz jam z Jego dłoni
Wziął go widoczniéj.—Patrzcie! oto stoi
Zesłanka Niebios! Jéj to dziełem broni
Zwycięztwo nasze; Jéj syn waszych króli
Winien swe berło; Ona z pęt niewoli
Lud swój wywiodła;—Jéj więc przed wszystkiemi
Cześć naszą dajmy!—i odtąd w modlitwach,
Obok świętego Patrona téj ziemi,

Kładźmy jéj imię w pokoju i bitwach,
I ołtarz dla niéj zbudujmy w świątyni!

Lud.

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyni!

Król (*do* Joanny).

Jeśliś ty ze krwi i z ciała, Dziewico!
Mów! jakich darów, jakiéj żądasz łaski?
Największa, małą stanie się dla ciebie.—
Lecz jeśli twoja ojczyzna jest w Niebie;
Jeżeli tylko przed ludzką źrenicą
Ukrywasz w ciele Archanielskie blaski:
Zjaw się, czém jesteś!— bo nie mogąc dociec
Natury twojéj, chwiejem się i trwożym.
Zjaw się!—a w prochu przed posłańcem Bożym
Padniem na twarze.

(*Ogólne milczenie; wszystkich oczy zwrócone na* Joannę).

Joanna (*postrzegając* Tbobalda).

Nieba! to mój ojciec!

SCENA XII.

CIŻ I TEOBALD, (wychodzi z tłumu i zatrzymuje się naprzeciw JOANNY).

Wiele głosów.

Jéj ojciec!

Teobald.

Tak jest! ojciec nieszczęśliwy,
Najnieszczęśliwszy, jaki był na świecie!
Ojciec, któremu sąd Boga straszliwy
Każe oskarżać swe najmilsze dziecię!

Filip.

Ha! cóż to?

Du Chatel.

Tu się wyda tajemnica.

Teobald.

Zwiedziony królu! zaślepiony ludu!
Myślisz że Boska dźwiga cię prawica?—
Nie! jest to dzieło czarta, a nie cudu!

(Wszyscy cofają się z przestrachem).

Dunois.

On jest szalony!

Teobald.

Nie! wyście szaleni!
Wy, co myślicie, że Bóg majestatu,
Dla lichéj dziewki prawa swoje zmieni,
Że przez jéj pychę objawi się światu!...—
Ale obaczym, czy kuglarka podła
Będzie się ważyć, w obec ojca swego,
Popierać kłamstwa, któremi was zwiodła?—

(*do* JOANNY).

W Imię Najświętsze w Trójcy Jedynego,
Pytam cię: jestżeś święta i niewinna?—

(*Przerażenie i cisza powszechna. Wszystkich oczy zwrócone na* JOANNĘ, *która stoi nieporuszona*).

AGNIESZKA.

O! Nieba!—Milczy!

TEOBALD.

Bo milczeć powinna,
Bo milczeć musi przed straszném imieniem,
Przed którém nawet drżą otchłanie piekła.—
Ona natchniona!—Pod przeklętym cieniem
Drzewa Druidów, gdzie krew ludzka ciekła,
Gdzie moc swą dotąd szerzy duch piekielny,
Tam z nim bezbożne zawarła przymierze,
I całą wieczność duszy nieśmiertelnéj,
Za czczy blask świata oddała w ofierze.

FILIP.

Dziwna rzecz wprawdzie! lecz ojciec dziecięcia
Świadom najlepiéj;—trudno nie dać wiary.

DUNOIS.

Co? wierzyć w gminu szalone pojęcia,
W zabobonnika chorowite mary?...

AGNIESZKA (*do* JOANNY).

O! mów, mów! przerwij to straszne milczenie!
My ci wierzymy, my ufamy w tobie:

Ale rzecz słowo! zbij czcze oskarżenie!—
Winnaś to Bogu, królowi, i sobie.

(Joanna *stoi nieporuszona;* Agnieszka *oddala się od niéj z przestrachem*).

La Hire.

Strach ją oniemił—bo i kogóż z ludzi
Na taką skargę przestrach nie ogarnie?—
Ale, Joanno! niech się duch twój zbudzi!
Jest w niewinności moc, na którą marnie
Wszystkie swe jady wywrze potwarz wściekła.
Ufaj jéj, przemów! i w szlachetnym gniewie
Skarć lud—co widział twe czyny, a nie wie
Kto je mógł zdziałać: duch z Nieba, czy z piekła?—

(Joanna *stoi nieporuszona:* La Hire *odstępuje od niéj ze zgrozą. Szmer i poruszenie między ludem).*

Dunois.

Co są te szmery? Czego chce gromada?—
Ona niewinna!—Na mą cześć rycerza,
Ja ręczę za nią!—a kto nie dowierza,

(rzucając rękawicę).

Niech ją podniesie, i niech mi fałsz zada!—

(Gwałtowne uderzenie piorunu: wszyscy stoją przerażeni).

Teobald *(do* Joanny).

Przez tego Boga, który grzmi na Niebie,
Mów! czyś niewinna? czyś z Boga natchnięta?
Czy duch zwodziciel nie obłąkał ciebie?—
Milczysz—nieszczęsna!—A więc bądź przeklęta!

(Drugie, mocniejsze uderzenie piorunu; lud pierzcha na wszystkie strony).

FILIP.

Boże! ty naucz, co nam czynić trzeba!

DU CHATEL *(do* KRÓLA).

Pójdź! pójdź ztąd, Królu! ustąp woli Nieba!

ARCYBISKUP *(do* JOANNY).

Nie w imię Boga gniewu, lecz litości,
Pytam cię, córko! co ci mówić broni:
Uczucie winy? czy gniew niewinności?—
Jeśliś niewinna—weź krzyż z mojéj dłoni.

(Podaje krzyż. JOANNA *stoi zawsze nieporuszona. Nowe gwałtowne uderzenie piorunu.* KRÓL, AGNIESZKA SOREL, ARCYBISKUP, FILIP, LA HIRE *i* DU CHATEL *odchodzą).*

SCENA XIII.

DUNOIS, JOANNA.

DUNOIS.

Teraz tyś moją!—Uwierzyłem w ciebie
Od piérwszéj chwili, i dotychczas wierzę—
Więcéj, niż wszystkim tym znakom na niebie,
Których się uląkł lud, król, i rycerze.
Nie! tyś niewinna! Gniew krzywdzonéj cnoty
Zamknął twe usta; gardzisz sądem zgrai.

Aniś jéj mogła, bez wnętrznéj sromoty,
Objawiać świętość, co się w duszy tai.
I oto wszyscy odbiegli nikczemnie.—
Lecz jam ci został;—złóż twą ufność we mnie!
Nie chcę słów nawet:—jeden znak twéj dłoni,
Jedno spójrzenie—dość mi będzie na tém.
Miecz cię mój tarczą przed światem zasłoni,
Jak mię twój wybór zaszczyci przed światem.

(Podaje jéj rękę. Joanna *odwraca się ze wstrętem.* Dunois *patrzy na nią długo z podziwieniem).*

SCENA XIV.

CIŻ I DU CHATEL, potém RAJMUND.

Du Chatel.

Słuchaj, Joanno d'Arc! Król ci dozwala
Opuścić miasto wolno i bezpiecznie,
Bez krzywd i zniewag.—Idź więc, i żyj zdala,
Żyj tak, byś potém nie cierpiała wiecznie!—
Dunois! ze mną!—My wszyscy błagamy,
Król każe—wracaj!—spełń Niebios przestrogę.

(Dunois *obudza się nagle z zamyślenia, spogląda jeszcze raz na* Joannę, *i odchodzi z* Du Chatelem. Joanna *zostaje sama. Po chwili ukazuje się* Rajmund, *i czas niejaki, stojąc zdaleka, patrzy na nią z cichą boleścią. Nakoniec zbliża się do niéj, i bierze ją za rękę).*

RAJMUND.

Śpiesz ztąd, śpiesz! póki otwarte są bramy.—
Ja idę z tobą, ja ci wskażę drogę.

(W téj chwili JOANNA *okazuje piérwszy znak czucia; spogląda bystro na niego, i wznosi oczy ku Niebu; poczém porywa go silnie za rękę, i odchodzą razem).*

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

(Teatr wystawia dziką puszczę: w odległości widać chaty węglarzy. Ciemność zupełna. Burza, grzmoty i błyskawice. Zdaleka słychać strzelanie).

SCENA I.

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

WĘGLARZ.

Co za okropny szturm! co za ulewa!
Niebo się zdaje stopi w błyskawicach,
Lub spłynie z deszczem. Najsilniejsze drzewa,
Nieporuszone w zwykłych nawałnicach,
Gną się jak trzciny, lub się kruszą w borze.
Istny dzień sądny!—A jednak, mój Boże!
Że też ta walka żywiołów zawzięta
Złości człowieczéj złagodzić nie może! —
Słyszysz te, z wiatru i gromów hałasem,
Strzały po strzałach!—to ludzkie modlitwy!
Obadwa wojska stoją tuż za lasem,
I lada chwila przyjść musi do bitwy.

Żona.

Boże zmiłuj się! A już tak spokojne
Były te strony; wróg był uciekł z pola.—
Cóż jest, że znowu śmie podnosić wojnę?

Węglarz.

Jest to, że znowu nie boi się króla. —
Wszystko jak z płatka szło nam przy Dziewicy,
Było i szczęście, była i odwaga;
Lecz jak w Reims naród zląkł się czarownicy,
Wszystko znów na wspak;—czart już nie pomaga.
A król! —

(ściskając ramionami).

Ha! prawda, że to się nie godzi
Trzymać z szatanem!—jednak...

Żona.

Ktoś nadchodzi!

SCENA II.

CIŻ, RAJMUND, JOANNA.

Rajmund *(wchodząc, do* Joanny).

Widzę tu chaty, widzę ludzkie twarze,
Pójdź! tu się schronim:—iść nie możesz dłużéj.
Trzy dni o głodzie i śród takiéj burzy!

(zbliżając się).

Ludzie ci, widzę, są biedni węglarze,
Gościnność zawsze jest w ubogich domu.

(do Węglarza).

Prosim was o gościnność w imię Boże!

Węglarz.

Nie odmówiłem jéj nigdy nikomu,
Waszém jest wszystko, co mój dom mieć może.

(Burza zaczyna się uciszać).

Żona (*wpatrując się w* Joannę).

Cóż to się znaczy? niewiasta we zbroi? —
Lecz prawda, prawda! że w dzisiejszych czasach
Oręż i zbroja każdemu przystoi,
I że w niéj może bezpieczniéj niż w lasach. —
Wszakciż to sama królowa, jak wiecie—
Odpuść jéj Panie! — w obozie Anglików
Chodzi we zbroi;—a i u nas przecie
Dziewica była wodzem wojowników.

Węglarz.

Ot przestań bajać, a idź obacz lepiéj,
Nie ma tam czego, co ich trud pokrzepi?

(Żona *odchodzi do chaty).*

Rajmund (*do* Joanny).

Widzisz! nie wszyscy ludzie nieużyci.
Wszędzie człek znajdzie wsparcie i pociechę.
Rozwesel myśli!—patrz! słońce już świéci,
Szturm się uciszył;—pójdź spocząć pod strzechę!

Węglarz.

Chcecie iść pewno do obozu króla,
Żeście tak zbrojni? lecz idźcież ostróżnie!
Obóz angielski stoi tuż od pola,
A czaty jego krzyżują się różnie.

Rajmund.

Cóż radzisz czynić?

Węglarz.

Spocząć tu tymczasem.
Syn nasz wnet z miasta być musi z powrótem.
Wié on najskrytsze ścieżki między lasem,
Co chyba sarny deptały przelotem:
Bądźcie spokojni! on was przeprowadzi.

Rajmund *(do* Jonany).

Złóż już tę zbroję! bronić nie obroni,
A tylko znuży, lub co gorsza, zdradzi.

(Joanna *daje znak odmówny*).

Węglarz.

Ktoś idzie!—cicho!—skryjmy się w ustroni!

SCENA III.

CIŻ, ŻONA WĘGLARZA (powraca z chaty z kubkiem w ręku), potém ICH SYN.

Żona.

To syn nasz, Franek, wraca widzę z miasta.

(*do* JOANNY, *podając kubek*).

Napij się kroplę!—to cię wnet posili.

WĘGLARZ (*do wchodzącego syna*).

No! cóż tam w mieście?

SYN (*postrzegając* JOANNĘ).

Cóż to za niewiasta?

(*Zbliża się szybko ku niéj, właśnie gdy ona kubek do ust przykłada; poznaje ją, wyrywa kubek, i woła z przerażeniem*).

Ach! ojcze! matko! coście to zrobili?—
To czarownica!—zgubicie się sami!
Precz z nią!

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

Ach! Boże! zmiłuj się nad nami!

(*Żegnają się i uciekają*).

SCENA IV.

JOANNA, RAJMUND.

JOANNA (*spokojnie i łagodnie*).

Widzisz! przekleństwo ściga za mną wszędzie.
Idź i ty!—po co masz cierpieć daremno?

RAJMUND.

Ja miałbym odejść? Któż przy tobie będzie?

JOANNA.

O! bądź spokojny! jest, kto pójdzie ze mną!—
Słyszałeś głos tych gromów?—Przyjacielu!

One mi rzekły, że mam przewodników,
Co mię chcąc nie chcąc prowadzą do celu.

RAJMUND.

Gdzież się obrócisz? tu obóz Anglików,
Co krwi twéj pragną; tam nasi, co ciebie
Sami wskazali na wstyd i wygnanie.

JOANNA.

Nie bój się! wszystko widzą tam na Niebie,
I to się tylko, co stać musi, stanie.

RAJMUND.

Któż cię pożywi? kto obronić zdoła
Od dzikich zwierząt, i od dzikszych ludzi?
W kim znajdziesz pomoc, gdy cię życie strudzi?

JOANNA.

Znam wszystkie zdrowe i pożywne zioła,
Znam biegi planet:—po nich w nocach ciemnych
Znajdę mą drogę.—Szmer zdrojów podziemnych
Słyszę mém uchem!—Niewiele, co trzeba,
Sama natura daje człowiekowi.

RAJMUND *(biorąc ją za rękę)*.

Joanno! przebacz, co przyjaciel powié!—
Czyżby nie pora przejednać gniew Nieba,
Zmyć grzech pokutą, i na łonie wiary?...

JOANNA.

Jak to? i ty mnie sądzisz godną kary?

RAJMUND.

Ach! czyż nie muszę?—To milczenie twoje.....

JOANNA (*z żalem*).

O! to już nadto! Ty jeden na świecie,
Ty mój ostatni! co niedolę moję
Podzielasz ze mną:—myślałam, że przecie
Ty mię znasz lepiéj!

RAJMUND (*z radośném podziwieniem*).

Czyżbyś więc nie była
W zmowie ze złemi?

JOANNA.

Ja w zmowie ze złemi?

RAJMUND.

I wszystkie cuda, któreś uczyniła,
Czyniłaś z Bogiem i Jego świętemi?

JOANNA.

Z kimżeby innym?

RAJMUND.

I trwałaś w milczeniu,
Gdy jedno słowo mogło zbawić ciebie?

JOANNA.

Milcząc uległam memu przeznaczeniu,
Które tu na mnie zesłał Pan mój w Niebie.

RAJMUND.

Zniosłaś gniew ojca w niesłusznym zapędzie?

JOANNA.

Co szło od ojca, znać przyszło od Boga.—
To też ojcowska próba tylko będzie.

RAJMUND.

A też pioruny? a twa niema trwoga?...

JOANNA.

Niebo mówiło, jam milczeć musiała.

RAJMUND.

I mogłaś ścierpieć, że Francya cała
Będzie podzielać błąd i omamienie?

JOANNA.

O! nie! to nie był błąd, lecz dopuszczenie!

RAJMUND.

Więc tyś niewinna! i taką sromotę
Zniosłaś cierpliwie!...—O! teraz pojmuję,
Teraz się korzę i wielbię twą cnotę—
Kto to mógł zrobić, w tym już Bóg współczuje!

JOANNA.

Toż więc rozumiesz, iżby mię posłano,
Gdybym nie ślepo czciła Jego wolę?
Ani śmiej sądzić, że gdy mię wygnano,
Gdy mię skazano na wstyd i niedolę,
Bóg mię opuścił!—Nie! On mi przebaczył,
I tylko nowy cud swéj łaski czyni.
Potrzebę serca mojego obaczył
Wejść saméj w siebie kazał na pustyni! —
Gdy mię światowe otaczały blaski,
Wtenczas to, wtenczas w sercu wrzały burze!
Teraz w ciemnościach świta promień łaski.—
Zamęt żywiołów w widoméj naturze,

Co zdał się w gruzy roztrząść świat poziomy,
Cud odrodzenia w duszy mojéj ziścił.
Myśli wezbrały nad swój cel znikomy,
Jak to powietrze, duch się mój oczyścił,
I to, bez czego byłam mniej niż niczém,
Moc Jego, czuję, wraca w piersi moje.

RAJMUND.

O! pójdźmy, pójdźmy! przed świata obliczem
Ogłosić prawdę, i niewinność twoję!

JOANNA.

Kto błąd dopuścił, ten go sam rozjaśni.
Lecz jak i kiedy? nikt prócz Jego nie wie.—
Czas wszakże przyjdzie, że ziomkowie właśni,
Co mię dziś z wzgardą odepchnęli w gniewie,
Uznają prawdę—i z gorzką rozpaczą,
Razem nade mną i sobą zapłaczą.

RAJMUND.

Co? miałbym czekać aż traf kiedyś zrządzi?..

JOANNA *(biorąc go za rękę)*.

Wszystko chcesz mierzyć na rozum człowieczy,
Co się sam tylko sędzią świata sądzi!—
Lecz ja widziałam blask nadziemskich rzeczy
Ja ci powiadam: jak gwiazdy na niebie,
Jak ziarna piasku w oceanach na dnie,
Bóg z nas każdego policzył u Siebie,
Bez woli Jego włos z głowy nie spadnie.

(wskazując ręką ku Niebu).

Widzisz to słońce u kresów zachodu?
Jak to jest pewno, że znów jutro wejdzie,
I świecić będzie: tak wierz bez zawodu,
Że prędzéj późniéj, dzień Prawdy nadejdzie!

SCENA V.

CIŻ I KRÓLOWA IZABELLA Z ŻOŁNIERZAMI

IZABELLA *(za sceną).*

Tędy na lewo! tu jest droga nasza.

RAJMUND.

Przebóg! Anglicy!

ŻOŁNIERZE *wchodzą, i postrzegając* JOANNĘ, *zatrzymują się, i cofają się w nieładzie).*

IZABELLA *(do Żołnierzy).*

Czegoście stanęli?

ŻOŁNIERZE.

Boże zmiłuj się!

IZABELLA.

Cóż was tak przestrasza,
Jakbyście czarta samego ujrzeli?

(Przedziera się przez tłum żołnierzy i cofa się postrzegając JOANNĘ).

Cóż to ja widzę? Ha! ona to, ona!

Wstrzymuje się—i szybko postępuje na przód ku Joannie).

Poddaj się, nędzna!

Joanna *stoi nieporuszona.* Rajmund *uchodzi w stronę, czyniąc znaki rozpaczy).*

Izabella *(do* Żołnierzy).

Okuć ją w łańcuchy!

(Żołnierze *zbliżają się z bojaźnia;* Joanna *sama im ręce do okucia podaje).*

Toż jest ta mężna, ta niezwyciężona?
Ha! niech cię teraz wyzwolą złe duchy!

(*do* Żołnierzy).

Patrzcie! widzicie tę, coście mniemali
Wyższą nad ludzi i nad siłę wszelką;
Patrzcie, nikczemni! i niech was wstyd spali!—
Małość to wasza czyniła ją wielką;
Strach wasz i podłość, to były jéj czary!—
Precz z nią z mych oczu!—Niech widzą w obozie,
Przed kim rzucali i broń i sztandary.—
Do Lionela wieść ją na powrozie!
Niechaj się pomści śmierci przyjaciela.—
Ja wnet przybędę.

Joanna *(z przerażeniem.)*

Mnie do Lionela!
Nie! nigdy, nigdy! Każ raczéj sto razy
Śmierć mi tu zadać!

IZABELLĄ *(do* ŻOŁNIERZY).

Wiecie me rozkazy.

(Odchodzi).

SCENA VI.

JOANNA I ŻOŁNIERZE.

JONNAA.

Anglicy! wyż to ścierpicie, bym żywa
Wyszła z rąk waszych?—Ja to, ja, pomnicie,
Morze krwi waszéj przelałam, i mściwa
Bezbronnym jeńcom wydzierałam życie.
Macie mię teraz! zemsta sprawiedliwa!
Bierzcie ją, radzę;—bo gdy ocalicie,
Wierzcie mi! porę stracicie przychylną.
Nie zawsze będę, jak jestem bezsilną.

DOWÓDZCA.

Dość tego!—pełńcie rozkazy Królowéj.

JOANNA *(wznosząc oczy w Niebo).*

Cóż jeszcze po mnie chcesz, o! Niepojęty!
Mam-że nanowo wpaść w grzechu okowy?
Dasz-że mi siłę zmódz pokus ponęty?—
Biada mi! czuję że pytam daremno—
Duch milczy we mnie, i Niebo nade mną!

(Odchodzi z Żołnierzami).

SCENA VII.

(*Obóz Francuzki*).

DUNOIS, między ARCYBISKUPEM i DU CHATELEM.

ARCYBISKUP.

Raz przecie, Książę! zwalcz posępność myśli!
Chcesz że twój naród opuszczać w potrzebie,
Dziś, gdyśmy znowu na ten koniec przyszli,
Że musim upaść i zginąć bez ciebie?

DUNOIS.

Zginąć? Któż winien, że Francya ginie?
Że jak łeb smoczy wróg się znów odradza?—
Ja was mam bronić?—Kto wygnał Zbawczynię,
Ten was niech broni! ten niech dziś zaradza!
Jam tylko jeden— a tych jest tak wielu!

DU CHATEL.

Książę! ojczyzna wzywa twojéj broni.

DUNOIS.

Ty milcz!—rad twoich nie chcę, Du Chatelu!
Ty byłeś piérwszy, któryś zwątpił o niéj.

ARCYBISKUP.

Któż z nas nie zwątpił? Kto z nas nie wykroczył,
Gdy samo Niebo przeciw niéj się zdało?—
Przestrach obłąkał, przesąd nas omroczył!
Lecz omamienie nazbyt krótko trwało.

Pomnimy teraz, jaką była z nami,
Jéj świętą skromność, jéj anielskie cnoty!—
Niesłuszność naszą uznaliśmy sami—
Gniew-że twój jeszcze ma zwiększać zgryzoty?

DUNOIS.

Ona fałszywa!...—Gdyby tajemnicza
Prawda się chciała ukazać na ziemi,
Wziąćby musiała rysy jéj oblicza!—
Jeśli są jeszcze między śmiertelnemi,
Szczerość, niewinność czystość nieskażona—
To ich obrazem jedna chyba Ona!

ARCYBISKUP.

Bóg sam zna prawdę;— bo rozum człowieczy
Dójść jéj w tym razie napróżno się kusi.—
Lecz jakbądźkolwiek obrócą się rzeczy,
To jedno z dwojga w końcu wypaść musi:
Że albo w pomoc przyzwaliśmy czary,
Albośmy Świętą wygnali niegodnie.
A to czy owo, są to równe zbrodnie,
Które pozostać nie mogą bez kary.

SCENA VIII.

CIŻ, I GIERMEK, potém RAJMUND,

GIERMEK *(do* DUNOIS).

Wieśniak tu jakiś z Waszą Wysokością
Chce mówić.—Mówi, że jest od Dziewicy.

DUNOIS.

Śpiesz! wiedź go tutaj!

ARCYBISKUP.

O! z jakąż radością
Ujrzymy wreście koniec tajemnicy!

(GIERMEK *otwiera drzwi*, RAJMUND *wchodzi*).

DUNOIS *(idąc naprzeciw niemu)*.

Tyś od Dziewicy? Gdzież jest? mów! gdzie Ona?

RAJMUND.

O! szczęście moje, żem was znalazł wreście,
Szlachetny Książę! i że tu jesteście
Ojcze wielebny! — W was cnoty obrona.

DUNOIS.

Gdzież jest Dziewica?

ARCYBISKUP.

Powiédz nam, mój synu!

RAJMUND.

Ach! Panie! Ona nie jest czarownicą!
Niesłuszny wyrok był króla i gminu.
Świadczę się Bogiem i Boga-Rodzicą,
Ona niewinna!

DUNOIS.

O! wiem, że niewinna!
Lecz gdzież jest Ona?

RAJMUND.

Ach! Panie jedyny!
Toć gdy wam o niéj przyszła już myśl inna,
Brońcież ją, brońcie! bo zginie bez winy.

DUNOIS.

Zginie?—Nieszczęsny! mów, co się z nią stało?

RAJMUND.

W lesie Ardeńskim, gdzieśmy się chronili,
Wojsko angielskie jeńcem ją zabrało!—
Sam byłem swiadkiem, jak ją prowadzili.

ARCYBISKUP.

O! nieszczęśliwa!

DUNOIS.

Do broni! do broni!
Kto Francuz, za mną! Ogniem i żelazem,
Idźmy ją zbawić—albo zginąć razem!

(Odchodzi śpiesznie).

ARCYBISKUP.

(wznosząc ręce ku Niebu).

Boże! błogosław sile jego dłoni!

(Odchodzą wszyscy).

SCENA IX.

(*Obóz Angielski*).

(Teatr wystawia wieżę strażniczą, z oknem u góry).

JOANNA, LIONEL, FASTOLF I IZABELLA.

FASTOLF.

(*wchodząc z pośpiechem*).

Nie ma sposobu! bunt coraz się szerzy,
Tłum krwi jéj pragnie.—Nie oprzem się dłużéj.
I albo głowę jéj zrzućmy z téj wieży,
Lub ją wnet wojsko zdobędzie i zburzy.

IZABELLA

(*wchodząc do* LIONELA).

Ratuj się, wodzu! już stawią drabiny.—
Co tu się wahać?—ratunek jedyny
Wydać ją;—zbrodnię niech krwią swą opłaci.
Inaczéj zginiem z rąk własnych współbraci.

LIONEL.

Ha! niech szturmują! Uchodź ztąd, Królowo!
Bo ja się raczéj w tych gruzach zagrzebię,
Niż uledz zgrai!—Joanno! rzecz słowo,
Rzecz, żeś jest moją; a jak Bóg na Niebie!
Choćby świat cały chciał być twoim katem,
Walki za ciebie nie zlęknę się z światem!

Izabella.

Czyś ty szal ony?

Lionel (*do* Joanny).

Twoi cię wygnali,
Twoi skazali na wstyd i sromotę.
Podli! o twoję wprzód rękę żebrali,
A potém wierzyć nie śmieli w twą cnotę!—
Lecz jam ci został—ja wszystkim dostoję,
Ja twój obrońca!—Niegdyś życie moje,
Dałaś mi wierzyć, że ci było drogiém.
A jam natenczas był tylko twym wrogiem!
Dziś, prócz mnie, innych nie masz przyjacieli.
Wszystko nas łączy.

Joanna.

Nie! wszystko nas dzieli!
Wróg ludu mego zawsze będzie moim!—
Lecz gdy się ku mnie serce twoje skłania,
Dowiedź to czynem!—a stronom oboim
Przyjaźń ta będzie godłem pojednania.
Cofnij twe wojsko! zaniechaj napaści!
Oswobódź jeńców! wróć nam nasze właści,
Wróć łup nieprawy! i przysięgą szczerze
Zatwierdź umowę!—a wtedy ci wzajem
Król mój przeze mnie zaręczy przymierze,
I Bóg grom zemsty wstrzyma nad twym krajem.

Izabella.

Zuchwała! w więzach chcesz nam dawać prawa!

JOANNA.

I śpiesz się, radzę, aby czas nie minął!—
Bóg wam nie wiecznie w moc Francyą dawa,
Nie przez gniew nad nią będzie wiecznie słynął!—
W proch już runęła broni waszéj sława,
Pod mieczem naszym kwiat rycerstwa zginął;
Śpiesz się! powiadam—bo i reszcie biada!
Wyrok wasz: pokój, lub śmierć i zagłada!

IZABELLA *(do* LIONELA).

I tyż bezkarnie zniesiesz te bluźnierstwa?

SCENA X.

CIŻ I KILKU DOWÓDZCÓW
(wchodzą śpiesznie).

JEDEN Z DOWÓDZCÓW.

Wodzu! w imieniu wojska i rycerstwa,
Błagamy, przebacz uniesienia chwilę!
Francuzi na nas idą w całéj sile—
Bronią ich cała połyska równina.
Wróć nam hetmanić!

JOANNA
(wznosząc oczy ku Niebu).

Przyszła więc godzina!
Sprawiedliwości Twéj stało się zadość!—

FASTOLF.

Nieszczęsna! poskrom tę niewczesną radość!
Wprzód nim my zginiem, głowie twojéj biada!

JOANNA.

Lud mój zwycięży, a ja umrę rada!
Umrę szczęśliwa— że ich dość beze mnie!

LIONEL.

Nędzni! w stu bitwach pierzchali nikczemnie,
Nim ta Cudowna stanęła za niemi!—
Toć prócz niéj jednéj, pogardzam wszystkiemi!—
Pójdźmy, Fastolfie! uczują po chwili,
Żeśmy ci sami, co pod Crequi byli.

(do IZABELLI *wskazując na* JOANNĘ).

Ty ją, Królowo! miéj tutaj w swéj straży,
Nim Bóg, czy szatan, los bitwy przeważy.

FASTOLF.

Co? czarownicę chcesz w tyle zostawić?

JOANNA.

Tak cię więc trwoży bezbronna niewiasta?

LIONEL *(do* JOANNY).

Słowo! że sama nie zechcesz się zbawić.

JOANNA.

Ja?—Z każdą chwilą chęć swobody wzrasta.

Izabella (*do Żołnierzy*).

Hola! w potrójne okuć ją łańcuchy!—
Że ztąd nie ujdzie, ja wam ręczę głową.

(*Żołnierze przynoszą pęki łańcuchów i krępują niemi* Joannę).

Lionel (*do* Joanny).

Zmuszasz nas!—Widzisz! próżne twe otuchy!—
Lecz jeszcze pora!—Jedno twoje słowo—
A wnet ci sami, co krwi twojéj pragną,
U stóp twych w prochu harde czoła nagną.

Fastolf.

Czas śpieszyć, wodzu!

Joanna (*do* Fastolfa).

Śpiesz, śpiesz! śmierć cię wzywa.
(*Słychać głos trąb.* Lionel *wybiega*).

Fastolf
(*wskazując na* Joannę).

Królowo! pomnij! gdyby się los wojny
Przeciw nam zwrócił....

Izabella
(*dobywając sztylet*).

O to bądź spokojny!
Klęski wojsk naszych nie obaczy żywa.

FASTOLF (*do* JOANNY).

Słyszałaś?—Teraz módl się za twojemi!

(*Odchodzi*).

SCENA XI.

IZABELLA, JOANNA, ŻOŁNIERZE.

JOANNA.

Ja się nie modlić?—Żadna moc na ziemi,
Żadna twa groźba nie wzbroni mi tego!—

(*Za sceną słychać trąby i pieśni wojenne*).

Boże! to trąby! to pieśń ludu mego! —
Śmiało, mój ludu! z tobą ramię Boże,
Z tobą Dziewica!—Ach! ona nie może,
Nie może swego sztandaru rozwinąć,
Nie może z wami zwyciężać lub ginąć!—
Lecz duch jéj wolny, z niewolniczéj cieśni,
Buja nad wami, z echem waszych pieśni!

IZABELLA

(*do jednego z Żołnierzy*).

Wstąp tam ku oknu, i patrz co się dzieje!

(*Żołnierz wstępuje ku oknu w górze*).

JOANNA.

Śmiało! mój ludu! śmiało! miéj nadzieję!
Bóg nie opuści twojéj dobréj sprawy!—

IZABELLA (*do Żołnierza*).

Co widzisz?

ŻOŁNIERZ.

Widzę obłoki kurzawy,
Lecz nic w niéj dójrzeć nie mogę na błoniu.—
Ha! widzę, widzę! już się zwarli z nami.
Jakiś szaleniec na arabskim koniu,
W tygrysiéj skórze, leci z żandarmami *).

JOANNA.

Dunois!—Boże! twa moc niech go wspiera!

ŻOŁNIERZ.

Jazda Burgundzka na nasz most naciera.

IZABELLA.

Przeklęstwo zdrajcom!

ŻOŁNIERZ.

Lord Fastolf go broni.—
Co za rzeź! widzę—zeskakują z koni,
Wręcz się ścinają.

IZABELLA.

Nie widzisz Delfina?
Znaków królewskich?

ŻOŁNIERZ.

Nie!—cała równina
Znowu się kurzu zakryła obłokiem.

---

*) *Gens d'armes*, ówczesna jazda francuzka.

JOANNA.

Oby on mojém mógł poglądać okiem,
Lub jam tak mogła, jak on, patrzeć z góry!
Wzrokby mój przebił te mgły i te chmury,
Nicby tam, nicby nie skryło się przed nim!—

ŻOŁNIERZ.

Bój najzaciętszy wre przy szańcu średnim.
Wszyscy tam nasi.

IZABELLA.

A nasz sztandar?

ŻOŁNIERZ.

W górze!

JOANNA.

Oby mi spójrzeć, choć przez szparę w murze!
Wzrokby mój bitwą rządził na wsze strony.

ŻOŁNIERZ.

Nieba! co widzę! wódz nasz otoczony!

IZABELLA.

(*podnosząc sztylet nad* JOANNĄ).

Giń!

ŻOŁNIERZ (*prędko*).

Już jest wolny!—Widzę w chmurach pyłu.
Lord Fastolf z jazdą zabiega im z tyłu.
Już, już są blisko—ledwie mały przedział!

IZĄBELLA
(*opuszczając sztylet*).

Ha! twój to Anioł, a nie on powiedział!

ŻOŁNIERZ.

Pierzchają—widzę—pierzchają!

IZABELLA.

Kto?

ŻOŁNIERZ.

Oni!—
Tłum się w bezładzie rozsypał po błoni.—
Lord sprawił szyki—i w pogoń się puścił.

JOANNA.

Boże mój, Boże! takżeś mię opuścił?

ŻOŁNIERZ.

Kogoś rannego prowadzą w tę stronę.
Wódz, widać, jakiś—bo tłum za nim bieży.

IZABELLA.

Nasz, czy francuzki?

ŻOŁNIERZ.

Czoło ma zwieszone,
A w tłoku dójrzeć nie mogę odzieży.—
Ha! cóż to? omdlał?—hełm zdjęli mu z głowy—
Dunois!

JOANNA
(*wstrząsając kajdany*).

Boże! skrusz mi te okowy!

Żołnierz.

Patrz, patrz! ktoś w płaszczu błękitnym ze złotem...

Joanna *(z przerażeniem)*.

To król!

Żołnierz.

Koń jego dosięgniony grotem,
Wspina się—nasi opadli go zblizka.
Broni się—widzę—miecz raz po raz błyska.
Znikł!—

Joanna.

Czyż Bóg teraz cudu nie uczyni?!

Izabella
(śmiejąc się szyderczo).

Teraz masz porę, zbawiaj go, Zbawczyni!

Joanna.

(w najgwałtowniejszém poruszeniu, rzuca się na kolana, i wznosząc załamane ręce do góry, modli się rzewnym, prędkim i naglonym głosem).

Słuchaj mię, Boże! bo wzywam Ciebie,
Ojcze na Niebie!
Duszą wierzącą,
Wiarą gorącą,
Ach! nie dla siebie wzywam Cię, Panie!
Nad ludem moim miéj zlitowanie!
Ty sieć pajęczą w stalne obręcze,
Ty więzy zmienisz w sieci pajęcze,
Boś Ty Wszechmocny! bo to się stanie,
Co Ty chcesz, Panie!

Samson wydany na urąganie,
W więzach u wrogów—jak ja w téj chwili,
Wołał do Ciebie:—oni szydzili,
A on Ci ufał!—stary i ślepy!—
I dałeś siłę, ze twarde sklepy
Zrzucił na wrogów:—boś Pan nad pany!

ŻOŁNIERZ.

Tryumf nasz! tryumf!

IZABELLA.

Cóż jest?

ŻOŁNIERZ.

Król pojmany!

IZABELLA.

Ha! zginął wreście nienawistny wróg!

JOANNA
(porywając się z ziemi).

Francya żyje! bo ze mną jest Bóg!

(Wstrząsa oburącz i rozrywa łańcuchy. W téjże chwili rzuca się na stojącego u drzwi Żołnierza, wyrywa mu z rąk miecz i wybiega. Wszyscy zostają w osłupieniu).

SCENA XII.

CIŻ SAMI, prócz JOANNY.

IZABELLA *(po długiém milczeniu).*

Prawdaż to była? czy mi się to śniło?—
Jak mogła zerwać potrójne łańcuchy?—
Nie! ludzką tego nie zdołała siłą!

(*do Żołnierza*).

Widzisz ją?

ŻOTNIERZ.

Widzę.—Zda się, że złe duchy
Pędzą ją wichrem!—Już tonie w natłoku—
Rozrywa szyki;—bystrzejsza od wzroku,
Jest tu, jest ówdzie—wszędzie zda się razem!—
Jak błyskawicą wywija żelazem!—
Francuzi ku niéj zbiegają się—stają—
Pędzą na naszych.—Zmięszali się zgrają—
Biada nam! nasi ustępują z pola!

IZABELLA.

Przeklęta!

ŻOŁNIERZ.

Wpadła na wiodących króla!—
Co za rzeź!—Boże! Lord Fastolf upada!—
Lionel wzięty! —

IZABELLA.

Dość! nie kończ!

ŻOŁNIERZ.

O! biada!
Królowo! uchodź!—ich jazda tu bieży!

IZABELLA

(*dobywając miecza*).

Broń cież się, nędzni!

SCENA XIII.

CIŻ i LA HIRE z wojskiem).

(Żołnierze angielscy składają broń przed wchodzącym).

LA HIRE.

Poddaj się, Królowo!
Najpiérwsi z waszych wodzów i rycerzy
Są w ręku naszym.—Zdaj się na me słowo!
Mów, gdzie chcesz mieszkać w państwach twego syna?

IZABELLA.

Wiedź gdzie chcesz—byle nie spotkać Delfina!

(Oddaje miecz i odchodzi z LA HIREM *i Żołnierzami).*

SCENA XIV.

(Teatr zmienia się i wystawia plac bitwy).

(Żołnierze francuzcy z rozwiniętemi chorągwiami napełniają głąb sceny. Na przodzie KRÓL *i Książę Burgundzki* FILIP; *na ręku ich obudwóch* JOANNA *śmiertelnie raniona, bez znaku życia.* AGNIESZKA SOREL *przybiega ze strony).*

AGNIESZKA *(do* KRÓLA).

Królu mój! panie! tyżeś mi wrócony?—
Przy tobie tryumf!

KRÓL.

(wskazując na JOANNĘ).

Patrz! czém okupiony.

AGNIESZKA.

Joanna! Boże! umiéra!

FILIP.

Widzicie,
Zejście Anioła!—Jak znużone dziécię,
Usypia, zda się.—Jak piękna! jak cicha!
Pokój już Niebios z jéj twarzy oddycha!—
Serce ustało—lecz jeszcze krwi drganie
Zdradza znak życia.

KRÓL.

Ach! już nie powstanie!
Nie wróci do nas dusza wniebowzięta,
Nie ujrzy naszych zgryzot i żałoby!

AGNIESZKA.

(*z wykrzyknieniem*).

Otwiera oczy! żyje!

FILIP.

(*z podziwieniem*).

Czyż i groby
Zwalczyć potrafi jéj moc niepojęta? —

JOANNA.

(*powstaje o własnéj sile, i spoglądając wkoło*).

Gdzież to ja jestem?

FILIP.

Śród twoich, Dziewico!
Śród ludu twego!

KRÓL.

Król twój wspiera ciebie!

JOANNA.

Nie! ja nie byłam nigdy czarownicą!
Nie! —

KRÓL.

O! tyś czysta, jak Anieli w Niebie!
Nas to błąd uwiódł—nas niegodnych cudu!

JOANNA

(uśmiechając się łagodnie).

Prawdaż to, prawda? żem śród mego ludu?
Że mną nie gardzą? nie winią o czary?...

(pogląda wkoło).

Tak, tak!—to król nasz!—to nasze sztandary!—
Gdzież jest mój sztandar?—Dajcie mi go w dłonie!
Pan mi go zwierzył;—z nim przy Jego tronie
Stanąć powinnam—bom go nie skalała.

KRÓL.

Dajcie jéj sztandar!

(Żołnierze podają rozwiniętą chorągiew. Joanna bierze ją w ręce, i stoi chwilę z oczyma wzniesionemi ku górze. W téj chwili różana jasność ukazuje się na niebie, i coraz się bardziéj rozszerza).

JOANNA (*w natchnieniu*).

Całe Niebo pała
Blaskiem swéj chwały!—Widzicie, widzicie!
Tę jasną tęczę na niebios błękicie?
To droga moja!—Tam widzę—to Ona!
Z Synem na ręku, śród Aniołów grona,
Zstępuje ku mnie!—O! Nieogarniona!
O! Pani moja!—O! jakąż rozkoszą
Pierś moja pełna!—Chmury mię unoszą —
Jasność mię od Niéj otacza słoneczna!—
Krótka jest boleść—ale radość wieczna!

(*Chorągiew wymyka się z jéj ręku; sama upada na nią bez życia. — Chwila powszechnego milczenia. — Wszyscy w najgłębszém rozrzewnieniu.—Na znak Króla wszystkie chorągwie s chylają się nad Joanną, tak, że niemi całkiem zakrytą zostaje.—Zasłona spada.*

KONIEC TOMU IV I OSTATNIEGO.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
Biblioteka
Główna
w Kielcach

Spis Rzeczy

W Tomie czwartym zawartych.

	str.
Czciciele Ognia	1
Peri i Raj	105
Dziewica Orleańska	131

Biblioteka WSP Kielce
0179889